

SIECI

TYLKO U NAS
PROF. PIOTR GLIŃSKI:
ROCZNICA WYBORÓW
NIE UDAŁA SIĘ
WŁADZY

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

43 (621) 2024
21-27 października 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

SPRAWDZAMY.
KTO CHCE
ZNISZCZYĆ
PAMIĘĆ
O „LALUSIU”?

CPK NIE BĘDZIE
- RZĄD TYLKO UDAJE PRACĘ

ALARMUJEMY!
WZDZ. USTAWA KAMILKA
BARDZIEJ SZKODZI, NIŻ POMAGA

TYLKO U NAS

TAJEMNICA JEGO WIARY

PASJONUJĄCA OPowieść o ŹRÓDŁACH SIŁY
KSIĘDZA MICHAŁA OLSZEWSKIEGO, NISZCZONEGO
PRZEZ MASZYNĘ POLITYCZNEJ ZEMSTY

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269403

Numer w sprzedaży do 28 X 2024 r.

Newsy, komentarze,
opinie ekspertów

Zaprasza
Michał Adamczyk

Najważniejszy
program informacyjny
w Polsce.

wPolsce
24

WIADOMOŚCI

codziennie

19:30

wPolsce 24

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

192
netia

32
orange

825
vectra

196
polsat box

339 dekodery
Mediabox
PLAY

121 dekodery
KAON i Horizon
dawniej UPC

eprasa.pl/7be7e40bca

Prawda zabolęła

Ile kłamliwej manipulacji można zmieścić w jednym, krótkim wystąpieniu, dowieść potrafi tylko Donald Tusk. Histeria, w jaką wpadł po orędziu wygłoszonym w Sejmie przez prezydenta Andrzeja Dudę, ukazała, jak bardzo przerasta go rola, którą wyznaczyła mu Ursula von der Leyen. Gdyby nie ta determinacja, wsparcie zewnętrzne, działania socjotechniczne i polityczne gierki, sytuacja byłaby dziś zgoła inna. Pamiętajmy, że wybory 15 października wygrało PiS, zdobywając o ponad 1 mln głosów więcej niż Koalicja Obywatelska. Atak Tuska na prezydenta Dudę również jest chybiony. W 2015 r. zagłosowało na niego prawie 10,5 mln osób, co oznacza, że o 1,8 mln więcej Polaków chciało, by ponownie został prezydentem Rzeczypospolitej. Dla Donalda Tuska to wynik nieosiągalny. Gdy w 2005 r. rywalizował o prezydenturę ze śp. Lechem Kaczyńskim, zdobył zaledwie 7 mln głosów, czyli ponad 1,2 mln mniej niż śp. Lech Kaczyński i o ponad 3,4 mln mniej niż Andrzej Duda w ostatnich wyborach. Powodów do frustracji jest jednak znacznie więcej.

Prezydent Andrzej Duda w miażdżącym dla koalicji 13 grudnia orędziu wypunktował największe problemy, w które wpędziła ona Polskę w niespełna rok. Starając się wskazać obszary, w których zaistniała jakakolwiek współpraca z rządem, zwrócił uwagę na to, co w każdym zatroskanym o Polskę obywatelu budzi sprzeciw i niepokój. Upomniał się o bezpieczeństwo, praworządność, respektowanie ładu prawnego i zapisów konstytucji, poszanowanie zasad demokracji, odpowiedzialną politykę międzynarodową i działania na rzecz polskiej suwerenności. Trudno stwierdzić, który z tych punktów jest dla Donalda Tuska najczulszy, skoro dotknięty do żywego wyskoczył na mównicę z irracjonalnym atakiem. Do perfekcji opanował już socjotechnikę podszywania się pod „obrońców ojczyzny”. Im bardziej kreuje się na piewę wolności i praworządności, tym brutalniej tę praworządność gwałci.

Stanowczy sprzeciw prezydenta dotyczył nie tylko łamania prawa przez „demokrację walczącą”. Wskazał on także na blokowanie strategicznych inwestycji, hamowanie rozwoju Polski i pozbawianie jej szans na konkurencyjność. Andrzej Duda sprze-

ciwił się również marginalizowaniu naszego kraju na scenie międzynarodowej poprzez szkodliwe prowadzenie polityki zagranicznej. Przypomniat, że konstytucja RP wyraźnie mówi o współdziałaniu rządu i głowy państwa w tych sprawach, które polega m.in. na uzgadnianiu kandydatów na ambasadorów, którzy są powoływani przez prezydenta RP. Taki stan rzeczy obowiązywał przez ostatnich 35 lat.

„Rząd premiera Tuska postanowił tę zasadę złamać. Dlatego to rząd ponosi pełną odpowiedzialność za to, że Polska ma dzisiaj w wielu krajach obniżoną reprezentację dyplomatyczną i że polskie placówki dyplomatyczne mają przez to ograniczoną możliwość działania” – podkreślił prezydent, wskazując jednocześnie, że zasłużeń dla Polski ambasadorowie zastępowani są często absolwentami moskiewskich uczelni.

W zdrowej demokracji wystarczyłyby tylko te dwie kwestie, by rząd Donalda Tuska został odwołany w trybie natychmiastowym. Prezydent Andrzej Duda wyliczył znacznie więcej tych powodów. Każdy z nich mógłby stanowić treść niezbędną do postawienia przed Trybunałem Stanu.

To miażdżące dla koalicji 13 grudnia wystąpienie miało stanowić rodzaj napomnienia będącego wyrazem troski o Polskę. Donald Tusk zareagował na nie skrajną histerią, a sformułowania, jakie padły z jego ust, świadczą o mentalnej słabości. Mówił o „głupich” słowach prezydenta i czynił dywagacje o tym, „gdzie prezydent ma konstytucję”. Żalodne i knajackie.

Rzecz w tym, że rok po wyborach jedynym pozytywnym osiągnięciem Tuska jest zbudowanie antypisowskiej koalicji. Cała reszta działań składa się na pakiet totalnej dewastacji państwa. I właśnie w tym celu podsycia skrajnie negatywne emocje, podlewa benzyną nienawiści niechęć zmanipulowanej opinii publicznej. Przypomina protesty, przekonując, że to większość wyszła na ulice, by „je...ć PiS”. Wmawia ludziom, że to jego partia wygrała wybory, choć nie miałby większości, gdyby nie zmontował jej z kilkunastu często obcych programowo podmiotów politycznych. Porównuje 15 października do obalenia komunizmu przez Solidarność, mówi o „narodowym zryw”, „świętym wydarzeniu” i „zwycięstwie demokracji”. Jakże to fałszywe i płytkie.

„Demokracja walcząca” już dawno przestała mieścić się w normach działania prawa. Pozostaje mieć nadzieję, że każdy akt bezprawia i dewastacji państwa zostanie rozpatrzony przez Trybunał Stanu.

Marzena Nykiel



26

Cierpienia „uśmiechniętej Polski”
Piotr Gursztyn



45

Lewicowy dom kultury
Maciej Walaszczyk



55

Taki jestem na co dzień
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

- 5 KOŚCIÓŁ ABDYKUJĄCY**
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 RZĄD ROKU**
Krzysztof Feusette
- 9 CZARY-MARY**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 UNIA JAK FUTBOL**
Daniel Obajtek
- 13 USANKJONOWANIE BEZPRAWIA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 WALIZKA KS. TOMASZA TRZASKI**
Michał Korsun
- 16 ALE SIĘ WYPRAWIA...!**
Jan Pietrzak
- 16 TRÓJMORZE KLUCZEM DO ROZWOJU I STABILNOŚCI EUROPY CENTRALNEJ**
Arkadiusz Mularczyk
- 17 PRZYPILNOWAĆ WYBORÓW**
Samuel Pereira
- 18 NIEPOKORNI, NIEZŁOMNI, WYKLĘCI**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

- 19 SKĄD SIŁA KS. MICHAŁA?**
Goran Andrijanić

KRAJ

- 22 Z PIOTREM GLIŃSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy
- 26 CIERPIENIA „UŚMIECHNIĘTEJ POLSKI”**
Piotr Gursztyn
- 29 CPK NIE BĘDZIE**
Konrad Kołodziejski
- 32 PAN DZIURA**
Stanisław Janecki
- 34 KRYZYS MIGRACYJNY, ROZMOWY POKOJOWE I ZMIĘKCZANIE POLAKÓW**
Marek Budzisz
- 37 CZY TUSK WYSTRASZY SIĘ WŁASNEJ ODWAGI?**
Jan Rokita
- 40 TO JEST SPÓR NIE TYLKO O KATECHEZĘ W SZKOŁACH**
Z dr. Zbigniewem Barcińskim rozmawia Piotr Ślabek
- 42 NAUCZYCIELE NA CENZUROWANYM**
Dorota Łosiewicz
- 45 LEWICOWY DOM KULTURY**
Maciej Walaszczyk

OPINIE

- 48 Z JAROSŁAWEM GUZYM**
rozmawia Aleksandra Rybińska

HISTORIA

- 52 KTO CHCE ZNISZCZYĆ PAMIĘĆ O „LALUSIU”?**
Stanisław Płuzański

SIECI KULTURY

- 55 TAKI JESTEM NA CO DZIEŃ**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 58 MARIHUANOWE KŁAMSTWO**
Robert Tekieli
- 59 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 60 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk
- 62 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

PODRÓŻE

- 63 SPEŁNIONE MARZENIE BANKOWCA**
Piotr Ostrowski

NATURA DLA LUDZI

- 66 WIELKA WODA I PRZYRODA**
Przemysław Barszcz

GOSPODARKA

- 68 CZY POLSKIE ŚRODOWISKO RYBACKIE JEST ROZGRYWANE PRZEZ ZAGRANICZNE LOBBY?**
Bartosz Życiński

KUCHNIA

- 70 MOJE SMAKI: KRZYSZOF DZIERMA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 72 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 73 HEYSEL, CZYLI KRWAWA TWARZ FUTBOLU**
Ryszard Czarnecki
- 74 TECHNO-NAIWNOŚĆ STALE GROŹNA**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

BRONISŁAW WILDSTEIN

Kościół abdykujący

Martin Scorsese to nie tylko jeden z najwybitniejszych współczesnych reżyserów, lecz także jeden z największych mistrzów kina w ogóle. Jednocześnie jest to katolik, dla którego jak dla każdego wierzącego wyznanie stanowi perspektywę określającą drogę życiową i twórczą. Niestety jego rozmowa z Antonio Spadara, jezuitą i teologiem z kręgu papieża Franciszka, wydana właśnie przez „Więź” jako „Dialogi o wierze”, rozczarowuje. Głównie ze względu na rozmówcę Scorsese.

Reżyser wypowiada się w filmie. Wprawdzie jego teoretyczna refleksja może być ciekawa, ale nie wymagajmy od niego teologicznej głębi. Mimo to zderzenie jego artystycznej wrażliwości z myślicielem nastawionym na analizowanie tajemnic wiary mogłoby dostarczyć intelektualnych rewelacji. Nic takiego w książce nie znajdujemy, a rozmówca Scorsese, zawodowy teolog, traktuje reżysera jako autorytet w swojej dziedzinie, co musi zdumiewać. Jeśli teolog oczekuje od artysty intelektualnych wywodów na temat religii, a jego jedyne obok pytań komentarze to wyrazy zachwytu nad przenikliwością reżysera, trudno oprzeć się pytaniu: po co były jego studia? Zamiast nich można wypyttywać artystów.

Dzieło sztuki także dla teologa powinno stanowić znaczące przeżycie, w swoich komentarzu twórca może otworzyć przed nim nowe horyzonty, ale jeśli jego teologiczna wiedza nie stanowi dla tych doświadczeń podstawowego punktu odniesienia, to jaki ma ona sens?

Oryginalny w podejściu do religii jest Scorsese w swoich filmach. W komentarzach ma kłopoty z przekroczeniem dominujących w naszej epoce wyobrażeń. Teolog go w tym utwierdza.

„Daleś mi bardzo piękną książkę »O praktykowaniu Bożej obecności« autorstwa brata Wawrzyńca od Zmartwychwstania, karmelity żyjącego w XVII wieku [...] podkreśla, że aby być z Bogiem, nie trzeba przebywać cały czas w kościele, bo możemy uczynić z naszego serca kaplicę [...] I że wielkim błędem jest uważanie czasu modlitwy za coś innego niż wszelkie ludzkie czynności” – mówi Spadara.

Scorsese kontynuuje tę myśl: „Dlaczego modlitwa ogranicza się do czterech ścian kościoła [...] całe życie jest modlitwą, a modlitwa nie ma celu, ani końca”.

Można rozumieć to bardzo podniosło jako wezwanie, aby całość egzystencjalnego doświadczenia nakierować na Boga, a życie przeżywać w nieustającej z Nim komunii. Przy takim podejściu świątynia przestaje być potrzebna, bo staje się nią cały świat. Czy jednak postawa taka jest do udźwignięcia dla zwykłego człowieka i stanowić może powszechny model? Na tego typu maksymalizmie zbudowany został w dużej mierze

protestantyzm. Co się dzieje z jego Kościołami dziś? Czy wszyscy protestanci to mistycy zwróceni ku Bogu i realizujący ideał świętości?

Czy zwłaszcza współcześnie wezwanie do odrzucenia instytucjonalnej religii na rzecz prawdy wewnętrznego przeżycia – a inaczej trudno rozumieć podejście Scorsese – nie będzie odbierane jako zakwestionowanie dyscypliny zewnętrznej i wewnętrznej, jaka wiąże się z trzymaniem się zasad katolicyzmu: obowiązku mszy niedzielnej i codziennych modlitw? Czy odejście od tego porządku pogłębia duchowość wierzących, czy dokładnie na odwrót: jest pierwszym krokiem do opuszczenia Kościoła i stopniowego odchodzenia od zasad wiary? Czy nie ten proces obserwujemy dziś w świecie zachodnim?

Spadara jest podsekretarzem watykańskiej Dykasterii ds. Kultury i Edukacji, a zatem pełni istotną, również instytucjonalną rolę u boku obecnego papieża. Jego postawę traktować można jako do pewnego stopnia reprezentatywną dziś dla Watykanu. Zbiega się ona z tak propagowaną przez stolicę apostolską ideą synodalności, czyli wezwaniem, aby wierni intensywniej uczestniczyli również w instytucjonalnym życiu Kościoła. Ten ze wszech miar słuszny apel jak zwykle narażony jest na eksces. Czy wierni mają określać kształt wiary? Czy ostatnim krokiem w „demokratyzacji” Kościoła będzie głosowanie nad istnieniem Boga?

„Kościół otwarty”, którego reprezentantem jest m.in. „Więź”, podkreśla swoje „istnienie w świecie”. Okazuje się to uległością wobec dominujących obecnie tendencji. W pewnym momencie Scorsese mówi, że nie przekonuje go idea sprawiedliwości i chciałby zastąpić ją, jak Chrystus, ideą miłosierdzia. Czy rzeczywiście Zbawiciel, który mówił: „Nie przyszedłem znieść Prawo, ale je wypełnić”, przeciwstawia je miłosierdziu? To współczesne podejście prowadzi do dominującej dziś karykatury wybaczenia, która jest zasadą życia ułatwionego. Kościół ma stać się automatyczną pralnią duchową i hurtem odpuszczać zło przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. Jeśli tego nie robi, współcześni komentatorzy, zwłaszcza ateści, bardzo się na niego oburzają. Czy teolog rozmawiający z reżyserem nie powinien wskazać, że przeciwstawienie prawa i miłosierdzia jest zbyt łatwe i prowadzi do uznania Kościoła za odpowiednik gabinetu terapeutycznego?

A jeśli ten teolog jest ważną postacią w otoczeniu papieża? 



Sygnalista nadaje

Minęła ważna rocznica. 15 października – rocznica odzyskania uśmiechu przez ok. 11 mln Polaków (dzisiaj już mniej, bo część przestała się uśmiechać po otrzymaniu nowych rachunków za energię). Ten dzień (po niemiecku *Machtübernahme*) miał być świętem państwowym, co publicznie obiecywała pani Buczyńska, która była ministrem do spraw niezbyt ważnych w rządzie Donalda Tuska. Od niedawna już nie jest ministrem (ani ministram), a ludność straciła okazję do kolejnej fiesty.

Co gorsza, również jubilaci, czyli premier Donald Tusk i jego ministrowie, zapomnieli o tej radosnej okazji do zabawy. „Droga koalicjo, ta rocznica wyborów nam się nie udała” – narzekała złotousta posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska. Ale dlaczego się nie udała? Kto ją zepsuł? Kto był panem Marudą, niszczycielem dobrej zabawy, pogromcą uśmiechów dzieci? Odpowiedź w następnym odcinku.

Nie jest nim **Andrzej Duda**. Akurat prezydent pamiętał o tym święcie i specjalnie przyjechał do Sejmu, aby rozkręcić rocznicową zabawę. W znakomitym humorze i świetnej formie wykonał epicki one man show. Niektórym politykom pogroził paluszkami, ale za to innych pochwalił. Nikt nie narzekał na nudę, mimo że trwało to 45 min.

Jedna osoba się nie bawiła – Donald „Się Wściekł” Tusk. Był bardzo zdenerwowany i ciągle obgryzał paznokcie. W dawnych latach, gdy zżerały go nerwy, kręcił obrączką na palcu. Od dawna jednak jej nie nosi, więc nie miał sposobu, aby poradzić sobie z emocjami. Znów się wściekł i nakrzyczał na pana prezydenta, choć ten nic nie słyszał, bo już nie było go w Sejmie. Warto

poradzić panu premierowi, aby zaczął myśleć pozytywnie. Te nerwy mogą być objawem jakichś problemów zdrowotnych. Może trzeba się zbadać, zmienić pracę, znaleźć więcej czasu dla wnuków i asystentek społecznych. No i podziękować prezydentowi, że to jego właśnie wystąpienie pozwoliło zauważyć te wszystkie niepokojące objawy.

Nikt nie jest tak waleczny jak **Rafał Trzaskowski**. Dla niego trwa kampania prezydencka 2020 r. „Trwa i trwa mać” – jak mawiał Waldemar Pawlak. Waleczny kandydat na prezydenta kolejnymi decyzjami poszerza swój elektorat i wychodzi poza nieprzekraczalne podziały polityczne. Tak trzeba rozumieć brak zgody na zgromadzenie publiczne, jakim jest Marsz Niepodległości. W ostatnim czasie Trzaskowski dużo mówi o bezpieczeństwie publicznym, więc łatwo zrozumieć powód odmowy. Otóż chce on uchronić dziesiątki tysięcy demonstrantów przed biciem ich przez policję i polewaniem z armatek wodnych (a będzie zimno, bo to 11 listopada). Wdzięczność wyborców ma zagwarantowaną, podobnie jak dzięki wcześniejszej jego decyzji o obowiązkowym zdjęciu krzyży oraz innych symboli religijnych w instytucjach Miasta Stołecznego i Laickiego Warszawy.

Tyle pracy poszło – zacytujmy herosa demokracji walczącej – jak krew w piach. Na nic wieloletnie powtarzanie, że są sędziowie i neosędziowie, którzy sędziami nie są. Nie tylko prawica będzie powtarzała za marszałkiem Piłsudskim, że Zachód jest parszywieńki. Teraz też Donald Tusk, a zwłaszcza Adam Bodnar. Komisja Wenecka, instytucja zasłużona w walce z reżimem kaczystowskim, tym razem zawiodła na całej linii. Bodnar skierował do niej pytanie, a ona odpowiedziała, że

neosędziowie są... takimi samymi sędziami, jak sędzia Żurek, Tuleya, Gąciarek, a nawet Łączewski!

Skomentujmy ten skandal gorzkimi słowami prof. Wojciecha Sadurskiego: „Z żalem stwierdzam, że komisja wenecka popełniła błąd w ocenie rekomendacji neo-KRS do awansów i nominacji neosędziów. Pokazała, że nie rozumie, na czym polega nielegalność neo-KRS. Przyjęła argument pięknoduchów, którzy domagają się oceny indywidualnej neosędziów, obrażając w ten sposób tych uczciwych sędziów, którzy nie połączyli się na łatwy awans”.

Kolejna kłoda rzucona pod nogi przywracaczom praworządności. Adwokatura nie chce, aby były sędzia Wojciech Łączewski został wpisany na listę adwokatów. Tym razem jacejką ukrytych zióbrystów kaczyistów okazała się być Okręgowa Rada Adwokacka w Warszawie. Powiedziała mu „nie”, twierdząc, że Łączewski nie ma nieskazitelnego charakteru. A to dlatego, że toczy się przeciw niemu postępowanie prokuratorskie. Ale była to jeszcze prokuratura zióbrystowska. Niesłychane, bo mowa o człowieku, który jako sędzia chciał wsadzać do więzień pisowców (Kamińskiego i Wójcika) i jednocześnie chciał pomagać prawdziwym demokratom. Np. Tomaszowi Lisowi w ustalaniu strategii walki z prawicą. W obu przypadkach nie do końca wyszło. Zwłaszcza tym drugim, bo okazało się, że sędzia pomagał fałszywemu Lisowi, ale ostatecznie liczą się przecież intencje.

Jeśli chodzi o mecenasów, to **Roman Giertych** nie miał teraz najlepszych dni. Rzuciła się na niego czereda internetowych pisowskich hien i dość boleśnie pokasała. M.in. okazało się, że Giertych nieco przedwcześnie cieszył się z wyniku przedterminowych wyborów w Pułtusk, które wygrała kandydatka PSL. Hieny wykorzystały roztargnienie zajętego walką o praworządność i demokrację mecenasa, bowiem ten nie zauważył, że kandydatka PSL pokonała kandydatkę KO. Ten błahy powód wystarczył do rozpropagowania internetowego hasztagu #GiertychDebil. Sprawcy będą ścigani. Jeszcze nie wiadomo, czy z powodu znieważenia mecenasa, czy z powodu ujawnienia tajemnicy medycznej.

Za to w znakomitej formie jest minister zdrowia **İzabela Leszczyna**. Jak zwykle – w znakomitej formie intelektualnej. Tagwiazda obecnego rządu doskonale wytłumaczyła największym malkontentom, dlaczego szpitale nie mają pieniędzy i dlaczego ich nie dostaną. Powód jest oczywisty i aż dziw, że trzeba to tłumaczyć. To przez pisowską gigantomanię, kiedy wiadomo, że norma musi być: „Pieniądzy nie ma i nie będzie”.

„Uwaga, 2023 r. to był taki rok, kiedy PiS wiedział, że jest rokiem wyborczym, więc płacił szpitalom za wszystko i trochę się przyzwyczailiśmy do tego, że

ten pieniądź jest” – powiedziała na głos, bo w wywiadzie radiowym, minister Leszczyna. Zatem czas się odzwyczaić. Szpitale nie są od tego, aby leczyć, lecz od tego, aby oszczędzać na zabiegach, konsolidować się i likwidować niepotrzebne oddziały.

W oczach zwolenników demokracji walczącej Zbigniew Ziobro to postać wręcz diaboliczna. Tymczasem to osoba tak dobrodusza, że aż naiwna jak dziecko. Były minister sprawiedliwości zgodził się na wywiad dla dziennika „Rzeczpospolita”. Rozmowa się ukazała, wprawdzie mało kto ją czytał, bo była dostępna tylko za tzw. paywallem, ale za to autor wywiadu zdradził swojego rozmówcę. Miało to związek z odmową Ziobry stawienia się na przesłuchanie w komisji śledczej do spraw ścigania prawnicy z któregoś tam powodu. Otóż Jacek Nizinkiewicz, jemu bowiem zaufała Ziobro, upublicznił kulisy przeprowadzenia wywiadu.

A najważniejsze, że wydał diagnozę. Dr. Nizinkiewicz stwierdził, że Ziobro powinien stawić się przed komisją, gdyż jest w takiej kondycji, „jak Eminem w szczycie swojej kariery”. Po tej diagnozie spodziewamy się, że MON wezwie Ziobrę na ćwiczenia rezerwy, aby pokazać, że resekcja żołądka i przełyku to tylko drobne dolegliwości. A byłemu ministrowi podpowiadamy, że w demokratycznych mediach czekają kolejni autorzy, którzy chętnie z nim przeprowadzą wywiad: Wojciech Czuchnowski, Eliza Michalik, Tomasz Lis, Jan Piński.

Wprawdzie nie z Ziobrą, lecz tylko z Tuskiem przeprowadził wywiad red. Bartosz Wieliński (dla freundów Bartosch). Również z powodu paywallu „Gazety Wyborczej” jest na szczęście niedostępny dla zwykłych ludzi. Nie będziemy cytować, ale ogólnie jest o tym, że „nachodźcy” to broń Putina, na dodatek kryminaliści, terroryści, bandyci i żaden z nich nie jest w ciąży. Tusk więc będzie robił im pushbacki na granicy. Redaktor Bartosch z uwagą wsłuchiwał się w mocne słowa przywódcy uśmiechniętej Polski. Z pełną akceptacją przyjął zapowiedź twardej obrony granicy. Z troską zauważył jedynie, że rozliczenia prawnicy idą zbyt wolno, ale premier mądrze wywniósł się z tego trudnego pytania, apelując o cierpliwość. Apel wzbudził pozytywny odzew redaktora.

Pisowskie internetowe hieny wypominają redaktorowi Bartoschowi, że wzywał kiedyś żołnierzy i strażników granicznych, aby ci nie wykonywali rozkazów niewpuszczania biednych imigrantów do Polski. Czy ci opłacani przez Nowogrodzką hejterzy nie rozumieją, że były to inne rozkazy niż te dzisiejsze? Żedzisiajprzezgranicęprzechodząkryminaliści, awtedy byli to biedni ludzie, którzy szukają swojego miejsca na ziemi? Naprawdę trzeba być prawnicowcem, aby nie rozumieć tego, że są pushbacki demokratyczne i pushbacki niedemokratyczne.



Rząd roku



Krzysztof Feusette

Tusk: Jak wiecie, rok temu w drodze wolnych wyborów wyzwoliliśmy kraj z rąk nazistów, którzy zmierzali do dyktatury...

Kidawa-Błońska: Do autototalitaryzmu...

Tusk: Bardzo proszę, żeby pani nie przeszkadzała...

Kidawa-Błońska: Gdyby natura chciała, to bym nie przeszkadzała...

Tusk: Milczeć. Bo się wścieknę. Stąd już kobiety z płaczem wychodziły.

Siemoniak: Ale to mogły być łzy szczęścia...

Tusk: Tak były szczęśliwe, że mogą wyjść?

Siemoniak: Nie no, że mogą z panem premierem...

Tusk: Niech mnie w d...pę pocałują. Dzisiaj świętujemy rocznicę odzyskania Polski. I z tej okazji chcę zapytać o wasze sukcesy...

Gajewska: W życiu tylu ekspresów do kawy nie miałam.

Tusk: A coś dla ludzi?

Myrcha: Dla ludzi to mamy wersję, że wynajmujemy mieszkanie w Warszawie za pieniądze publiczne, bo dom pod Warszawą jest do remontu.

Kierwiński: A czemu? Zdjęcia widziałem, wygląda na gotowy.

Gajewska: Dzieci strasznie bałagania.

Myrcha: Do tego stopnia, że on się teraz nie nadaje do zamieszkania przez dzieci.

Kropiwnicki: Wielkie mi halo. Ja mam 12 mieszkań, a biorę z Sejmu kasę na wynajem 13.

Tusk: I to jest sukces?

Kropiwnicki: Dla mnie ogromny. Poza tym jestem wiceministrem aktywów państwowych, więc też tam mam sukcesy. Zawsze to miło, gdy przyjaciele kroczą drogą awansu.

Tusk: A czy ktoś z państwa osiągnął przez ten rok coś, co można by pokazać ludziom?

Zielińska: Jako wiceministra klimatu i obrony naszego środowiska informuję, że ocaliłam tysiące ryb dzięki nie spuszczeniu wody ze zbiorników przed powodzią. Ocaliliśmy leszcze, okonie...

Tusk: A coś dla ludzi?

Zielińska: To jest właśnie dla ludzi. Grozi nam susza, gdyż planeta płonie i nie będzie przyszłych pokoleń. Dlatego nie powinniśmy się rozmnęzać.

Tusk: Pani to powstrzyma?

Zielińska: No, jeśli mi ministra Hennig-Kloska pomoże...

Hennig-Kloska: Kobieto, ja jestem tak zajęta, że nie mam kiedy policzyć parków narodowych. Przecież muszę gdzieś powbić te wiatraki z Niemiec.

Tusk: Tak jest. Za darmo nam KPO nie odblokowali.

Kierwiński: O, i to jest sukces!

Tusk: 100 razy o tym mówiłem. Trzeba czegoś nowego. Może kolega ma jakiś sukces?

Kierwiński: Miałem, ale się zepsuł. Do Brukseli się dostałem. Może o tym opowiem?

Tusk: Ty już się lepiej przed mikrofon nie pchaj.

Bodnar: Mam!

Tusk: No co?

Bodnar: Przywróciliśmy praworządność!

Tusk: Czym? Czynnym żalem? Łamaniem konstytucji? Ile razy mam powtarzać, że w demokracji walczącej obowiązują wyłącznie moje dekrety? Czym tu się chwalić? Może jak byśmy więcej księży aresztowali?

Bodnar: To może o Palikocie powiemy?

Tusk: Był wiceszefem Platformy. A my musimy być czystszy jak żona kanclerza. Zwłaszcza że teraz na topie jest bezpieczeństwo. Mam! Wycofamy azyl polityczny.

Bodnar: Nie możemy.

Tusk: Co nie możemy?!

Bodnar: Nie możemy... postąpić inaczej.

Kierwiński: Doskonale zagranie. Żaden pisowiec nie zasłużył na azyl.

Tusk: Tu o migrantów chodzi.

Siemoniak: Ale opozycja z Białorusi też nie wjedzie.

Tusk: Trudno. Musimy pokazać, że teraz to my jesteśmy murem za zaporą.

Kierwiński: Biedni ludzie.

Tusk: Niby kto?

Kierwiński: No ci, co nas wcześniej słuchali. Niepotrzebne było to bieganie na granicy.

Szczerba: Co?

Joński: Co?

Kierwiński: Jajco!

Tusk: Tak nie można, chłopaki to z dobrego serca robiły. Dawajcie te sukcesy!

Leszczyna: Będziemy zamykać oddziały szpitalne!

Tusk: To teraz wszystkie oddziały będą zamknięte?

Leszczyna: Zamknięte nie. Zamknięte będą otwarte. Za to otwarte zostaną zamknięte. Aha, bo bym zapomniała, nie lubię słowa „likwidacja”, wolę „dobrowolna reorganizacja”.

Tusk: Gdzie sukces?

Leszczyna: Sól fizjologiczna niedługo wróci do szpitali.

Tusk: Pisowcy zakazali?

Leszczyna: Nie, tydzień temu zabrakło. I od razu afery. A ja się pytam: po co komu sól, jak i tak terminy operacji są na przyszły rok przesunięte? Do tego doktorów brakuje.

Myrcha: Ja mam doktorat!

Bodnar: A kto mi będzie kanapki przynosił? Pan jest potrzebny w resorcie, zwłaszcza teraz, jak odkryto te pana szwindle.

Gajewska: To moja wina! Przysięgam! Zostawcie go, on nic nie wiedział. On myślał, że ja te odkurzacze naprawdę do biura kupuję! Nic nie mów, Arkadiuszu!

Tusk: Proszę się uspokoić, koleżanka Leszczyna coś pani przepisze. Może tę pigułkę dzień po? Przy okazji pretestujemy, jak działa.

Leszczyna: Ale to jest po...

Gajewska: Dawaj, kochana. Ja sobie kiedyś obiecałam, że muszę mieć więcej ekspresów niż dzieci, ale teraz wszystko się posypało.

Myrcha: Nie mów tak, jeszcze sobie odbijemy...

Tusk: Chyba nerki!

Czary mary

Politycy koalicji rządzącej jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienili zdanie w sprawie bezpieczeństwa wschodniej granicy Polski

Minister zdrowia Izabela Leszczyna, ta sama, która w kampanii zapowiadała, że „wszystkie problemy znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki”, a po wyborach stwierdziła, że „nie da się za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienić wszystkiego od razu”, zszokowała właśnie opinię publiczną stwierdzeniem, że „2023 r. to był taki rok, kiedy PiS wiedział, że jest rokiem wyborczym, więc płacił szpitalom za wszystko i trochę przyzwyczailiśmy się do tego, że ten pieniądz jest”. Ależ to byli czarodzieje! Umieli znaleźć środki na finansowanie służby zdrowia.

A teraz pieniędzy nie ma i nie będzie, dlatego Narodowy Fundusz Zdrowia boryka się z ogromnymi problemami finansowymi, nie płaci za nadwykonia, szpitale zamykają oddziały, odwoływane są planowe zabiegi, a kolejki do ambulatoryjnej opieki specjalistycznej się wydłużają. A przecież Koalicja Obywatelska w 100 konkretach ogłoszonych przed wyborami zapowiadała zniesienie limitów NFZ w leczeniu szpitalnym. Wiele zresztą zapowiadała, np. podniesienie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. Dziś już wiemy, że nic z tego, więc czarodziej Donald Tusk musi sobie wyczarować coś, czym się pochwali.

I wyczarował 800+. Już w styczniu PO ogłaszała w mediach społecznościami: „Tak jak obiecywaliśmy, nowy rok zaczęliśmy od waloryzacji 500+ na 800+”, „Spełniamy obietnice. Pierwsze wypłaty 800+ już na kontach rodziców” – chwaliła się Platforma. Tym tropem poszedł Tusk na ostatniej konwencji KO, chwaliąc się, że od 1 stycznia działa program 800+. Według premiera ten program to „realne zwiększenie bezpieczeństwa materialnego wszystkich rodziców”. Program, który „pokazuje bardzo wyraźnie, że z nami [rządem Donalda Tuska – red.] ludzie mogą się czuć bezpiecznie – także w tym wymiarze finansowym, materialnym”.

Dla tych, którzy już nie pamiętają, podniesienie kwoty z 500+ do

800+ zapowiedział jeszcze w czerwcu 2023 r. Jarosław Kaczyński, a 7 sierpnia 2023 r. prezydent Andrzej Duda podpisał nowelizację ustawy o finansowym wsparciu rodzin w wychowywaniu dzieci. To właśnie ta nowela podwyższyła świadczenie do 800 zł na dziecko.

To także rząd PiS zapewnił w budżecie państwa finansowanie projektu. A politycy PO i całej koalicji 13 grudnia musieli za to jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienić zdanie w sprawie wsparcia rodzin o 180 stopni. Wielu z nich mówiło bowiem w kampanii o konieczności wprowadzenia progu dochodowego lub powiązania świadczenia z aktywnością zawodową.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki politycy rządzącej koalicji zmienili też zdanie w sprawie bezpieczeństwa wschodniej granicy Polski. Mimo że nie chcieli zapory na granicy, chcąc ją wzmacniać. Mimo że żal im było biednych ludzi, którzy szukają swojego miejsca w życiu, i chcieli wpuszczać wszystkich jak leci, a później sprawdzać, kim są, dziś już nie mają wątpliwości, że to hybrydowy atak ludzi szkolonych w Moskwie i Mińsku. Choć nikt z obecnego obozu władzy nie przeprosił za sprowadzanie zagrożenia na Polskę w postaci torpedowania działań służb i podważania sensu obrony granicy za poprzedniego rządu, dziś już przynajmniej nikt nie chce wpuszczać migrantów jak leci. Donald Tusk tak się nawet zagalopował, że zapowiedział czasowe terytorialne ograniczenie prawa do azylu, choć akurat ludzie atakujący Polskę od wschodu masowo o azyl się nie ubiegali. Wszystko niby dla bezpieczeństwa naszego kraju. Niestety ten rząd, który nieustannie liczy na fatalną pamięć swoich wyborców, zgodził się na pakt migracyjny zakładający relokację nielegalnych migrantów, którzy znaleźli się w UE. Z bezpieczeństwem nie ma to nic wspólnego.

Największy czar Tuska polega chyba na tym, że polityk ten od lat ma luźne podejście do mówienia prawdy, a wciąż udaje się znaleźć frajerów, którzy mu wierzą. 

Dorota Losiewicz



Zaledwie trzy miesiące od objęcia rządów premier Keir Starmer znalazł się pod ścianą. Notowania Partii Pracy gwałtownie spadły do 27 proc. poparcia i zrównały się z wynikami torysów. Jedną z przyczyn, oprócz ideologicznych obsesji nowego rządu, jest narastający kryzys gospodarczy.

Podczas kampanii wyborczej, którą zwieńczyło wielkie zwycięstwo Partii Pracy, Keir Starmer dwoił się i troił, aby laburzyści odzyskali zaufanie wielkiego biznesu. W trakcie licznych spotkań z finansjerą obiecywał, że zerwie z radykalną polityką swojego poprzednika Jeremy'ego Corbyna i nie będzie naruszał stanu posiadania najbogatszych. Liberalny zwrot (kolejny już w historii Partii Pracy) miał oczywiście swój cel wyborczy, ale Starmer uważał też, iż dzięki współpracy z wielkim kapitałem uda mu się rozruszać brytyjską gospodarkę.

Po trzech miesiącach od objęcia władzy okazało się, że ten plan może być niewykonalny. Dziura w brytyjskim budżecie wyniosła 29 mld dol. (22 mld funtów) i rząd Starmera stanął przed koniecznością cięć. Do rozważenia pozostawało, czym kosztem. Początkowo planowano przycięcie zysków akcjonariuszy prywatnych funduszy inwestycyjnych. W tej chwili placą oni ulgową 28-proc. stawkę podatku od sprzedaży aktywów.



Wielka Brytania

Plutokracja zamiast demokracji

nuacji dotychczasowej polityki. Bogactwo Wielkiej Brytanii ma pochodzić z prywatnych inwestycji w finanse, zieloną energię, obronę oraz „przemysł kreatywny” i „usługi profesjonalne”. Pod tymi ostatnimi określeniami kryją się biznesy prowadzone przez globalne korporacje.

Deindustrializacja rozpoczęta w latach 80. przez Margaret Thatcher i oparcie gospodarki kraju na sektorze finansowym skazały Wielką Brytanię na łaskę i niełaskę wielkiego kapitału. Obietnice złożone wyborcom nie mają więc większego znaczenia, jeśli uderzają w interesy finansjery lub innych wpływowych grup. Liberalna demokracja po raz kolejny okazuje się plutokracją. **✓**

Konrad Kolodziejski

Prezydent Kenii William Ruto ogłosił bezprecedensowy w skali światowej program ekonomiczny.

Kołem zamachowym tamtejszej gospodarki ma być... masowa emigracja młodych ludzi za granicę. Dzięki temu ma się zmniejszyć bezrobocie, które dziś wynosi wśród młodzieży aż 35 proc. Mają też wzrosnąć wpływy z przekazów pieniężnych przesyłanych do kraju przez emigrantów zarobkowych. W 2023 r. przetransferowali oni do Kenii równowartość 3,8 mld euro.

Rząd w Nairobi podpisał już w tej sprawie umowy z kilkoma państwami Półwyspu Arabskiego, a w zeszłym miesiącu zawarto też wstępne porozumienie z Niemcami o wysłaniu tam 3 tys. kierowców autobusów. Prezydent Ruto zapewnił, że Berlin jest

Eksport ludzi

 **Kenia**



gotów przyjąć 250 tys. młodych Kenijczyków, jednak urząd kanclerzski zaprzeczył tym doniesieniom. W umowie podpisanej z Kanadą władze w Nairobi zobowiązały się z kolei wysłać za ocean wysoko wykwalifikowanych pracowników służby zdrowia, w tym lekarzy, fizjoterapeutów i pielęgniarki. Dla Kenii borykającej się z niedoborami personelu medycznego to duży cios.

Prezydent nie widzi jednak problemu w tym drenażu mózgów. Co więcej, uznaje go za powód to dumy

i chwali się swoim przepisem na poprawę sytuacji ekonomicznej. Zamiast inwestować w rodzimą gospodarkę i tworzyć nowe miejsca pracy, priorytetem rządu stał się eksport pracowników, zwłaszcza wykształconej młodzieży. Ruto ma jednak w tym cel. W ostatnich miesiącach przez kraj przetacza się fala protestów przeciw korupcji, bezrobociu, podwyżkom cen i podatków. Wśród demonstrantów przeważają studenci i absolwenci wyższych uczelni. W starciach z policją zginęło już kilkadziesiąt osób. W związku z tym prezydent ma nadzieję, że wypchnięcie za granicę młodych gniewnych ustabilizuje sytuację. To jednak kalkulacja krótkowzroczna. Odpływ talentów z kraju odbywa się bowiem kosztem perspektyw na przyszłość. **✓**

Grzegorz Górny



USA

Kosztowna kłapa Disneya

Serial „The Acolyte”, a więc „Gwiezdne wojny” w konwencji feministycznego manifestu z fabułą po brzegi wypełnioną motywami LGBT+, kosztował 250 mln dol. Jednak okazał się na tyle niestrawny dla widowni, że poniósł spektakularną klępkę i nie będzie kontynuowany.

Najnowszy streamingowy serial Disney+ jest kolejną produkcją osadzoną w uniwersum słynnej sagi George’a Lucasa „Star Wars”. Został jednak wyśmiany przez krytyków, którzy zarzucili mu nachalne lansowanie lewicowej mitologii. Okazało się bowiem, że nie chodzi tam o walkę dobra ze złem. Wytknięto, że obsadę filmu zdominowali czarnoskórzy i kolorowi aktorzy, niemal wszystkie kobiety to feministyczne monstra, a facetów – na czele z robotem C-3PO – dręczą skłonności homoseksualne.

Zwracano także uwagę, że scenariusz autorstwa Leslye Headland (przez lata asystentki Harveya Weinsteina skazanego za przestępstwa seksualne) był nierówny, pełen błędów logicznych, „głupich dialogów i bezsensownych fabuł”. Co ciekawe, choć film miał być w założeniach

wizytówką tzw. różnorodności, zaledwie 30 proc. osób pracujących nad nim stanowiły kobiety, które otrzymały za swoją pracę o 20 proc. niższą stawkę godzinową niż mężczyźni.

Nowy serial został też natychmiast odrzucony przez widzów, co doprowadziło do poważnych strat finansowych. Rozliczenia podatkowe złożone przez brytyjski oddział Walt Disney Company ujawniają, że koszt produkcji wyniósł 231 mln dol., a więc ok. 29 mln dol. za odcinek.

Ale finansowa porażka to jedno, a zabicie kury znoszącej złote jaja to zupełnie co innego. Na zakup wytwórni Lucasfilm Disney wydał ok. 5 mld dol. Już kilka lat temu Kathleen Kennedy, obecna producentka filmów z serii „Star Wars”, dała się poznać jako lewacka fanatyczka. Naciskała na to, aby słynna moc była określona pod względem płci i lansowała hasło: „Moc jest kobietą”, chociaż widownia w ogóle nie była tym zainteresowana.

Aby lepiej zrozumieć rozmiary porażki Disneya, musimy sobie uświadomić, że dotyczy ona jednej z najpopularniejszych i wciąż przynoszącej krociowe zyski opowieści w historii Hollywood. Jednak skutki realizacji lewicowych fantazji okazały się dla „Gwiezdnych wojen” tak kosztowne jak powierzenie trzyletniemu dziecku „Mony Lisy” i flamastrów.

Maciej Walaszczyk

Dominikana



Przymusowy powrót do kraju

Władze Dominikany wznowiły deportację nielegalnych imigrantów z Haiti. W ciągu tygodnia odesłano 11 tys. osób i jak ogłosił rząd, planowana jest „repatriacja” po 10 tys. osób w kolejnych tygodniach aż do skutku. Według rzecznika prezydenta Dominikany celem operacji jest „zmniejszenie nadmiernej populacji imigrantów wykrytej w lokalnych społecznościach dominikańskich”.

Napływ haitańskich uciekinierów do sąsiedniej Dominikany ma związek z nieustającymi wojnami gangów i faktycznym upadkiem rządu na Haiti. Tymczasowe haitańskie władze są wspierane przez kontyngent ONZ złożony głównie z kenijskich żołnierzy, który jest jednak za mały liczebnie i ma zbyt ograniczony budżet, aby poradzić sobie z narastającym chaosem. Tylko w pierwszym tygodniu października w walkach gangów w Haiti zginęło 70 osób, w tym dzieci.

Upadek państwa i powszechna przemoc ze strony gangów doprowadziły do tego, że ok. połowa populacji tego karaibskiego państwa, jak wynika z szacunków ONZ, ma problemy ze zdobyciem pożywienia i cierpi głód. Zapaść państwa popycha wielu Haitańczyków do szukania szansy w sąsiedniej, stabilnej i dobrze funkcjonującej Dominikanie. Uważa się, że na jej terenie znajduje się obecnie nawet 700 tys. nielegalnych przybyszów i ta sytuacja skłoniła władze Dominikany do działania. Tym bardziej że relacje między obydwojoma państwami są napięte, a Garry Conille, przejściowy premier Haiti, oskarżył Dominikanę o prowadzenie niehumanitarnej polityki i rasizm. Wynika to z faktu, że obywatele Haiti są w przynajmniej większości ciemnoskórzy, podczas gdy Dominikanę zamieszkuje przede wszystkim ludność mieszaną. Z kolei dominikański prezydent Luis Abinader powiedział, że podjęte kroki mają skłonić do działania te państwa, które zobowiązały się ustabilizować sytuację na Haiti, a czynią to w opieszały sposób, ograniczając swoje zaangażowanie finansowe. „Ostrzegaliśmy ONZ” – oświadczył Abinader, że „albo zacznie działać zgodnie ze składanymi obietnicami, albo podejmiemy odpowiednie kroki.”

Marek Budzisz

Unia jak futbol

Niestety dziś słowa angielskiego napastnika pasują jak ulał do Unii Europejskiej – trawestując słynny bon mot, można spokojnie powiedzieć, że UE to prosta organizacja – 27 krajów zawzięcie negocjuje swoje interesy, a na końcu i tak wygrywają Niemcy.

Dziś Niemcom wolno w Unii dużo więcej – wolno nie przestrzegać Schengen, wolno ukradkiem podrzucać sąsiadom śmieci, wolno publicznie deklarować, że „zagłodzą” asertywne wobec nich kraje i rządy, wolno ogłaszać, że zamierzają federalizować Wspólnotę pozatraktatowo, wolno blokować nie-



„Piłka nożna to taka gra, w której 22 mężczyźni biega za piłką, a na końcu i tak wygrywają Niemcy” – powiedział kiedyś sfrustrowany Gary Lineker. Legendarny angielski napastnik skomentował tak przegrany półfinał Mistrzostw Świata w 1990 r., w erze, kiedy Niemcy rzeczywiście dominowali w piłce nożnej i nic nie wskazywało, że coś może się zmienić. A jednak – od tamtego turnieju niemiecka drużyna tylko raz wygrała mistrzostwa świata

wygodne dla nich przygraniczne inwestycje i bezkarnie wykorzystywać fakt, że przypadkowo psują się im interkonektory, gdy wszędzie w Europie brakuje gazu, wolno wreszcie oferować zaatakowanym Ukraińcom w pierwszych dniach wojny dostawę hełmów i nie mrugnawszy okiem, po roku stroić się w piórka najwaleczniejszego sojusznika. Wolno szeroko otworzyć drzwi nielegalnym imigrantom z gromkim „herzlich willkommen”, a potem podzielić się z resztą Unii wygenerowanym problemem społecznym. Polityka gospodarcza Europy ma być skrojona

pod Niemcy. Jeśli akurat odpowiada też innym unijnym stolicom, to dobrze, a jeśli nie odpowiada – to tym gorzej dla tych stolic, przecież zawsze można je (bezkarnie) zagłodzić.

Jest to możliwe m.in. dzięki rzeszy gorliwych europejskich potakiwaczy i klakierów, którzy za miejsce przy stole, za dyplom „proeuropejskości”, za poklepanie po plecach, za zdawkowe słowo kanclerskiego uznania są gotowi zaniechać obrony interesów własnych krajów i narodów. Przewodnicząca von der Leyen nie bez kozery nosi w Brukseli przydomek „cesarzowa”.

Wysłuchania przyszłych komisarzy (pochodzących ze wszystkich krajów Wspólnoty), które zbliżają się wielkimi krokami, to jednak dobra okazja, by zainicjować zmianę akcentów i zadać kandydatom z każdego unijnego kraju właściwe pytania, bardzo uważnie wysłuchując odpowiedzi. Europejskie przemysł i gospodarka wymagają bardzo silnego impulsu prorozwojowego, inaczej konkurencyjny wyścig z USA i Chinami ostatecznie przegra cały europejski przemysł i gospodarki wszystkich unijnych państw, nie tylko Niemiec. Odpowiedzi komisarzy i ich spojrzenie na układ sił w Europie mogą zadecydować o ostatecznym głosowaniu w europarlamencie.

Jak jednak zmienił się układ sił w sporcie, tak i w Unii jest możliwa sprawiedliwsza równowaga. Część stolic patrzy na Berlin coraz bardziej sceptycznie, coraz więcej obywateli przy urnach wyborczych mówi pro-niemieckim potakiwaczom stanowcze „nein” i głosuje na partie reprezentujące krajowe interesy. Powyborcze przesunięcie w konserwatywną stronę w europarlamencie też jest wskazówką, że układ sił powoli się zmienia.

Oby jak najszybciej wrócił sprawiedliwy balans i powiedzenie o tym, że „na końcu zawsze wygrywają Niemcy”, stało się w wewnętrznej polityce tak samo nieaktualne, jak od lat jest nieaktualne w sporcie.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

Usankcjonowanie bezprawia

Polska ma wkrótce uruchomić 49 centrów integracji cudzoziemców, które mają za zadanie wspierać przybyłych do naszego kraju migrantów. Prace koordynuje Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Projekt jest współfinansowany ze środków Funduszu Azylu, Migracji i Integracji Unii Europejskiej. Polska będzie musiała wnieść wkład finansowy zarówno z budżetu państwa, jak i z budżetów lokalnych przy wsparciu Europejskiego Funduszu Społecznego.

Według informacji publikowanych w mediach obecnie to kwota 432 mln zł, która z pewnością pomogłaby uratować niejedną z zamykanych w ostatnim czasie oddziałów szpitalnych. Warto zaznaczyć, że w Polsce istnieją już placówki wspierające cudzoziemców legalnie przebywających na terenie naszego kraju, a RP nie była państwem docelowym migrantów ani nie leżała na szlaku ich wędrówek.

Trzeba wskazać, że bliscy nam kulturowo uchodźcy – Ukraińcy – masowo podjęli pracę i zintegrowali się z naszym społeczeństwem. Zupełnie innym zagadnieniem jest niekontrolowany napływ osób pochodzących z Afryki, Bliskiego Wschodu i z Azji, dla których najprawdopodobniej szykowanych jest aż 49 centrów integracji.

Według OECD przemyt ludzi jest jedną z najszybciej rozwijających się i najbardziej lukratywnych form zorganizowanej działalności przestępczej. W pierwszej połowie 2023 r. migranci zapłacili przemytnikom co najmniej 360 mln euro, by nielegalnie przedostać się przez Morze Śródziemne do UE.

Jeden z raportów Fronteksu wskazuje, że nielegalni migranci otrzymują instrukcje od handlarzy, jak dotrzeć do łodzi organizacji pozarządowych. W ostatnich latach grecka Narodowa Służba Wywiadowcza ujawniła współpracę pomiędzy handlarzami ludźmi i organizacjami pozarządowymi na Morzu Egejskim. Greckie służby udowodniły, że organizatorzy przemytu przekazywali instrukcje nielegalnym migrantom kontaktu z NGO, których „aktywiści” w imieniu osób będących ofiarami handlu ludźmi składali wnioski azylowe. Ylva Johansson, unijna komisarz odpowiedzialna za sprawy wewnętrzne, w odpowiedzi na zapytanie greckiego posła przyznała, że wiele organizacji pozarządowych w Grecji i we Włoszech jest objętych dochodzeniem w sprawie ułatwiania nielegalnej migracji.

Opracowanie autorstwa Vikrama Maheshriego (Uniwersytet w Houston), Claudia Deiany (Uniwersytet w Cagliari) i Giovanniego Mastrobuoniego (profesora zwyczajnego w Carlo Alberto College w Turynie) zatytułowane „Nielegalna migracja i niezamierzone konsekwencje działań poszukiwawczo-ratowniczych na środkowym Morzu Śródziemnym” wykazało związki pomiędzy handlarzami ludźmi a działaniami poszukiwawczo-ratowniczymi prowadzonymi przez organizacje pozarządowe i włoską marynarkę wojenną. W 2023 r. „EUobserver” poinformował, że organizacje pozarządowe pojawiają się w wielu dokumentach znajdujących się w posiadaniu Fronteksu w ramach operacji zwalczania przemytu prowadzonej przez Europol. W 2022 r.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

agencja ta zebrała informacje dotyczące 290 organizacji co do których istnieje podejrzenie, że pomagają przemytnikom ludzi.

Kilka miesięcy temu szef MON potwierdził, że na polskiej granicy z Białorusią „aktywiści” przekazują instrukcje i wskazówki nielegalnym migrantom, jak poruszać się w Polsce oraz oferują im dokumenty, tym samym współdziałając z przemytnikami i funkcjonariuszami białoruskich i rosyjskich służb specjalnych realizującymi wymierzoną w RP hybrydową operację „Słuz”. Członkowie tych organizacji zasłynęli też wulgarnymi atakami na polskich funkcjonariuszy broniących naszej suwerenności.

Zgodnie z przepisami Kodeksu karnego pomocnictwo w nielegalnym przekraczaniu granicy jest przestępstwem zagrożonym karą nawet do 10 lat pozbawienia wolności (art. 264 kk). Większość spraw jest jednak umarzana. W ostatnim czasie jedna z organizacji działających na polsko-białoruskiej granicy wygrała przetarg na budowę jednego z centrów integracji cudzoziemców. W ten sposób sankcjonuje się zarówno nielegalny proceder przemytu migrantów, jak i pomocnictwo w tej działalności.

REKLAMA



Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

Poranek z Radiem Warszawa
"Budzimy stolicę i okolice"

Ewa Pietrzak, Jarosław Wydra,
Weronika Ostrowska i Janusz Zalewski
poniedziałek - piątek,
godz. 7.00-10.00

170924/F



Walizka ks. Tomasza Trzaski

kapelana Muzeum Żołnierzy Wyklętych
i Więźniów Politycznych PRL



Przyznam, że chyba od zawsze moje życie związane było z walizką, a wcześniej z plecakiem. Wzrastałem w harcerstwie, do dziś jestem instruktorem i kapelanem wyszkowskiego hufca ZHP. Potem żyłem pomiędzy seminarium a domem rodzinnym. Od lat nieustannie podróżuję. Na weekend często jadę do rodziców, mam tam swój kąt i miejsce, gdzie trzymam większość swoich rzeczy. Mieszkam w Laskach koło Warszawy i stąd ruszam to na prace poszukiwawcze prowadzone przez Instytut Pamięci Narodowej, to na szkolenia i wykłady, które prowadzę jako pracownik Biura ds. Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. Niekiedy też podróżuję. Lubię Włochy i Grecję, a od kilku lat inspirują mnie podróże na Półwysep Bałkański. Życie to podróż, zatem podróżuję.



SUTANNA

Bardzo lubię chodzić w sutannie i na szczęście mam wiele ku temu okazji. Chodzę w niej nie tylko do kościoła, do mediów i na różne uroczystości, lecz także staram się iść w niej tam, gdzie tylko mogę. Wiem, że jest to znak, który dla wielu jest ważnym świadectwem. Po prostu lubię w niej chodzić.

„ROTMISTRZ”

Trudno dziś wyobrazić sobie panteon polskiego patriotyzmu bez rtm. Witolda Pileckiego. W Muzeum przy Rakowieckiej pamiętamy o nim w zasadzie każdego dnia. Bardzo mi pomaga w tej pamięci książka mojego przyjaciela Jarka Wróblewskiego, jednego z najlepszych znawców życia Rotmistrza.





OBRAZ PANI JASNOGÓRSKIEJ

To właśnie pod tym świętym wizerunkiem w Pawilonie X dawnej mokotowskiej katowni co miesiąc sprawuję Mszę w intencji więzionych i pomordowanych na Rakowieckiej. Spotykamy się w każdą drugą niedzielę miesiąca już od ponad sześciu lat.

„KWATERA Ł – WOLNOŚĆ JEST KULOODPORNĄ”

Nie da się zrozumieć historii Żołnierzy Wyklętych, jeśli nie zna się historii powązkowskiej „Łączki”.

To tam komuniści grzebali ofiary zamordowane na Rakowieckiej.

Ta książka pozwala mi wrócić do doświadczenia wolontariatu podczas prowadzonych

tam prac ekshumacyjnych.



ŻYCIE JEST WARTÉ ROZMOWY

Jestem też suicydologiem i pracuję z osobami w kryzysie. To trudna posługa, bo obejmuje ludzi, którzy znaleźli się w najtrudniejszym momencie życia. Od wielu lat to

mój drugi „etat”, który wymaga nieustannego pogłębiania wiedzy. Sięgam po nią, gdy tylko mam wolną chwilę.

PAMIĄTKI PO ROZSTRZELANYCH

Od wielu lat mam zaszczyt pracować w zespole prof. Krzysztofa Szwagrzyka w Instytucie Pamięci Narodowej przy poszukiwaniach i ekshumacjach szczątków polskich bohaterów. To szczególna misja, którą nazwaliśmy „Powracamy po swoich”.

To jeden z najważniejszych momentów mojego dotychczasowego życia.



RZYM

Wieczne Miasto to moja wielka miłość. Przed laty miałem okazję chwilę tam studiować i praktykować w Radiu Watykańskim. Ale nade wszystko niezwykle lubię tam po prostu być. Spacerować,

przyglądać się miastu, w którym przeplata się niekończąca się historia cesarstwa i papieństwa.

Ten obrazek otrzymałem jako pamiątkę po śp. bp. Stanisławie Stefanku, z jego osobistych zbiorów. Jest dla mnie bardzo cenny.



RÓŻANIEC

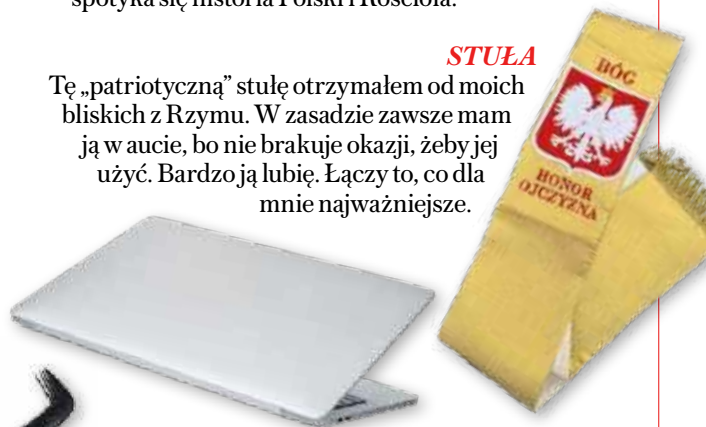
Z relikwiami bł. Elżbiety Róży Czackiej. Mam to szczęście mieszkać i żyć we wspólnocie ośrodka dla ociemniałych w Laskach.

Tutaj jestem w otoczeniu kapłanów, sióstr franciszekanek i świeckich. To mój codzienny dom i miejsce codziennej Eucharystii. Cenię spokój i ciszę tego miejsca, w którym, podobnie jak w Rzymie, spotyka się historia Polski i Kościoła.



STUŁA

Tę „patriotyczną” stulę otrzymałem od moich bliskich z Rzymu. W zasadzie zawsze mam ją w aucie, bo nie brakuje okazji, żeby jej użyć. Bardzo ją lubię. Łączy to, co dla mnie najważniejsze.



CYBERBEZPIECZEŃSTWO

Bo trzeba mieć jakąś pasję! Od dzieciństwa lubiłem wiedzieć, jak coś działa. Pierwsze Atari pojawiło się w naszym domu jeszcze w latach 80. Potem były już poważne komputery i internet. Przez wiele lat byłem odpowiedzialny za bezpieczeństwo sieci oraz serwerów w mojej diecezji i do dziś w wolnych chwilach przypominam sobie, jaki jest twój PIN i co to jest buffer overflow.

Wysłuchał **Michał Korsun**

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Ale się wyprawia...!



**Jan
Pietrzak**

To nie jest banalne wydarzenie. W Algierii i Maroku pojawiła się powódź. Należy się zastanowić w gronie najciekawszych umysłów w rodzaju Kierwińskiego, jak potraktować ten incydent. Jest on specjalistą powodziowym w randze ministra. Czy to sukces polityki klimatycznej Unii Europejskiej, czy jedna z plag egipskich, przesunięta w czasie i przestrzeni? Co w gruncie rzeczy sprowadza się do podobnego nieszczęścia. Z Saharą czuję się związany od 1980 r., kiedy w kabarecie wyjaśniałem istotę socjalizmu: „Wprowadźcie socjalizm na Saharę – po tygodniu piachu zabraknie”.

Takich nieszczęść jest cała masa. Np. wódka w tubkach zalewająca tereny uprawowe kartofla nizinnego i rzepaku ozimego. Z dumą pragnę wspomnieć, że to w Kabarecie pod Egidą w latach 70. Janek Stanisławski błysnął piosenką „O raju, wódka w sprajul”. Dekadę później twórczo temat rozwinął Krzysiek Jaroszyński w rewelacyjnym monologu „Wódka w czopkach”. Kiedy dożyjemy wolnej Polski, może w Polskim Radiu znajdzie się czas antenowy, by odtworzyć prekursorską twórczość mojego kabaretu. Jak do tej pory polskim radiem zarządzają tępe muły odporne na humor, producenci nudy i bełkotu – z małymi wyjątkami. Podobnie w służbie zdrowia.

W szpitalach atakuje pacjentów i personel plaga leszczyny karłowatej stanowiąca zagrożenie dla zdrowia wielu gatun-

ków. O dziwo, nawet w Sejmie Wysockim rozpleniły się chorobliwe toksyny powodujące myradowanie finansowe. Paskudne choróbko biorące się z pazerności i obłudy. Pewne terytoria wyznaczone przez instancje nadrzędne w liczbie 49 (tyle było województw za Gierka) posłużą jako miejsce kwarantanny dla ciężkich przypadków przywleczonych z egotycznych stron, choć zza Odry. Ciekawy paradoks: ośrodki zbudują, lecz azylu nie dadzą? Będzie tam obowiązować czasowe, terytorialne zawieszenie prawa do azylu.

Natomiast zalewem germanizacji w polskich szkołach będzie osobiście zawiadywać ministerka edukacji. Celem akcji jest wypalenie ze świadomości dziatwy wiedzy o Polsce, która ma zostać wymazana z mapy Europy, kiedy Ruscy znowu polubią się z Niemcami. A to prędzej czy później nastąpi – głoszą stratedzy zbliżeni do Berlina. Naczelną edukatorka kultuwująca komunistyczne prawa rozwoju ludzkości nie zamierza tolerować nacjonalnych odchyłeń. Doniesiono mi poufnie, że pewien zdolny do wszystkiego żurnalista dostał polecenie napisania nowej wersji znanej pieśni: „Dziś historia zmienia wajchę, żeby Polska, żeby Polska, żeby była Polska Rajchem!”.

Trójmorze kluczem do rozwoju i stabilności Europy Centralnej

Inicjatywa Trójmorza, niemal dekadę temu stworzona przez prezydentów Polski i Chorwacji, dziś może zyskać na znaczeniu jak nigdy wcześniej. To platforma, która rozrosła się do 13 państw członkowskich Unii Europejskiej, a dodatkowo współpracuje także z partnerami strategicznymi, jak Stany Zjednoczone i od tego roku także Japonia.

Kluczowym celem podjętej przed dekadą inicjatywy jest rozwój współpracy infrastrukturalnej, naukowej, technologicznej czy energetycznej w regionie między Bałtykiem, Adriatykiem a Morzem Czarnym, jednak w dzisiejszych realiach politycznych ten format współpracy staje się także istotnym narzędziem wzmacniania bezpieczeństwa w Europie Środkowej.

Rosnące zagrożenia związane z konfliktem na Ukrainie i niestabilnością geopolityczną podkreślają wagę wspólnych działań w zakresie obrony, cyberbezpieczeństwa i współpracy energetycznej. Jestem głęboko przekonany, że w obliczu bezpośredniego sąsiedztwa terenów ogarniętych wojną kraje Trójmorza muszą zacieśniać współpracę, aby stawić czoło nowym wyzwaniom. To nie tylko konieczność, lecz także szansa na wzmocnienie strategicznej pozycji regionu w Europie oraz na szerokiej arenie międzynarodowej. Akcesja Szwecji i Finlandii do NATO pokazuje, że ostatnie zmiany geopolityczne w Europie składają się do pogłębiania współpracy multilateralnej także tych, którzy wcześniej nie dostrzegali tak wyraźnej tego potrzeby. Kraje skandynawskie powinny

naturalnie znajdować się dziś w obszarze zainteresowania rozwojem współpracy w ramach inicjatywy Trójmorza.

Moją pierwszą inicjatywą w Parlamencie Europejskim było zorganizowanie wysłuchania publicznego w sprawie inicjatywy Trójmorza. W trakcie spotkania, w którym wzięli udział naukowcy, eksperci oraz europarlamentarzyści z wielu krajów, mieliśmy okazję omówić przyszłe kierunki rozwoju tej inicjatywy. Współpraca naukowa, rozwój nowych technologii oraz inwestycje w infrastrukturę – to wszystko może stać się fundamentem silniejszej, bezpieczniejszej Europy Środkowej. Trójmorze to klucz do zrównoważonego rozwoju oraz stabilności regionu, a tym samym całej Europy.

Arkadiusz Mularczyk



Przypilnować wyborów



**Samuel
Pereira**

Wszystkie ostatnie sondaże pokazują dwie główne tendencje. Partie prawicowe są bliskie albo mają pewną większość w Sejmie w przeciwieństwie do koalicji 13 grudnia, której preferencje polityczne Polaków nie dają gwarancji dalszego rządzenia. Z kolei zmniejsza się liczba niezdecydowanych, co wskazuje na krystalizowanie się poglądu tych, którzy po 15 października powoli zaczęli wpadać w stan rozmyślenia. Takie tendencje są pesymistyczne dla obozu władzy oraz optymistyczne dla Prawa i Sprawiedliwości, ale nie są decydujące dla ostatecznego sondażu, jakim zawsze są wybory.

Te najbliższe, prezydenckie, będą decydujące zarówno dla jednej, jak i drugiej strony sceny politycznej. Na wysokość stawki zwracają uwagę liderzy dwóch największych partii, ale najciekawiej może być w mniejszych ugrupowaniach. Wązą się losy koalicji Trzeciej Drogi, a Konfederacja musi się zmierzyć z pytaniem, czy w przyszłości będzie chciała wziąć odpowiedzialność za dalszy ciąg tego, co dzieje się w Polsce. Z pewnością prezydencka wygrana kandydata Platformy Obywatelskiej – bo

żaden inny z obozu koalicji rządzącej nie ma na to szans – zacementuje nie tylko scenę polityczną, lecz także pozwoli na „domknięcie systemu”, co zresztą wprost przyznał niedawno Grzegorz Schetyna. Za tymi dwoma słowami nie kryje się nic dobrego, a wiąże się raczej z końcem niż rozkwitem demokracji. I nie chodzi nawet o monopol, bo od 2015 r. i rząd, i prezydent byli w tym samym obozie politycznym, ale o kontynuowanie, a nawet rozwijanie tego, co Donald Tusk nazwał „demokracją walczącą”.

Dlatego na barkach prawicy, a konkretnie PiS, ciąży największa odpowiedzialność nie tylko za to, co będzie w 2025 r. i kolejnych latach, lecz także być może i dekadach. A to wszystko w sytuacji, w której coraz więcej osób niepokoi się, czy wybory prezydenckie będą uczciwe. Przypilnowanie ich to obowiązek władzy, jednak gdy jej na tym nie zależy, musi się tym zająć opozycja. Żarty się skończyły.

Sceny z życia małżeńskiego

*Z aktorką **Agnieszką Dulębą-Kaszą**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Czuje się pani bardziej aktorką filmową czy teatralną?

Agnieszka Dulęba-Kasza: Zawsze coś robiłam filmowo, choć może nie tak szeroko, jak teraz. Rola we włoskim obrazie „Non sono io” (2002) stała się moim dyplomem. Potem 20 lat spędziłam głównie w teatrze. Obecnie jestem związana z warszawskim Capitołem, Komedią Impro w Łodzi i Teatrem Bogusławskiego w Kaliszu.

Czyli zna pani scenę i czuje ją dobrze? Jak z tej perspektywy patrzy pani na film „Sezony”?

To znakomite odzwierciedlenie teatralnego środowiska, świetnie podpatrzone realia i relacje. Zawodowe i prywatne. Pokazane w satyryczny sposób. Teatr jest magią, miłością, czymś pięknym, chociaż nie zawsze jest w nim tak wesoło jak w „Sezonach”. Bywa też gorzki i pełen rozczarowań.

W przestrzeni, której użył toruński Teatr Horzycy, rozgrywają się pełne emocji, brawurowo zagrane, sceny z życia małżeńskiego.

Teatr jest ich niemyym świadkiem, widzą je też koledzy aktorzy, bo w teatrze nic nie da się ukryć. Siłą rzeczy skoro Oli, którą gram, i Marcinowi (w tej roli Łukasz Simlat) przestaje się układać, napięcie między nimi rośnie, a ponieważ występując w tym samym zespole, nie mają gdzie przed sobą uciec, może dojść do erupcji. I to w dekoracjach któreś z kolejnych premier: „Piotrusia Pana”, „Domu lalki” lub „Snu nocy letniej”.

Kogo i jak zachęciłaby pani do obejrzenia „Sezonów”?

Powiedziałabym: „Drogie panie, weźcie swoich mężów do kina. Zobaczycie, że są problemy, z których można wyjść, przy których można się pośmiać i bardzo kreatywnie pokłócić”.



Fot. Cezary Pacoś

Niepokorni, niezłomni, wyklęci

W cieniu Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (*vide* – absolutne kuriozum: Złote Lwy dla „Zielonej granicy” Agnieszki Holland!) przemknął niezauważenie inny, także gdyniński, Festiwal Filmowy Niekokorni Niezłomni Wyklęci. W tym roku wyjątkowo skromny i tradycyjnie przemilczany przez media głównego nurtu. Ten festiwal, który z założenia miał upamiętniać legendarnych żołnierzy zbrojnego polskiego podziemia, dziś sam staje się wyklęty. Odcinanie finansowania patriotyczno-tożsamościowych projektów jest zbójcekim prawem prounijnych władz III RP, zatem losy Festiwalu NNW są już zapewne przesądzone.



X muza od samego początku sprawowała rząd dusz całych narodów. Film skutecznie wykorzystywał Adolf Hitler, zapewniając zdolnej „reżyserce” Leni Riefenstahl wymarzone warunki do pracy. Za rządów Józefa Stalina rozkwitł talent innego geniusza kina – Sergieja Eisensteina. Przez całe dekady Hollywood formatowało gusta i poglądy kolejnych pokoleń kinomanów na całym świecie. Dziś niesamowicie fachowo robi to lewacko-wokeistyczny Netflix. Wyjątki takie jak „Pa-sja” Mela Gibsona potwierdzają tylko regułę: kto dzierży przekaz filmowy, ten ma władzę!

Gdyby rządząca w Polsce przez osiem lat prawica zainwestowała w kasowe, narodowe kino, świat zachwyciłby się naszą prawdziwą historią, przepełnioną heroizmem, nostalgią cierpienia i euforią zwycięstw. Nikt w UE nie kwestionowałby naszego wyjątkowego bohaterstwa, hekatombi Katynia, Wołynia, rzezi Woli, ogromu zadanych nam cierpienia i gigantycznych strat wojennych (bardzo istotne dla reparacji wojennych i restytucji mienia!). A w dobie nadchodzących zagrożeń (migracja, Zielony Ład, woke, wojna) realistyczny film science fiction o zagładzie europejskiej cywilizacji mógłby zatrzymać te trendy...

Likwidacja IPN jest tylko kwestią czasu. Ze szkół ruguje się naszą historię, religię, wartości, a promuje ojkofobię. Za co miałyby oddać dziś życie polski żołnierz? Za „ten kraj”? Prawo do aborcji? Wybór płci i związku? Za „psiecko”? Wolne żarty!

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

JANINA OCHOJSKA, AGNIESZKA HOLLAND ORAZ MAJA OSTA-SZEWSKA CZUJĄ SIĘ OSZUKANE PRZEZ DONALDA TUSKA. NIELEGALNI IMIGRANCY TEŻ.



SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA
AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZCZ, MAREK BUDZISZ (LESZEK DELUGOSZ), KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL
STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁĄBĘCKA, ANIA.ŁĄBĘCKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSKAZUJĄCE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: MONTAŻ STUDIO GRAFICZNE SIECI; ANDRZEJ BANASZKOWSKI PRESS/FEAST NEWS; SHUTTERSTOCK/GROUND PICTURE; IGOR LINK; PHOTOPANPL; ANDRZEJ WIKTOR; IPN; SHUTTERSTOCK/PEOPLEIMAGES.COM – YURI A. KAROL; DESKUL

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przelewu w stopce redakcyjnej



GORAN ANDRIJANIĆ

Skąd ta siła ks. Michała?



Kiedy piszę te słowa, ks. Michał Olszewski wciąż jest w areszcie, siedem miesięcy po tym, gdy został zatrzymany w Wielki Czwartek. Jak opresję, którą zgottało mu państwo Tuska, wytrzymuje katolicki ksiądz?

Nie ma żadnych wątpliwości, że polski sercanin wraz z dwiema urzędnikami Ministerstwa Sprawiedliwości, także zatrzymanymi w sprawie rzekomo niewłaściwego wykorzystania środków z Funduszu Sprawiedliwości, jest ofiarą politycznej nagonki.

Cała trójka znalazła się w trybach szalonej, politycznej maszyny zemsty, puszczanej w ruch od 13 grudnia ub.r. Maszyny, na której celowniku znalazł się przede wszystkim były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro i która niszczy wszystko przed sobą.

Jedyną „winą” ks. Olszewskiego jest to, że chciał zbudować ośrodek, który miał pomagać ofiarom przemocy i że był w tym zbyt ambitny.

Kiedy się to zrozumie, staje się jasne, w jakiej jest teraz sytuacji. Kapłan stał się ofiarą prześladowań politycznych i został ukarany za wierność swojemu chrześcijańskiemu powołaniu.

To trudna sytuacja w każdym wymiarze. Jak tę opresję wytrzymuje ksiądz katolicki? Jak pomaga mu w tym jego duchowość i jaka tak naprawdę ona jest? Rozmawialiśmy z kilkoma bliskimi mu osobami i próbowaliśmy uzyskać odpowiedzi na te pytania.

GÓRALSKA KREW

– Michał zawsze potrafił w doskonały sposób połączyć bardzo aktywne życie z życiem duchowym – mówi nam jego przyjaciel. – Jest człowiekiem, który dużo się modli, bardzo intensywnie czyta Pismo Święte i żyje Słowem, a jednocześnie aktywność społeczna w jego życiu przed aresztowaniem to było coś zupełnie niezwykłego. Ile ten człowiek robił, ile głosił rekolekcji, ile publikował nagrań i książek, a jednocześnie ile odbywał spotkań, które możemy opisać jako biznesowe – to jest coś zupełnie niezwykłego. Do tego jest sportowcem, który właściwie każdy dzień zaczynał od wielokilometrowego biegu.

Olszewski wychował się w Tarnowie, między góralami, od dziecka kształtując się w religii katolickiej, mocno trzymającej się tradycyjnych wartości i patriotyzmu. Jego wujem był o. Józef Joniec, pijar, który zginął w katastrofie w Smoleńsku, co na pewno jeszcze mocniej przybliżyło całą rodzinę do uczuć patriotycznych.



– Jego rodzina na własnej historii odczuła cały ciężar polskości. Zawsze bardzo wzruszały go tematy patriotyczne. To jest taka „górska krew” – wyjaśnia nam przyjaciel kapłana.

Równie mocny wpływ na Olszewskiego ma oczywiście duchowość Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego, którego jest częścią. Instytut zakonny założony w drugiej połowie XIX w. przez francuskiego księdza i Sługę Bożego Leona Jana Dehona jest znany właśnie z tego, że łączy kontemplację i intensywne zaangażowanie społeczne (Dehon był bardzo aktywny w ewangelizacji klasy robotniczej i ludzi młodych). Ks. Michał uważał, że polska prowincja sercanów musi kłaść mocniejszy nacisk na aktywność społeczną, nie zaniedbując charyzmatu duszpasterstwa, w który już jest zaangażowana.

Lewicowo-liberalne media regularnie podkreślają, że Olszewski był egzorcystą. Oczywiście z ich punktu widzenia to argument potwierdzający jego „zacofanie”. Lata, które spędził jako egzorcysta w diecezji kieleckiej, rzeczywiście odcisnęły piętno na nim i na jego duchowości, ale to tylko jeden z ważnych elementów, które go uformowały.

Kiedy po przeprowadzce do innej diecezji przestał być egzorcystą, jak mówią jego przyjaciele, od razu zaczął angażować się w nową ewangelizację,

korzystając z sieci społecznościowych i innych nowoczesnych metod.

MISJONARZ MIŁOSIERDZIA

– Chwilę po tym, jak przestał być egzorcystą, w 2016 r. papież powołał go na misjonarza miłosierdzia. To posługa podobna do służby egzorcysty, bo również chodzi w niej o pracę z osobami, które są w duchowych trudnościach. Ogólnie zawsze uważałem, że Michał jest członkiem takiej „specjalnej jednostki Kościoła”. Ktoś bardzo oddany swojej działalności, kto naprawdę nie szczędził czasu i wysiłku na pracę z konkretnymi ludźmi – mówi nam osoba bliska ks. Olszewskiemu, która śledziła drogę sercanina w Kościele.

Misjonarze miłosierdzia to kapłani, którzy w czasach Nadzwyczajnego Roku Jubileuszu Miłosierdzia otrzymali władzę przebaczenia grzechów, zarezerwowaną do tej pory jedynie dla Stolicy Apostolskiej. Ta służba, jak mówią nam znajomi ks. Michała, miała na niego mocny wpływ i zbliżyła go do nauczania papieża Franciszka. Niektórzy z nich wyjaśniają nam, że w ostatnich latach Olszewski przeszedł pewną zmianę duchową. Został konserwatywnym „księdzem z Tarnowa”, ale w tym samym czasie był również mocno otwarty na nowe kierunki w pracy ewangelizacyjnej.

Tę opinię potwierdza mecenas Krzysztof Wąsowski, obrońca ks. Olszewskiego i jedna z dwóch osób, które go regularnie widują (drugą jest mecenas Michał Swarzyński).

– W przypadku ks. Michała mamy do czynienia z ciekawym paradoksem. Jest on pod wielkim urokiem papieża Franciszka i to jego zauroczenie jest bardzo szczere. Ojciec Święty jest dla niego takim bardzo „ludzkim papieżem”, z ludu i dla ludu. Uważa, że jest on po prostu źle tłumaczony i źle rozumiany. Jednocześnie ks. Michał jest bardzo konserwatywny w poglądach moralnych, można powiedzieć, że wręcz rygorystyczny. Taki ksiądz góral. Jeśli chodzi o jego oceny polityczne, są one bardzo jednoznaczne i bardzo antylewicowe. Jednocześnie ma wielki szacunek do każdego człowieka i jest otwarty nawet na marksistów i „lewaków” – opowiada nam mecenas Wąsowski.

Nasi rozmówcy opisują, jak bardzo ważną zmianę w ks. Olszewskim spowodował jego pobyt w Rzymie, który trwał rok. Było to w czasie, kiedy przygotowywał się do funkcji formatora w swoim zakonie i miał wychowywać młode pokolenie sercanów. W czasie tego pobytu bardzo intensywnie współpracował z siostrami matki Teresy z Kalkuty i jeździł z nimi po peryferiach miasta, odwiedzając ludzi bardzo zaniedbanych i w bardzo trudnych warunkach. Także prostytutki, którymi siostry opiekują się fizycznie i duchowo. Ks. Michał towarzyszył im, rozdając jedzenie i leki. Ten kontakt z ludźmi z marginesu społecznego wywarł na nim kolejny mocny wpływ.

ARCHIPELAG

Z potrzeby niesienia pomocy ludziom pokrzywdzonym, osobom z konkretnymi problemami zrodził się i pomysł Archipelagu – budowy w warszawskim Wilanowie ośrodka, który miał pomagać ofiarom przemocy.

– Jeśli chodzi o ten projekt, to tutaj trzeba zrozumieć jedną bardzo ważną rzecz – mówi nam znajomy sercanina. – Michał jest zaprzyjaźniony z osobą, która bardzo ucierpiała przez przemoc w rodzinie i w Kościele. Poznał jej życie i duchowość, co spowodowało, że zrodziła się w nim silna potrzeba, aby

pomagać osobom dotkniętym prze-
mocą. Michał jest osobą wrażliwą na
krzywdę ludzką. To nie jest tak, że on
sobie wymyślił, że wybuduje ogromny
budynek gdzieś w Wilanowie i to mu da
zawodową satysfakcję. Zobaczył bardzo
konkretną osobę z bardzo konkretnymi
dramatami i uświadomił sobie, że jest
o wiele więcej podobnych przypadków,
które wymagają interwencji.

Był zachwycony budową kompleksu,
ciągle opowiadał o niej swoim znajo-
mym. Nie mógł się doczekać 1 stycznia
2025 r. – dnia, w którym centrum miało
przyjąć pierwsze osoby. Jak mówią nie-
którzy, jego największym cierpieniem
w więzieniu jest prawdopodobnie to,
że Archipeląg prędko nie zacznie
działać. Kompleks miał przygo-
towanych kilkanaście mieszkań
interwencyjnych dla osób, które
muszą opuścić swoje domy. Fun-
dacja Profeto, która stoi za budową
ośrodka, była jedyną instytucją
w konkursie Ministerstwa Spra-
wiedliwości, która zaproponowała
dostęp do całodobowej terapii oraz
dom, w którym można było prze-
bywać całodobowo.

Jego przyjaciele, z którym roz-
mawialiśmy, mówią nam, że ksiądz
dostał możliwość stworzenia cze-
goś bardzo dużego i ważnego. Nie
mógł odmówić.

– Olszewski cały czas miał silną
potrzebę wspierania ofiar prze-
mocy – mówi mecenas Wąsowski.
W pierwszych dniach aresztu
widziałem u niego trochę takiego
buntu, że jednak ten projekt był
błędem i z tego powodu został on za-
mieszany w grubą politykę. Ostatnio
jednak stwierdził, że to wszystko ma
sens. Jakby tego nie robił, zdradziłby
swoją misję jako sercanin.

Mecenas jest świadomy, że jego klient
to ofiara politycznej nagonki. Uważa
jednak, że porównanie ks. Michała Ol-
szewskiego z bł. ks. Jerzym Popiełuszką
oraz innym księżmi prześladowanymi
w czasach PRL są przesadne.

– Duchowo ks. Michał w ogóle nie
był przygotowany na sytuację, w której
zostanie aresztowany i stanie się sym-
bolem gnębienia przez władzę. Nie lubi,
kiedy go porównują z największymi pol-
skimi męczennikami XX w. Do dzisiaj

bardzo się temu sprzeciwia. Jego droga
powołania miała być inna. On jest serca-
ninem, który ma pomagać ludziom i sta-
rał się wybudować ośrodki pomocowe,
bo to jest zgodne z ich charyzmatem
– mówi mecenas Wąsowski.

PRZEMIANA

Mecenas, który co tydzień spotyka się
ze swoim klientem, dopytuje, jak ks. Ol-
szewski czuje się fizycznie, jakie ma re-
fleksje duchowe.

– Sprawa ks. Michała i nasze długie
rozmowy pokazały mi, jak bardzo się
zmienia jako kapłan. Jest w nim bar-
dzo mocna cnota posłuszeństwa, co

W przypadku ks. Michała
mamy do czynienia
z ciekawym paradoksem.
Z jednej strony jest on pod
wielkim urokiem papieża
Franciszka, z drugiej jest
bardzo konserwatywny
w poglądach moralnych.
Taki ksiądz góral – opowiada
nam mecenas Wąsowski

jest związane z jego formacją. Jego całe
myślenie o tej sytuacji idzie w tym kie-
runku: on nie chce się zgodzić z tym,
że jest to wola Boża, że Bóg mu przy-
gotował to cierpienie. Mówi raczej, że
Bóg je dopuścił. Jeśli Bóg to dopuszcza,
teraz oczywiście pojawia się pytanie,
dlaczego to dopuszcza i co mi to mówi
– opowiada mecenas Wąsowski.

Komentuję z mecenasem zdjęcie księ-
dza zrobione w piątek 6 września przed
sądem w Warszawie. Wygląda on na nim
na skrajnie wychudzonego. Jednocześnie
nie widać jego wielką siłę duchową. Nasza
rozmowa przeradza się w rozważania nad
tajemnicami wiary. – On według mnie
staje się przezroczystry, jakby przestaje za-

ślaniać Boga. Bardzo tęsknił i trudno mu
się było pogodzić z tym, że już nie będzie
tym samym Michałem Olszewskim, ja-
kim był. Teraz dociera do niego, że przez
swoją słabość on tak naprawdę pokazuje
moc Boga i że już nie będzie go zasłaniał
– słyszę od obrońcy księdza. – Ducho-
wość Olszewskiego – kontynuuje Wą-
sowski – jest bardzo chrystocentryczna,
związana z codziennym studiowaniem
Pisma Świętego i medytowania nad
nim. Dużo czyta. W tym momencie
oczywiście nie, bo prokurator odmó-
wił dostarczania mu nowych książek.
Oprócz teologii, przede wszystkim
książki papieża Franciszka, ale lubi też
książki detektywistyczne i historyczne.

Niedawno przeczytał „Galicję”
Normana Daviesa. Bardzo się za-
chwycił tą książką, bo sam pocho-
dzi z Galicji i mówi, że Davies wiele
w niej wyjaśnia – przypomina so-
bie mecenas Wąsowski.

Jest jedna rzecz wspólna, która
łączy naszych rozmówców – są
pewni, że ks. Michał jest niewinny.
Jeden z nich mówi, że jeśli ducho-
wość egzorcysty w jakiś sposób
wpływała na Olszewskiego, jest to
przede wszystkim wzmocnienie
jego wrażliwości moralnej.

– Proszę zauważyć, że wobec
niego nikt nie wystosował zarzu-
tów moralnych, bo po prostu ich
nie znalazł. Zresztą też nikt nie wy-
stosował wobec niego zarzutu kra-
dieży. To też jest bardzo ważne, bo
po prostu tam nie było kradzieży.
Michał naprawdę jest człowiekiem
żyjącym moralnie – przekonuje je-
den z przyjaciół księdza.

Ks. Michał Olszewski pozostaje zatem
w więzieniu, a Polacy coraz częściej prze-
ciwko temu protestują. Może niewła-
ściwe jest porównywanie go do bł. ks. Po-
piełuszki, ale nie ulega wątpliwości, że
prześladowania wobec niego przypomi-
niają czasy PRL. Choćby w przypadku
protestu głodowego, będącego wyrazem
sprzeciwu wobec przetrzymywania
w areszcie ks. Michała, który ogłosili
działacze dawnej Solidarności: Jan Ka-
randziej i Stanisław Oroń.

Ks. Olszewski przez pośredników po-
prosił ich, żeby skończyli protest. „Wybacz
staremu żołnierzowi, że nie składa broni”
– odpowiedział Jan Karandziej. 



Rocznica wyborów nie udała się władzy

Były różne patologie, ale nikt nie doprowadził kłamstwa do takiej perfekcji, nikt nie posługiwał się nim jako metodą na tak wielką skalę, jak robi to obecna władza

*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z **prof. Piotrem Glińskim**, posłem Prawa i Sprawiedliwości, członkiem Komitetu Politycznego PiS, byłym wicepremierem i ministrem kultury*

Czy zgadza się pan z opinią, że środowe orędzie prezydenta Andrzeja Dudy wygłoszone w rocznicę wyborów to był nokaut? Zwięźle, celne podsumowanie działań obecnego rządu zrobiło ogromne wrażenie i na posłach, i na publiczności, i, jak można wyczytać ze zdjęć, również na Donaldzie Tusku.

Piotr Gliński bardzo mądre, mocne, po prostu świetne przemówienie. Było tam wszystko, co

powinno. Wyważenie argumentów, emocje, ale najważniejsze było oczywiście jasne przesłanie dotyczące Polski. Cały czas jesteśmy w przełomowym momencie, w którym decydują się losy Polski. Wychodząc od spraw bezpieczeństwa, prezydent mówił, kto zdaje egzamin w najważniejszych kwestiach, a kto nie. Nazywał rzeczy wprost. W polityce to jest bardzo potrzebne, a z wielu powodów nie

zawsze wybrzmiewa. Prezydent musi współpracować z rządem, dbać o całość społeczeństwa, to jest jego obowiązek, jego odpowiedzialność, więc tym bardziej trzeba docenić, że to jasne przesłanie wybrzmiało tak mocno. Bo w tej chwili największym problemem Polski jest polityka rządu Donalda Tuska, łamiąca prawo i konstytucję, kwestionująca demokratyczne procedury i instytucje państwa polskiego.

Donald Tusk niezgodnie z konstytucją, która zakazuje debaty nad orędziem, chwilę później zabrał głos w Sejmie, ale miał bardzo niewiele do powiedzenia. Sięgnął po frazy sprzed roku, które dziś chyba trafiają w społeczną próżnię.

Ta władza ciągle łamie prawo i ciągle ma tę samą narrację, zapominając, że ona też się zużywa, że nie ma już takiej mocy jak wówczas, gdy potrafiła zmobilizować. Jest to narracja, która opierała i opiera się na wielu kłamstwach. Przykre, że okazała się tak skuteczna. Ale to się zdarza w historii. My nie możemy temu ulegać, musimy mówić, jak jest.

Ta zakłamana narracja jest już martwa?

Ona powoli przestaje działać. To było widać już w czasie wyborów samorządowych i europejskich. Tusk spotkał się z odmową poparcia ze strony milionów Polaków i choć jego partia zyskiwała, jego koalicja traciła. Mobilizacja, do której odwołuje się premier w swoich wystąpieniach, jest już przeszłością. Rządzącym pozostało zaklinanie rzeczywistości, co szczególnie blado wybrzmiewa na tle niespełnionych obietnic. A realizacja obietnic wyborczych jest podstawą każdej demokracji.

Rząd nawet niespecjalnie udaje, że traktuje swoje obietnice poważnie. Czy Polacy to dostrzegą?

Zaczynają dostrzegać. Polacy chcą państwa bezpiecznego i ambitnego. Zamiast tego mamy zwijanie kraju, które zostało poddane interesom niemieckim. Prezydent docenił elementy kontynuacji w sferze bezpieczeństwa, ale przecież wiemy, że w dziedzinie rozwoju to, co mówi władza, jest po prostu ściemną. Oni udają, że kontynuują.

Rok temu przepowiadano, że 15 października będzie świętem narodowym. Dziś rząd wolałby, by tej rocznicy nie było. Dlaczego?

Rację ma posłanka Anna Maria Żukowska, gdy mówi, że ta rocznica nie udała się koalicji. Oni po prostu wiedzą, że oszukali społeczeństwo.

Zdobyli władzę na plecach rozradowanych, młodych ludzi z Jagodna, którzy, jak ktoś powiedział, „za pizzę sprzedali Polskę”, nie zdając sobie sprawy z tego, w czym uczestniczą. A Polska to są poważne sprawy. Dziś przegrywamy w wyścigu międzynarodowym, a świat nie będzie na nas czekał. Po zmianie władzy przegrywamy we wszystkich konkurencjach. Tusk nie dowiózł nawet tego, co wydawało się oczywiste. Nie dostał np. wyłączenia nakładów na zbrojenia z obostrzeń budżetowych. Nie dostał wsparcia w sferze migracji. Nie dostał nic. Za to natychmiast zniknęły pieniądze, a ściąganie podatków, o czym alarmują związkowcy z KAS, jest właściwie sabotowane.

Po roku Tusk nie dowiózł nawet tego, co wydawało się oczywiste. Nie dostał np. wyłączenia nakładów na zbrojenia z obostrzeń budżetowych. Nie dostał wsparcia w sferze migracji. Nie dostał nic

Czy ta niebywała nędza programowa rządu połączona z rzadko spotykaną biernością, może nawet lenistwem, jest dla pana zaskoczeniem? Nie mają nic do zaproponowania poza paroma sloganami.

Od lat uważam, że w obozie dziś rządzącym nie ma żadnej wartości programowej. Ani razu nie przedstawili jakiegś ambitnej, trudnej, ale interesującej propozycji. Po naszej stronie były wielkie kongresy programowe, nowe koncepcje, odwaga myślenia, po ich stronie słabiotki, napisane na kolanie programiki wyborcze, będące luźnym zbiorem haseł. To są dwa światy. Do tego dochodzi zaplecze ideologiczne dzisiejszej władzy oparte na zlepkach myślenia liberalnego i lewackiego.

Po wyciśnięciu zostaje z tego parę naiwnych założeń, które mogą przynieść jedynie straszliwe dysfunkcje społeczne, patologie, nędzę. Teraz doszedł jeszcze neomarksizm, bardzo agresywny, skupiony na niszczeniu struktur i instytucji społecznych, rodziny, podstaw ładu.

W sferze kultury ta zjadłość jest chyba szczególnie widoczna. To ma być taran zwycięskiej rewolucji.

To prawda. Do instytucji wchodzi neomarksistowskie jacejki, które wszystko rozwalają, a niczego nie budują. Symbolem jest tu sprawa sprzed dwóch lat, czyli historia Teatru Dramatycznego. Miasto Warszawy wpuściło tam Monikę Strzępkę z jej programem neomarksistowskiej rewolucji. I ona po prostu zniszczyła tę placówkę. Nie został kamień na kamieniu. Ostatecznie Strzępkę sami z tego teatru wyprowadzili. Dziś ludzie za to odpowiedzialni, jak słyszę, z Agatą Diduszką na czele, mają wielkie wpływy w resorcie kultury. A przecież przygoda z marksizmem kończy się zawsze tak samo: destrukcją.

Skala czystek, która objęła sferę kultury, jest bezprecedensowa. Ktoś ocalał?

Na szczęście nie są w stanie zniszczyć wszystkiego, co zrobiliśmy, ale zwróćmy uwagę, kto kogo zastępuje. Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej prof. Jana Żaryna oddano Adamowi Leszczyńskiemu, do Muzeum Historii Polski za Roberta Kostkę wprowadzono Marcina Napiórkowskiego. Zamiast fachowców, praktyków z dorobkiem wprowadza się w istocie ideologów, bez doświadczenia w prowadzeniu dużych instytucji. Mam wrażenie, że ich zadaniem jest zniszczenie, a w każdym razie całkowite osłabienie i sparaliżowanie tych placówek. Władza robi to wszystko, choć politycznie te działania okażą się dla niej kosztowne ekonomicznie oraz politycznie.

Czy na pewno? Nie widać tych kosztów politycznych.

Wyrzucając Roberta Kostrę z MHP, pokazują całemu środowisku historyków, że są niebezpiecznymi wariatami. Wcześniej brutalnie wyrzucono, w większości przypadków łamiąc prawo, prawie 30 dyrektorów instytucji kultury. Od niektórych wyrzuconych domagano się deklaracji, że będą popierali działania Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Stosuje się ubeckie metody: zastraszanie, szantażowanie, przekupstwo, groźby pod adresem rodzin. To wszystko będzie miało skutki. Oczywiście środowisko kultury nie jest jednolite. Są zagończycy, celebryci, ale też zwykli profesjonalści, którzy nie mają potrzeby angażowania się w politykę.

Sprawa Roberta Kostry pokazuje nie tylko brutalność, lecz także okrucieństwo tej władzy. On przecież prowadził budowę Muzeum Historii Polski od 2006 r. i teraz, gdy jest prawie gotowe, zabiera mu się funkcję i daje komuś innemu. To wyjątkowa podłość.

To nie jest człowiek z naszego środowiska, raczej symetrysta, ale doceniałem jego zasługi, jego poczucie odpowiedzialności za to przedsięwzięcie. Walec nowej władzy nie zna jednak litości. Niestety kosztem Polski.

Zniszczono już wszystko, co zbudowały rządy Zjednoczonej Prawicy?

Tu mogę z satysfakcją powiedzieć, że zbudowaliśmy tak wiele, zrobiliśmy tak dużo, że oni nie są w stanie tego wszystkiego wysadzić w powietrze. Wiele zniszczyli, ale jednak nie wszystko. Wczoraj np. przyjmowaliśmy budżet MKiDN i w zasadzie jest to budżet kontynuacji (tego wszystkiego, co my zrobiliśmy i rozpoczęliśmy), ale z likwidacją wielu wartościowych projektów. Szczególnie szkoda mi Muzeum Polskiego w Rapperswilu, które ciężką pracą uratowaliśmy przed likwidacją. Ci barbarzyńcy wolą jednak, by padło, wycofali się z ustaleń. Podobnie żal mi przygotowywanego od ponad trzech lat Muzeum Historii Naturalnej wraz

z nową siedzibą Muzeum Techniki na błoniach Stadionu Narodowego.

Czy z perspektywy czasu pańskie metody nie były zbyt łagodne, a linia zbyt koncyliacyjna? Następcy przynieśli łomy, a pan szanował zastane regulacje, uprawnienia, negocjował. Może trzeba było ostrzeż?

Nie. Postępowałem w przemysłany sposób, szanując poszczególne środowiska i reguły gry. Gdybym działał ostrzej, miałbym takie efekty, jakie mieli politycy naszego obozu, którzy sądzili, że wystarczy sama racja. Później często zderzali się ze ścianą, a sytuacja na końcu naszych rządów była gorsza niż na początku. Ja wybrałem drogę budowy nowych instytucji, realizacji potrzeb poszczególnych środowisk, ewolucji, a nie rewolucji. I naprawdę bardzo dużo zrobiliśmy. Dziś nie żałuję.

Prezydent w orędziu nazywał rzeczy wprost. To w polityce jest bardzo potrzebne, a z wielu powodów nie zawsze wybrzmiewa. To było bardzo mądre, mocne, po prostu świetne przemówienie

Wiele środowisk skorzystało na rządach PiS także w kulturze, ale niewiele o tym mówiło. A krytycy byli bardzo głośni. Pan nie ma o to żalu?

Nie mam. Nie oczekuję od normalnych ludzi wdzięczności za działania władzy, które służą dobru wspólnemu. Wierzę, że Polacy wcześniej czy później dostrzegą, że nasze rządy naprawdę dbały o tę Polskę, i to skutecznie. Dostrzegą, że jak pojawiły się problemy, kataklizmy, kryzysy, to zaraz były tarcze i bezprecedensowa skala pomocy. Jak nie było węgla, to ściągaliśmy go z całego świata. I tak można długo wyliczać. Dziś mamy

odwrotność naszej polityki: cyrki medialne Tuska, popisy i pełna obojętność wobec kryzysu w służbie zdrowia, ekstremalnie drogiego prądu, masowych zwolnień w wielu branżach.

Odchodząc z resortu kultury, Bartłomiej Sienkiewicz zamieścił zdjęcie, na którym widać, jak wypala na schodkach pożegnalnego papierosa. Co nam w ten sposób chciał powiedzieć? Odpoczynek po włamie?

To są tacy ludzie. Służba różnym antypolskim opcjom właśnie tak się kończy. Pozostaje cynizm, przekonanie, że wie się lepiej, przekonanie, że bebecchy systemu i naga siła wygrają z „naiwnymi” patriotami, którzy chcą zbudować nad Wisłą coś ważnego i pięknego. Tak myśli, tak się zachowuje całe to środowisko. W tym jest pogarda dla „Polaczków”, którzy nie potrafią i nie powinni się sami rządzić.

Czy w historii III RP ktoś bardzo okłamał Polaków niż obecna władza?

Nie. Były różne patologie, ale nikt nie doprowadził kłamstwa do takiej perfekcji, nikt nie posługiwał się nim jako metodą na tak wielką skalę. Ta ekipa nie istnieje bez wsparcia medialnego walca, bez tej potężnej osłony. Dlatego od razu przejęto TVP, dlatego dziś toczy się ostra wojna o Polsat, dlatego z taką nerwowością reagują na samą myśl o sprzedaży TVN nowemu właścicielowi. Dla Tuska wizerunek medialny jest podstawą władzy. Oprócz tego stosuje różne przesłony oraz uruchamia najniższe instynkty społeczne. I na zamówienie sił zewnętrznych ćwiczy scenariusz demokracji fasadowej, w której obywatele nie mają już realnego wyboru.

Jak długo ta polityka ignorowania problemów, przesłaniania ich kolejnymi grepsami, kilkudniowymi akcjami, także represjami wobec opozycji, będzie skuteczna? W tych dniach PiS znówu wyszło na prowadzenie w sondażach. To ważny sygnał.

Sondaże w polityce oczywiście mają znaczenie. W dniu wyborów europej-

skich moim zdaniem nieprzypadkowo zaprezentowano badanie exit poll, które wskazywało na imponującą przewagę partii Tuska, choć w rzeczywistości wyniki PO i PiS były zbliżone. Więc prowadzenie PiS w badaniach to dobra wiadomość, choć oczywiście przed nami jeszcze wiele zmian sondażowych i wahań. Jest też jasne, że techniki sprawowania władzy, które stosuje Tusk, zużywają się bardzo szybko. On nie ma niczego w ręku, żadnej propozycji, jest też związany zewnętrznymi zobowiązaniami.

Czy popierał pan zjednoczenie Prawa i Sprawiedliwości oraz Suwerennej Polski?

Tak, i to od dawna. Uważam, że połączenie zdyscyplinuje to środowisko. Wielu się obawiało, że będzie odwrotnie, tzn. że to SP uzyska niewspółmierne wpływy w PiS. Ja się tego nie lękałem, bo znam i doceniam umiejętności polityczne Jarosława Kaczyńskiego i wiem, że poradziłby sobie z tym problemem. Wspólny pobyt w opozycji i różne wypadki losowe z pewnością skłoniły obie strony do koncyliacyjności. Połączenie jest dobrym sygnałem, zwiększa siłę naszego obozu, dodaje nam cennej dynamiki. Zresztą pokolenie młodszych polityków jest wielką nadzieją naszej partii. Teraz dostaną narzędzia i przestrzeń, bo to oni będą pracowali w komitecie wykonawczym.

Ale wasze pokolenie pozostaje w komitecie politycznym?

Naszym zadaniem będzie przerabianie różnych koncepcji i pomysłów politycznych. Będziemy się boksować, spierać, przekonywać do swoich racji prezesa Kaczyńskiego. Moim zdaniem PiS działa najlepiej, jeśli wszystkie jego organy pracują regularnie. Wówczas nasza polityka jest optymalnie wyważona.

Przed PiS decyzja w sprawie wyborów prezydenckich. Można je wygrać?

Po pierwsze, najważniejsze jest to, że przetrwaliśmy ciężkie momenty. Stra-



Tusk w ciągu roku rozsadził państwo, także od strony finansowej. I za to Niemcy z pewnością go pochwalą, powiedzą: „Donuś, przez rok udało ci się rozwalić Polskę, gratulujemy”. Ale nie mam wątpliwości, że Polacy w końcu powiedzą: „Dość!”

ciliśmy niewiele poparcia, utrzymaliśmy strukturę. To bezcenne. Po drugie, widzimy erozję obecnej władzy, że jest w defensywie, ale wiemy też, iż obecne starcie ma charakter niemal śmiertelny. Nic nie jest przesądzone, nic nie jest zagwarantowane. Możliwa jest także dalsza eskalacja przemocy, bezprawnej represji.

A nie są już na to za słabi?

Są słabsi, ale to poczucie względnej słabości może ich skłonić do brutalizacji działań. Przynajmniej w krótkiej perspektywie. Bo w szerszym planie widać, że w tej sferze odmawia im

współpracy nie tylko elektorat, nie tylko instytucje międzynarodowe, takie jak Komisja Wenecka, lecz także nasze państwo: część sędziów, prokuratorów, urzędników. Są ludzie, którzy nie chcą brać udziału w szukaniu haków na polityków obecnej opozycji. Na marginesie – czepialstwo w sferze rozliczeń jest już kuriozalne. NIK ma np. pretensje o jakieś drobne opóźnienia w rozliczeniu jednej z kilku tysięcy dotacji na remont kościoła. Albo o to, że zatwierdziłem strukturę Muzeum Narodowego z pięcioma działami, a nie czterema, bo ten piąty dopiero się tworzył. Piszę długie listy, produkuję kilkunastostronicowe dokumenty i w sumie dzielnie pracują nad paraliżem naszego państwa i jego ośmieszeniem. A VAT nie ma kto ściągać.

Niestety tak jest w wielu sferach. To naprawdę przypomina XVIII w., gdy obce ambasady pracowały nad paraliżem instytucji, nad wstrzymaniem niemocy w nasz organizm państwowy. Dzisiaj mamy powtórkę z historii?

To jest praca paraliżotwórcza. Dziś państwo nie działa na rzecz społeczeństwa, marnuje swoje siły i zasoby, przyzwyczajając urzędników do bierności i unikania decyzji. To budowanie podglebia pod dyktando.

Wracając do wyborów prezydenckich: jak daleko do wyboru kandydata PiS?

Nie mogę na ten temat nic mówić. Moim zdaniem potrzebujemy kandydata spoza naszego ścisłego środowiska politycznego i sądzę, że ta teza przeważa. Wiemy, jak będą wyglądały dalsze rządy Tuska, wiemy, że będzie łączył działania *ad hoc*, często hucpiarskie, różne cyrki medialne z wchodzeniem w nasze buty i represjami. Ale rzeczywistość już go goni. W ciągu roku rozsadził państwo, także od strony fiskalnej, finansowej. I za to Niemcy z pewnością go pochwalą, powiedzą: „Donuś, przez rok udało ci się rozwalić Polskę, gratulujemy”. Ale nie mam wątpliwości, że Polacy w końcu powiedzą: „Dość!”

Cierpienia „uśmiechniętej Polski”



PIOTR GURSZTYN

Rządzą, ale się nie cieszą. Mają wszystko, ale są przerażeni, że zaraz to stracą – takie są nastroje „uśmiechniętej Polski”. Właściwie nie wiadomo, czy nadal jest ona uśmiechnięta, bo rok po wyborach dominuje tam pesymizm i rozczarowanie. Prawica miała być brutalnie rozliczona i zredukowana do niegroźnego minimum. Tymczasem „uśmiechniętą Polskę” trapi coraz większy strach przed powrotem PiS do władzy

Trudno w to uwierzyć komuś, kto popiera prawicę. W optyce jej zwolenników obóz dzisiejszej władzy, w tym popierające rząd media oraz wyborcy zakochani w Donaldzie Tusku, powinni tryskać optymizmem i radować się swoim szczęściem. Mają wszystko – wycieli prawicowców praktycznie zewsząd, bezwzględnie dominują w mediach, popkulturze, biznesie, samorządach, sądownictwie. Mają gigantyczną przewagę pod każdym względem, także finansowym, co będzie miało znaczenie w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. A zdobycie pałacu prezydenckiego ma

być tym, co Grzegorz Schetyna nazwał domknięciem systemu.

BOLEŚNIE ROZCZAROWANI

Z prawicowej perspektywy uchronienie się przed tym losem zdaje się być bardzo trudne. Przecież po decyzji PKW prawica będzie miała nędzne grosze na kampanię prezydencką wobec nadzwyczaj bogatego i wspartego przez większość mediów kandydata strony liberalnej. Tymczasem tam nie ma wiary w łatwy sukces. W końcu września na zamkniętym posiedzeniu Klubu Parlamentarnego Koalicji Obywatelskiej Tusk wygłosił swoją diagnozę

szans w wyborach prezydenckich. Zaznaczył, że gra idzie o wszystko i jeśli liberalowie je przegrają, będzie to dla nich katastrofa. A według Tuska mają szanse 50 na 50. Prognoza brzmi całkowicie pesymistycznie, bo według narracji liberalów PiS pozbawione TVP, spółek Skarbu Państwa itp. miało być polityczną wydmuszką i już dawno się rozpaść. Tymczasem według zamawianych przez obecny rząd badań nastąpiła znacząca demobilizacja zwolenników „uśmiechniętej Polski”. Wyborcy KO nadal nienawidzą PiS, ale są boleśnie rozczarowani tym, że ich ukochany rząd nie dowieźł do końca żadnego projektu. Łącznie z zapakowaniem do ciupy choćby jednego w miarę rozpoznawalnego PiS-owca.

Rocznica wyborów parlamentarnych uwydatniła to przysłębienie. Donald Tusk uczcił ją jedynie bezbarwnym wpisem na portalu społecznościowym. Nie zawarł w nim jakichś widocznych emocji ani tym bardziej entuzjazmu, lecz jedynie smutną prośbę: „Mam nadzieję, że – czasem zniecierpliwieni, czasem zezłoszczeni – jeszcze chwilę ze mną wytrzymacie”. A przecież jeszcze wiosną członkowie jego rządu zapowiadali, że 15 października stanie się nowym świętem państwowym. Autorką prac miała być minister ds. społeczeństwa obywatelskiego Agnieszka Buczyńska. Minęło kilka miesięcy, Buczyńska nie jest już ministrem, a euforia całkowicie wyparowała.

„W wielu sprawach nie o taką Polskę stała rok temu słynna kolejka do lokalu wyborczego wrocławskiego Jagodna. Nie ma satysfakcjonujących zmian, a uśmiech Polski zrobił się trochę skrzywiony” – podsumowała ten rok Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin, publicystka „Kultury Liberalnej”, pocieszając się, że najważniejsze jest to, iż dzięki tamtym wyborom „Polska cofnęła się z drogi do autokracji”. Jej tekst jest długą wyliczanką porażek ekipy Tuska, ale załatwia to stwierdzeniem, że PiS dążyło do dyktatury. Czyli warto cierpieć, warto znosić nieudolny i leniwy rząd, byle tylko nie rządziła prawica.

PIS NIE ZOSTAŁO ZNOKAUTOWANE

Cierpienia „uśmiechniętej Polski” byłyby lżejsze, gdyby chodziło tylko o tolerowanie niekompetencji ukochanego premiera. Ale jakiś czas temu medialni akolici obecnej władzy odkryli, że PiS nie zostało znokau-

owane, ustalo na nogach i wraca do coraz lepszej formy. „Wydawało się niekiedy, że PiS już spada na dno, za chwilę dotknie 20 proc., że bez telewizji, spółek, służb i prokuratury, wobec ogromu ujawnianych afer, rozpadnie się w pył. Ale tak się nie stało, partia Kaczyńskiego pokazała żywotność, nadal istniejące wpływy, swój kulturowy wymiar. Ktoś niedawno zażartował, że jest jak w horrorze: oni zawsze wstają” – pisali Jerzy Baczyński i Mariusz Janicki, dwaj czołowi autorzy tygodnika „Polityka”.

Do najbardziej zajadłych wrogów prawicy powoli dochodzi świadomość, że padli ofiarą własnej propagandy. Postrzegają oni PiS jako zjawisko anachroniczne, popierane przez wymierających, słabo wykształconych staruszków. Na dodatek ma to być partia złożona z nieudaczników, kierowana przez osobę także anachroniczną (czyli Jarosława Kaczyńskiego). Ponadto PiS ma być rozrywany walkami frakcyjnymi, nie ma żadnych pomysłów na wyjście z kryzysu i w ogóle jest skazane na rozpad. Słowem – koniec PiS, jak w budzącej ciągle rozbieżności książce Michała Kamińskiego.

Skądinąd ten sposób myślenia o prawicy jest powtórką przekonania i propagandy sprzed 2015 r. Liberalowie o tym zapomnieli, ale ci bardziej inteligentni już rozumieją, że karmią się iluzjami i lekceważą znieawidzonego wroga.

TUSK MA Z KIM PRZEGRAĆ

„Gniew bywa najsilniejszą polityczną motywacją. Dziś dogasa powoli w szeregach demokratów. A zaczyna się tlić w szeregach zwolenników PiS, oburzonych na kolejne decyzje władzy” – zauważa na łamach „Gazety Wyborczej” Leszek Jażdżewski, liberalny młody gniewny. Dalej pisze, że po rządach PiS porządek jest „kruchy” i „śmiertelny”. Ratunkiem nie jest przestrzeganie praworządności, bo ta – według Jażdżewskiego – jest relatywna. Jedyna nadzieja to silny człowiek, czyli Donald Tusk. Jażdżewski wzywa go do ścigania przestępców „na granicy prawa” i „luźnego podejścia” do budżetowych wydatków („jeśli pozwolą na to reguły narzucane przez Unię”). Bo inaczej „recydywa rządów narodowej prawicy jest niemal pewna. Nadzwyczajne czasy wymagają nadzwyczajnych metod i nadzwyczajnych polityków”.

Czyli wszystko wisi na Tusku. Pewnie nie było to intencją Jażdżewskiego,

ale napisał o własnym świecie, o elitach III RP i stworzonym przez nich systemie, że są kompletnie do kitu. Wiara w niemal opatrnościową misję Tuska jest powszechniejsza, bo dosłownie taki pean popiełnił niedawno Janusz Rolicki, weteran prasy postkomunistycznej (tekst w „GW” pt. „Jestem zadowolony, że dobry los zesłał Polsce premiera Donalda Tuska”). Wieropoddajny ton to coś obcego polskiej naturze, nawet w jej liberalnym wydaniu. Dysonans między ślepą wiarą a coraz bardziej skrzeczącą rzeczywistością pogłębia depresję zwolenników obecnej władzy. Kibicujący jej gorąco dziennikarz „Rzeczpospolitej” Jacek Nizinkiewicz alarmuje: „Rok po wyborach parlamentarnych Donald Tusk ma z kim przegrać”. Grupa autorów portalu Gazeta.pl zatytułowała cykl artykułów poświęconych rocznicy wyborów „PiS wróci do władzy? Rząd już działa w tym kierunku”.

Oczywiście nie są to przejawy odwrócenia się od Tuska i jego koalicji, ale doping, aby wzięli się w garść, zaczęli walczyć, bo inaczej „demokracja” znów przegra z „autokracją”. Jest tam też sporo typowego dla mediów besserwiserstwa, czyli złotych myśli w stylu wujka Dobrej Rady. Ale zaniepokojenie jest szczere. „Po roku od utraty władzy PiS wciąż trzyma się mocno. Poparcie spada nieznacznie, a mobilizacja elektoratu wciąż utrzymuje się wysoko. Dlatego nie warto ich lekceważyć, bo jeśli wygrają, spełnią, co zapowiadają, rozpoczynając od zacementowania ustroju, który z demokracją nie będzie miał nic wspólnego” – opisywała ostatni kongres PiS autorka „Krytyki Politycznej”. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej tekst byłby opatrzonej drwinami z prawicy, uwagami o jej głupocie, nieporadności, nieestetyczności itp. A tu zamiast tego było poważne, choć oczywiście całkowicie krytyczne omówienie zamiarów i działań prawej strony.

ROZDYGOTANE EMOCJE

Niekiedy lęki wyrażają się w komiczny sposób. Tak jak teraz, gdy poszła pogłoska o tym, że PiS chce kupić TVN. Jakis anonimowy polityk Prawa i Sprawiedliwości „wkręcił” dziennikarza „Newsweeka” mówiąc mu, że jego partia nie jest zainteresowana przejęciem kontroli nad Polsatem, bo to dla niej za mało, lecz chce zagarnąć stację z ul. Wiertniczej. Dziennikarz

łyknął żart, a za nim wiele przerażonych tym liberalnych mediów. Podchodząc do tego na chłodno, każdy wie, że takie przejście jest niemożliwe z bardzo wielu powodów. Ale zwyciężyły rozdygotane emocje. Skąd się biorą? Właśnie z poczucia kruchości obecnej władzy i dyktowanej nieprzytomną nienawiścią wiary w demoniczne spiski prawicy.

Pesymizmowi towarzyszy uczucie zrezygnowania. PiS „dość szybko odzyskuje wigor, sondaże mu sprzyjają, ma dość bogate zaplecze medialne oraz dobrze rozpracowane media społecznościowe. Ma też swoistą bezczelność narracyjną, która zagrzewa do walki najwierniejszych fanów” – pisze na portalu „Interia” Przemysław Szubartowicz i konkluduje, że nic się nie zmienia – w tym sensie, że będzie trwała wyrównana walka między obozem Tuska a prawicą. Na tym samym portalu Cezary Michalski stwierdza, że właściwie jedynym osiągnięciem obecnego rządu jest tylko „rok bez Kaczyńskiego u władzy”. Zauważa, że to wystarcza elektoratowi liberalnej Polski, ale mobilizuje wyborców PiS. A najgorsze według niego jest to, że „dla »niezdecydowanych« rok bez Kaczyńskiego u władzy to za mało, aby zmobilizowali się w wyborach prezydenckich 2025. Nie mówiąc już o wyborach parlamentarnych za trzy lata”.

MORALNIE PRZEGRANI

Dodajmy do tego, że pewne kręgi czują się rozczarowane, bo z powodu głupiej brutalności obecnej władzy tracą poczucie moralnej wyższości, które dawało im tyle przyjemności w porównywaniu się z prawicą. Takim przypadkiem było odwołanie z funkcji szefa Muzeum Historii Polski Roberta Kostry, kiedy władza całkowicie zignorowała apele sympatyzujących z nią uczonych. „Głosując 15 października na rządzącą dziś koalicję, byłem przekonany, że kończy się epoka, w której można odwoływać dyrektorów muzeów przed upływem kadencji, bądź zatrudniać ich bez konkursu” – narzekał w „GW” prof. Maciej Janowski, dyrektor Instytutu Historycznego Polskiej Akademii Nauk. Wprawdzie obiecał, że jeszcze zgłasza na obecną koalicję, ale włożył w to „niewo-

lniej serca”. A przecież wiadomo, jak wielka jest skala zawiedzionych nadziei nie tylko w środowiskach naukowych, istnieje więc też ryzyko, że ktoś całkiem straci serce do głosowania na liberalów.

„»Walcząca demokracja« może walkę przegrać, a konsekwencje dla Polski będą dramatyczne. Dlatego lepszy byłby kompromis” – pisał na łamach „GW” Witold Gadomski, apelując o coś, co sam nazwał utopią, czyli kompromis z prawicą w sprawie nowej konstytucji i stworzenia autentycznie niezależnego od świata polityki wymiaru sprawiedliwości – „nawet jeżeli ceną za jego zawarcie byłaby amnestia dla pisowskich złodziei”. Jego argumentacja

Tusk nie cofa się w swych brutalnych i bezprawnych działaniach, co bardzo podoba się jego żelaznemu elektoratowi. Wprawdzie wąskiemu, obejmującemu mniejszość społeczeństwa, ale za to fanatycznie mu oddanemu. Kto na tym wygra?

jest prosta: za kilka lat liberalowie przegrają, wróci PiS i zrobi im to, co oni teraz robią prawicy.

W jego świecie to herezja. Odpór dał prof. Wojciech Sadurski. Jego odpowiedź była całkowicie sprzeczna – świadectwo mętliku w głowach antypisowskich huncwotów. Sadurski uzasadniał, że nie może być kompromisu, bo Prawo i Sprawiedliwość oszuka i zniszczy dzięki temu demokrację. A jednocześnie „PiS jest na ostatnich nogach: sklerotyczna władza zdziwczalego socjopaty dobiega końca; delfiniątka walczą o kontrolę nad resztkami skorumpowanej struktury – dajmy im marnieć spokojnie. Nie dowartościowujemy ich szlachetną rolą w »kompromisie«, skoro za rok, pół roku, już ich nie będzie”.

Gadomski jest osamotniony, ale odpowiedział Sadurskiemu: „Rozpocznijmy

z ludźmi PiS rokowania pokojowe. Bądźmy realistami: nie uda się rozliczyć złodziei z PiS. Pozostaną bezkarni, a do więzienia pójdą co najwyżej urzędnicy, którzy wykonywali ich polecenia”.

Nikt z władzy oczywiście nie posłucha głosu o „rokowania pokojowe”, bo odbierze jej to sens istnienia. Ona sama go gubi, ale nie może zejść z dotychczasowej drogi, mimo że przybywa jej frustracji. Bo oprócz nieudolności w realizowaniu własnych zapowiedzi otrzymała cios ze strony Komisji Weneckiej w sprawie statusu sędziów. Po cichu przeszedł news podany przez rządowy Onet, że Tusk waha się w kwestii pozbawienia PiS dotacji budżetowej: „Chce

uniknąć wrażenia, że wschodnim zwyczajem chce zagłodzić opozycję, a tak to będzie wyglądać z perspektywy Brukseli, a nade wszystko Waszyngtonu”. Rozpaczliwie też zabrzmiał głos Adama Bodnara w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, że „w rozliczaniu PiS strategia »śledź pieniądze« ujawni wiele ciekawych rzeczy”. Czyli teraz, prawie rok po pełnieniu przez niego funkcji ministra, jeszcze nic się nie ujawniło?

MIESZANKA WYBUCHOWA

Bezradność, frustracja i strach to jednak mieszanka wybuchowa. Połączenie irracjonalnych uczuć, które zazwyczaj prowadzą do politycznego szaleństwa. Tusk nie cofa się w swych brutalnych i bezprawnych działaniach, co bardzo podoba się jego żelaznemu elektoratowi. Wprawdzie wąskiemu, obejmującemu mniejszość społeczeństwa, ale za to fanatycznie mu oddanemu. Jak napisał komentator Gazety.pl Grzegorz Sroczynski: rząd Platformy jest dla wyborców Platformy i nikogo więcej. „Elektorat PO szaleje z zachwyty, a reszta jest coraz bardziej skonfundowana i zniechęcona. Można wręcz odnieść wrażenie, że dla tego rządu wrogiem jest wszystko, co nie jest na chłama platformerskie” – zauważył z ogromnym przygnębieniem publicysta, prognozując, że rząd Tuska, podlizując się „własnym totalsom”, spycha Polskę do sytuacji takiej, w jakiej była w XVIII w. I skoro takie oskarżenie możemy przeczytać na łamach medium należącego do koncernu „Agora”, to chyba coś w tym musi być.

CPK nie będzie

Gdyby rząd Donalda Tuska naprawdę chciał Centralnego Portu Komunikacyjnego, to już dziś ruszyłaby budowa nowego lotniska. Rzekome „urealnienie” inwestycji i kolejne wizualizacje to gra na czas. Dlatego wszystko wskazuje na to, że z ambitnego projektu pozostanie tylko nędzny ogryzek

Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda dobrze. Oto na początku poprzedniego tygodnia spółka CPK poinformowała, że projekt architektoniczny nowego portu lotniczego jest już gotowy i pozostaje jeszcze poczekać na decyzję lokalizacyjną od wojewody mazowieckiego, która ma zostać wydana do końca roku. Potem – jak zapewnia rząd – budowa może już ruszyć z miejsca. Zgodnie z nowym harmonogramem CPK zostanie oddane do użytku w 2032 r. wraz z linią KDP (Kolei Dużych Prędkości), która ma połączyć Warszawę z Łodzią. Jak dowiadujemy się z oficjalnego komunikatu, w tej chwili inwestor przeprowadza rozbiórki budynków i organizuje przeprowadzki. Prace odbywają się na terenach,



KONRAD KOŁODZIEJSKI

które zostały wykupione w ramach Programu Dobrowolnych Nabyć.

„To kolejny kamień milowy w drodze do celu, którym jest budowa i uruchomienie nowego lotniska. Ta inwestycja to impuls do dalszego rozwoju gospodarczego Polski, a jednocześnie umocnienia pozycji rynkowej narodowego przewoźnika PLL LOT” – oświadczył Maciej Lasek,

pełnomocnik rządu ds. CPK. „Prace projektowe są na finiszu, wyraźnie przyspieszamy” – wtórował mu minister infrastruktury Dariusz Klimczak.

Skoro tak, to czym się niepokoić? Wydaje się bowiem, że rząd ugął się pod presją społeczną (200 tys. podpisów pod projektem ustawy Stowarzyszenia „Tak dla CPK”) i zdecydował o kontynuacji wielkiego projektu infrastrukturalnego poprzedniej ekipy. Tyle że zapewnienia o czekającym nas dosłownie lada moment rozpoczęciu budowy CPK wcale jeszcze nie oznaczają, że inwestycja zostanie doprowadzona do szczęśliwego finału. A jeśli nawet, to jej ostateczny kształt może bardzo odbiegać od pierwotnych, ambitnych planów.

PRZYCINANIE AMBICJI

Pierwsza wątpliwość to pieniądze. CPK miał być symbolem nowej Polski – dynamicznie rozwijającego się kraju, który w ciągu ostatnich lat wyrósł na lidera naszej części Europy. Budowa portu nie była wyłącznie przedsięwzięciem

gospodarczym. Stanowiła również decyzję polityczną, wpisującą się w długofalową strategię odbudowy podmiotowości Polski przyjętą przez ówczesny rząd PiS.

Według planów nowe lotnisko miało powstać w 2028 r. i do 2035 r. osiągnąć przepustowość rzędu 40 mln pasażerów rocznie (docelowo 100 mln po dalszej rozbudowie), co oznacza, że byłaby w stanie konkurować z największymi portami lotniczymi w okolicy, przede wszystkim z dopiero co zbudowanym w Berlinie lotniskiem Brandenburg, a po zwiększeniu przepustowości nawet z Frankfurt. Dla porównania – w 2023 r. Okęcie obsługiwało 18,5 mln ludzi. Jednak nie chodzi tylko o liczbę pasażerów. CPK miał być także wielkim portem towarowym oraz ogromnym projektem kolejowym zakładającym budowę lub modernizację łącznie 1,8 tys. km linii kolejowych.

Do sfinansowania tak potężnej inwestycji rząd Morawieckiego zaangażował zagranicznych partnerów, z których najważniejsze było konsorcjum Vinci i IFM. Vinci Airports specjalizuje się w rozwoju i obsłudze lotnisk, francuska firma ma w swoim portfolio 65 portów lotniczych na całym świecie. Z kolei IFM to australijski fundusz inwestycyjny, który zarządza aktywami o łącznej wartości ok. 143 mld dol., z czego blisko 64 mld ułożył w projektach infrastrukturalnych. Są to więc potężni gracze na rynku.

Według pierwotnego projektu CPK miał kosztować ok. 300 mld zł, przy czym sama budowa lotniska – po wyłączeniu komponentu kolejowego i drogowego – to 46 mld zł. Ustalono, że 5,5 mld zł z tej kwoty pokryje państwo, konsorcjum Vinci i IFM zapłaci 8,5 mld, a resztę wyłożą banki. Wynikało z tego, że do chwili otwarcia lotniska w 2028 r. państwo miało przeznaczać na jego budowę nieco ponad 1 mld zł rocznie, czyli mniej więcej tyle samo, ile rząd Tuska przekazał w tym roku na dofinansowanie przejętej TVP. Nie są to więc pieniądze, których obecna władza nie jest w stanie wygospodarować.

Mimo to rząd Tuska od początku dążył do wygaszenia projektu CPK i pod pretekstem szukania oszczędności oraz wykonania audytu wstrzymał prace nad lotniskiem. Wobec negatywnej reakcji opinii publicznej, która domagała się kontynuacji budowy, w czerwcu wymy-

ślono nowy projekt pod nazwą Megalopolis. Tusk stwierdził, że nowe lotnisko powstanie, tylko że będzie mniejsze, będą też nowe linie kolejowe, tyle że będzie ich mniej, a LOT kupi nowe samoloty.

Powrót do budowy lotniska ma głównie wymiar wizerunkowy i służy spacyfikowaniu nastrojów społecznych. Jednak wiele osób wzięło grę Tuska za dobrą monetę. Krzysztof Bosak powiedział w ostatnią środę, że w projekcie lotniska „podobno nie zmienił się żaden element i ma iść do zbudowania w wersji wypracowanej przez rząd PiS”. To oczywiście nieprawda.

Wraz z nową koncepcją, której na użytek społeczny przywrócono nazwę CPK, wciśnięto nam dziadowski i kompletnie dysfunkcyjny projekt. Przede wszystkim nie będzie jednego dużego portu,

Budowa CPK, i tak już przecież opóźnionego przez rząd o pięć lat oraz poważnie okrojonego, będzie teraz tylko markowana, aby nie wzbudzać protestów

lecz duoport z Modlinem, który ma zostać rozbudowany na użytek Ryanaira. Z tego powodu przepustowość nowego CPK została ograniczona do 34 mln pasażerów – to tylko o 4 mln więcej niż docelowo osiągnie Okęcie, które ma zostać najpierw rozbudowane, a zaraz potem prawdopodobnie zamknięte, co oznacza kolejną stratę pieniędzy. Nie będzie też szprych kolejowych (o czym za chwilę), które miały zasiląć CPK podróżnymi z całej Polski i generować duży ruch.

Nie dziwnego, że z udziału w takim przedsięwzięciu wycofał się największy inwestor – konsorcjum Vinci i IFM. Vinci uznał najwyraźniej, że nie ma sensu angażować się w niepewne, amatorskie projekty, o których z góry wiadomo, że przyniosą straty.

ODEJŚCIE INWESTORÓW

Utrata Vinci jest zapowiedzią dużych kłopotów. „Teraz CPK musi wyłożyć

14 mld zł zamiast 5,5. Bez Vinci mogą wyjść banki. Wtedy będzie to 46 mld” – skomentował Andrzej Banucha, który w latach 2019–2023 był dyrektorem wykonawczym spółki CPK. Okazuje się więc, że „urealnienie” kosztów budowy portu przez rząd Tuska oznacza ich faktyczny wzrost. Nowy port ma być wprawdzie skromniejszy od planowanego, ale za to dużo droższy. To naprawdę wielki sukces ekipy Tuska.

To jednak nie koniec złych wieści. Po wycofaniu się z Polski grupa Vinci podjęła rozmowy z Węgrami w sprawie budowy w Budapeszcie wielkiego hubu transportowego, który będzie stanowił bezpośrednią konkurencję dla CPK. Warto wiedzieć, że w naszej części Europy nie ma ani jednego portu transportowego z prawdziwego zdarzenia. Dzisiaj na Polskę przypada jedynie 1 proc. lotniczego ruchu cargo w Unii, choć jesteśmy piątym państwem UE pod względem liczby ludności i zarazem dynamicznie rozwijającą się – przynajmniej do tej pory – gospodarką. Tak mały wolumen towarowego ruchu lotniczego w Polsce jest zaskakujący i bardzo utrudnia nasz rozwój. Jednak wyjaśnienie jest proste. W tej chwili aż ponad 60 proc. polskiego frachtu lotniczego z Azji i Ameryki idzie przez niemieckie lotniska, przede wszystkim we Frankfurcie (1 miejsce w Europie pod względem liczby przeladunków) oraz w Lipsku (4 miejsce). Tam idące do nas towary są clone i opodatkowywane. Jak wynika z raportu firmy doradczej EY, Polska traci na tym 200 mld zł potencjalnych zysków rocznie.

Budowa CPK miała sprawić, że te pieniądze pozostaną u nas i zasilą kolejne inwestycje związane z portem. Jeśli jednak Węgrzy przy pomocy grupy Vinci zdołają zbudować swój port towarowy, to będziemy musieli oddać im zyski albo w najlepszym razie podzielić się nimi. O ile oczywiście rząd Tuska zdoła zbudować CPK.

W taki sposób zmarnowaliśmy mnóstwo czasu i prawdopodobnie pieniędzy.

EFEKT PENDOLINO

„Nie ma mowy o rezygnacji z inwestycji” – mówił niedawno o CPK minister finansów Andrzej Domański, obiecując,

że środki na budowę lotniska na pewno się znajdują. Ale on mówi różne rzeczy, np. jeszcze w marcu zapewniał, że sytuacja budżetowa kraju jest dobra. Trudno więc traktować jego słowa całkiem poważnie.

Dziś już wiemy, że z komponentu kolejowego nie pozostanie prawie nic. Z gęstej sieci połączeń mających zapewniać dostęp do CPK z niemal każdego zakątka Polski ostanie się jedynie linia KDP łącząca Warszawę i Łódź z Poznaniem i Wrocławiem (nazwana od swojego kształtu na mapie linią I-grek). Pocieszeniem dla pasażerów ma być podniesienie prędkości pociągów na tej trasie z planowanych 250 km/h do 320 km/h, co pozwoli przyspieszyć podróż. Odbędzie się to jednak kosztem mieszkańców mniejszych miast położonych przy linii KDP, takich jak Kalisz czy Sieradz, które szybkie pociągi będą omijać. Pozostanie wprawdzie techniczna możliwość zjazdu do mijanych stacji, ale decyzja o ich obsłudze będzie zależeć od przewoźnika. Jeśli więc uzna on przystanek w Kaliszu czy Sieradzu za nieopłacalny, to szybkie pociągi nie wjadą do tych miast.

Tuskowi tak bardzo zależy na szybkich pociągach, że miał on osobiście rozmawiać z premierem Hiszpanii Pedrem Sánchezem na temat zakupu przez polską Pesę hiszpańskiego producenta kolejowego Talgo. To właśnie jego pociągi mają stanowić tabor linii KDP.

Dobrze tu widać sposób myślenia Tuska, dla którego hiszpański pociąg jest powtórką efektu Pendolino – to efektowny gadżet odwracający uwagę opinii publicznej od rezygnacji z budowy szprych kolejowych łączących całą Polskę z CPK. Bo tego, że ich nie będzie, możemy być już praktycznie pewni.

Właśnie opublikowano tzw. horyzontalny rozkład jazdy pociągów do 2035 r. Pod tą nazwą kryje się projekt organizacji pasażerskich przewozów kolejowych na kolejne lata. Wynika z niego m.in., że CPK będzie bezpośrednio skomunikowany tylko z Warszawą, Łodzią, Poznaniem i Wrocławiem. Pasażerowie z pozostałych miast będą skazani na przesiadki albo lot z regionalnego lotniska. Z kolei Gdańsk i Szczecin w ogóle nie muszą przejmować się dojazdem do CPK, bo nowy rozkład zakłada uruchomienie bezpośredniego

połączenia kolejowego tych miast z lotniskiem w Berlinie.

Inaczej mówiąc, planowana siatka kolejowa przewiduje podzielenie potoków pasażerskich. Część z nich trafi do CPK, inna część dotrze do Berlina, a jeszcze inna zasili Ryanaira i pozostałych przewoźników operujących z lotnisk regionalnych. Nic dziwnego, że z zaplanowanych pierwotnie sześciu peronów kolejowych w CPK pozostały tylko cztery. Po co ich więcej, skoro pociągów i pasażerów ma być mniej?

W takiej sytuacji CPK może się okazać nierentowny. Bo nie dość, że odda część pasażerów innemu lotniskom i przewoźnikom, to jeszcze, jak o tym wspomniałem, będzie prawdopodobnie musiał konkurować w segmencie cargo z nowym hubem transportowym w Budapeszcie.

Z komponentu kolejowego nie pozostanie prawie nic. Z gęstej sieci połączeń mających zapewniać dostęp do CPK ostanie się jedynie linia KDP łącząca Warszawę i Łódź z Poznaniem i Wrocławiem

KROWY ZAMIAST BULDOŻERÓW

Zapewne można by było uniknąć takiego scenariusza, gdyby rząd Tuska przejął pałeczkę od poprzedniej ekipy i nie tracąc czasu, kontynuował prace nad CPK. Jednak premier tego nie chciał. Jego zdaniem państwo zbudowane w ciągu ostatnich ośmiu lat należało mściwie zrównać z ziemią. Wynikało to chociażby z tzw. 100 konkretów Tuska, wśród których jest punkt mówiący o zatrzymaniu i weryfikacji CPK. Mikromania i zupełny brak ambicji szefa rządu w kwestiach dotyczących państwa są przecież powszechnie znane.

CPK byłby już więc całkowicie zatrzymany – tak jak większość projektów rozwojowych PiS – gdyby nie opór społeczny. Myślę jednak ci, którym zdaje się, że

Tusk ustąpił. On nie ustąpił, lecz wykonał unik pod presją opinii publicznej. Budowa CPK, i tak już przecież opóźnionego przez rząd o pięć lat oraz poważnie okrojonego, będzie teraz tylko markowana, aby nie wzbudzać protestów.

Bo choć czas goni i konkurencja nie śpi, wokół Centralnego Portu Komunikacyjnego nic się nie dzieje. Wbrew hucznym zapowiedziom z poprzedniego tygodnia o mającej rychło ruszyć budowie, grunty, na których ma powstać lotnisko, właśnie wydzierzawiono rolnikom – oficjalnie do końca 2025 r., ale przecież zawsze można to przedłużyć. Wynika z tego, że zamiast koparek i buldożerów budujących pasy startowe na przyszłym placu budowy spokojnie rośnie trawa, a na niej pasą się krowy.

Być może w końcu zacznie się coś dziać, ale dla każdego już teraz powinno być jasne, że obecny rząd nie traktuje CPK jako inwestycji priorytetowej.

Z raportu firmy konsultingowej Kearney wynikało, że Centralny Port Komunikacyjny w pierwotnym kształcie do 2040 r. miał wygenerować niemal 300 tys. miejsc pracy, a wartość PKB z tytułu działalności lotniska oraz powiązanej z nim infrastruktury miała wzrosnąć w tym czasie o łącznie 986 mld zł. Teraz możemy o tym wszystkim zapomnieć.

Przez ostatnie lata Platforma wmaśniała opinii publicznej, że PiS chce zbudować lotnisko w szczerym polu, choć nie miało to nic wspólnego z prawdą. Poprzedni rząd szykował przecież wokół portu lotniczego duży kompleks logistyczno-usługowy, porównywalny z małym miasteczkiem. To teraz, po rzekomym „urealnieniu” projektu, planuje się budowę lotniska na pustkowiu. Jeżeli bowiem port lotniczy w ogóle zacznie działać, będzie dużo skromniejszy od planowanego za czasów PiS i nie wygeneruje zysków umożliwiających jego dalszy rozwój. Co więcej, nowe lotnisko powstanie na tyle późno, że konkurencja zdąży już zagospodarować dużą część rynku.

Przeciwnicy CPK nazywali tę inwestycję gigantomanią. Rzeczywiście była gigantyczna, bo miała zapewnić gigantyczny skok cywilizacyjny Polski. Teraz żadnego skoku nie będzie. Co najwyżej kuśtykanie.

Pan Dziura

*Po Tusku i Bodnarze
Andrzej Domański jest
najniebezpieczniejszym
ministrem obecnego rządu*

Przez ostatnie 23 lata miano

Pana Dziury było przypisane Jarosławowi Baucowi, ministrowi finansów w rządzie



STANISŁAW JANECKI

Jerzego Buzka. Od października 2024 r. Panem Dziurą jest obecny minister finansów Andrzej Domański. A czas jego zasiadania na tym „tronie” może być nie do pobicia nawet w najbliższych kilku dekadach. Andrzej Domański jest zdyscyplinowanym wykonawcą nawet najbardziej szkodliwych dla Polski i głupich pomysłów Donalda Tuska, gdyż jest bardzo słaby politycznie, nie może powiedzieć „nie” i akceptuje rozwiązania, które zwalczał, będąc tylko ekonomistą, a nie ministrem. Poza premierem i ministrem sprawiedliwości Adamem Bodnarem Pan Dziura 2024 jest najniebezpieczniejszym politykiem obecnej władzy, gdyż nie budzi takich emocji, jak bardzo niebezpieczni szefowie MSZ, MSWiA, MS czy MAP. Jest cichy i spokojny, nie bierze udziału w publicznych debatach, ale pozostaje kompletnie bezwolny w relacjach z Tuskiem.

Poprzedni Pan Dziura, czyli Jarosław Bauc, na początku sierpnia 2001 r. ujawnił, że deficyt budżetowy w 2002 r. przekroczy 88 mld zł. Wtedy była to porażająca kwota, gdyż wszystkie dochody budżetowe wynosiły 152 mld zł. Dla opinii publicznej i samego rządu był to szok, więc po kilku tygodniach od ujawnienia „dziury” Bauca premier Buzek odwołał go z funkcji ministra finansów. Domańskiego nikt nie odwołał, mimo że jego „dziura” bije wszelkie rekordy w III RP, gdyż Tusk nie znajdzie bardziej elastycznego i pokornego wykonawcy swojej woli. I wyglądającego na technokratę, choć wszystko, co robi, jest podporządkowane politycznym manipulacjom i sztuczkom szefa. W tym układzie Tusk jest podpalaczem, zaś Domański tym, który gasi pożar benzyną. O ile inni ministrowie są zagrożeniem przede wszystkim dla naszych wolności, o tyle Domański zagraża bezpieczeństwu: ekonomicznemu, socjalnemu, emerytalnemu czy zdrowotnemu.

NEGATYWNE REKORDY III RP

Jest ponurym żartem, że Tusk nazwał budżet na 2025 r. „odpowiedzialnym, ale hojnym”. Kiedy nie ma żadnego wielkiego



kryzysu światowego i Polska bepośrednio nie prowadzi wojny, budżet Domańskiego bije wszelkie negatywne rekordy, przede wszystkim pod względem deficytu i długu.

Plan budżetowy na 2025 r., za który w pełni odpowiada minister, zakłada wzrost PKB o 3,9 proc., dochody prawie na poziomie 633 mld zł, wydatki – 922 mld zł, czyli o 56 mld zł więcej niż w planie na 2024 r., a deficyt na poziomie 289 mld zł, czyli o 105 mld zł więcej niż w planie na 2024 r. Nominalnie oznacza to najwyższy deficyt w historii III RP, co czyni Domańskiego negatywnym królem długów. A budżet to zwykła bomba, co w Sejmie w najbardziej obrazowy sposób pokazał Sławomir Mentzen. Deficyt ministra stanowi połowę zaplanowanych dochodów i jedną trzecią wydatków. Potrzeby pożyczkowe netto wyniosą gigantyczne 367 mld zł (85 mld zł więcej niż w planie na 2024 r.), a brutto – 553 mld zł (104 mld zł więcej niż w planie na 2024 r.). Trzeba zatem znaleźć 550 mld zł.

Fot. Andrzej Wiktor

Pozyskanie przez Domańskiego tak ogromnych pieniędzy może sprawić, że skokowo wzrośnie oprocentowanie polskich obligacji i nie będzie na nie popytu, a obsługa tego długu w przyszłości osiągnie rekordowe sumy i odbierze wszelkie nadzieje obecnym kilku- i nastolatkom. Poza tym dług państwowy wypiera dług prywatny i jest traktowany przez banki priorytetowo, przez co zwiększa się oprocentowanie kredytów, a firmom utrudnia się kredytowanie.

Mając tak ogromny dług, Polska staje się bardzo podatna na zagraniczne wpływy. Może być u nas tak, jak w 2011 r. we Włoszech, gdzie banki przestały finansować dług i deficyt. Wtedy Bruksela zmusiła ówczesnego premiera Silvia Berlusconi do dymisji i narzuciła Rzymowi Maria Montiego. W przypadku Tuska tak się nie stanie, ale zostanie on zmuszony do wszelkich ustępstw, głównie na rzecz Berlina, przez co Polska nie przeciwstawi się żadnym głupim decyzjom centrali.

Deficyt i dług są uzasadniane przez Domańskiego koniecznością spłaty zadłużenia Polskiego Funduszu Rozwoju, funduszy covidowych oraz zapewnienia środków na wydatki obronne, ale to jedna wielka ściema. Choć zaplanowano spłatę 35 mld zł długu PFR i prawie 29 mld zł funduszy covidowych, wcale nie zmniejszy to zadłużenia funduszy pozabudżetowych, tylko je zwiększy. W latach 2024–2025 ukryty w nich dług wzrośnie z 363 mld zł do 472 mld zł, i to mimo zaplanowanej spłaty 64 mld zł. W sierpniu 2023 r. ten sam Domański oburzał się, że deficyt planowany na 2024 r. miał urosnąć do 165 mld zł, a potrzeby pożyczkowe miały wynieść 225 mld zł. Obecnie minister dopuszcza wskaźniki ponad dwa razy gorsze, bo takie jest życzenie premiera Tuska, głównie z powodu wyborów prezydenckich w 2025 r., w których lider PO prawdopodobnie wystartuje.

PLAN KATASTROFY

8 października 2024 r. Rada Ministrów przyjęła przygotowany przez Domańskiego średniookresowy plan budżetowo-strukturalny na lata 2025–2028. Tylko że jest on fikcją. Pokazuje bowiem kompletnie zakłamaną ścieżkę wychodzenia Polski z procedury nadmiernego deficytu, co powinno nastąpić w 2028 r., gdy deficyt sektora rządowego i samorządowego (tzw. general government) miałby osiągnąć 2,9 proc. PKB. Deficyt sektora finansów publicznych za 2024 r. ma wynieść 5,7 proc. PKB, za 2025 r. – 5,5 proc. PKB (zgodnie z projektem ustawy budżetowej na 2025 r.). W 2026 r. deficyt ma spaść do 4,5 proc. PKB, w 2027 r. – do 3,7 proc., a w 2028 r. – do 2,9 proc. Jednocześnie dług państwa (liczony według definicji UE) ma spaść poniżej 60 proc. PKB w 2030 r. To absolutnie nierealne, ale ma pokazać, że rząd i jego minister finansów są

odpowiedzialni i poważni. Oczywiście na potrzeby wyborów prezydenckich.

Tymczasem gdy chodzi o finanse państwa, nie było w III RP bardziej nieodpowiedzialnych i niepoważnych ludzi zajmujących się nimi. Domański odgrywa rolę sztukmistrza, a nie szefa resortu finansów. Nie da się bowiem pogodzić obniżenia deficytu z brakiem cięć w wydatkach i chyba także bez podwyżki podatków. Pan Dziura 2024 wciska Polakom kit, że zadziała tzw. efekt wyrastania, czyli zmniejszanie się deficytu i długu w relacji do PKB dzięki szybkiemu wzrostowi samego PKB. Ale rząd, w którym funkcjonuje Domański, nie potrafi stymulować wzrostu PKB. W efekcie w latach 2025–2028 wciąż będzie brakować pieniędzy, i to coraz dotkliwiej. Nie ma więc żadnych szans na podwyżkę kwoty wolnej do 60 tys. zł czy poprawę sytuacji w ochronie zdrowia, a jakakolwiek obniżka podatków to bajka.

Wbrew optymizmowi Pana Dziury Komisja Europejska zakłada, że m.in. przez kryzys demograficzny PKB Polski będzie rósł coraz wolniej. A skoro tak, to efekt wyrastania z deficytu i długu jest kompletną fikcją. I nie pomogą zakłęcia ministra, że „polską gospodarkę stać na więcej”. Stać, ale nie z tym rządem, nie z tym premierem i nie z tym ministrem finansów. Andrzej Domański ściemnia, gdy twierdzi, że dług Polski jest opanowany, gdy liczony unijną metodologią w ciągu dwóch lat przekroczy

alarmowy poziom 60 proc. PKB. W 2025 r. będą wybory prezydenckie, a w 2027 r. parlamentarne, więc rząd Tuska i Domańskiego będzie chciał się pochwalić realizacją kolejnych obietnic wyborczych, co jest kosztowne i jeszcze podwyższy poziom deficytu oraz długu. O tym się głośno nie mówi, ale w przyjętej przez rząd „Strategii zarządzania długiem sektora finansów publicznych w latach 2025–2028” założono, że poziom zadłużenia instytucji rządowych i samorządowych (czyli tzw. EDP – dług całego sektora general government brany pod uwagę przez Komisję Europejską) już w 2026 r. przebieje pułap 60 proc. PKB i wy-

niesie 60,9 proc. PKB, tj. prawie 2,6 bln zł. Wzrosną też wydatki związane z obsługą tego zadłużenia. W 2024 r. wyniosą one 2,3 proc. PKB, zaś w 2027 i 2028 r. urosną do 2,6 proc. (104 mld zł). Oznacza to przekroczenie limitu konstytucyjnego według krajowej definicji długu, co będzie miało oczywiste reperkusje polityczne. Sytuacja będzie się pogarszać, więc trzeba to będzie przykryć igrzyskami, czyli głównie polowaniem na poprzedników, zamykaniem ich w aresztach i urządzaniem pokazówek.

Pan Dziura, wiernie służący swemu premierowi, szykuje Polakom finansowy armagedon, a wszystko to wyłącznie z powodu potrzeby kupienia sobie jak najlepszego wyniku wyborczego. A potem może być choćby potop. Rok po wyborach 15 października 2023 r. wyraźnie widać, że rząd Tuska z Domańskim odpowiedzialnym za finanse państwa zdecydowanie prze do celu. A skutkiem może być wyłącznie katastrofa. Dlatego minister finansów to bardzo niebezpieczny człowiek.

Domański odgrywa rolę sztukmistrza, a nie szefa resortu finansów. Nie da się pogodzić obniżenia deficytu z brakiem cięć w wydatkach i chyba także bez podwyżki podatków

Kryzys migracyjny, rozmowy pokojowe i zmękczenie Polaków

Jeśli migranci będą przekraczali naszą wschodnią granicę i zostaną zatrzymani na zachodniej, to Polska przekształci się w jedną wielką strefę buforową, miejsce, w którym będą musieli pozostać. Taki scenariusz realizowany przy pomocy Niemiec jest najlepszym rozwiązaniem dla Rosji i Białorusi



MAREK BUDZISZ

Maciej Duszczyk, wiceminister spraw wewnętrznych, uzasadniając rządową propozycję zawieszenia prawa do azylu, powiedział w jednej ze stacji telewizyjnych, że „posiadane przez nas informacje o różnych scenariuszach opracowanych na Białorusi i w Rosji uzasadniają taki wentyl bezpieczeństwa”. Zasugerował też, iż reżim w Mińsku przygotowuje się do zwiększenia presji migracyjnej po to, aby zdestabilizować sytuację w Polsce.

Temat polityki migracyjnej jest dziś w Unii Europejskiej zdecydowanie najważniejszy, był mu poświęcony ubiegło-

tygodniowy szczyt w Brukseli. Pytanie tylko, czy zaskakująca wolta Koalicji Obywatelskiej, która przed wyborami broniła „przybyszów” przekraczających naszą wschodnią granicę i brutalnie atakowała funkcjonariuszy Straży Granicznej oraz żołnierzy pełniących tam służbę, jest jedynie wynikiem otrzeźwienia i dostrzeżenia skali problemu? Wydaje się, że niekoniecznie i na decyzję Tuska mogła wpłynąć polityka Berlina, który jeszcze we wrześniu wprowadził wyrywkowe kontrole graniczne, a ostatnio zdecydowanie zwiększył ich restrykcyjność. To faktyczne rozmontowanie przez Niemców strefy Schengen oraz deklaracje kanclerza Scholza o tym, iż kontrole graniczne będą prowadzone „tak długo, jak okaże się to potrzebne” wzburzyło polityków rządzącej Polską koalicji. Bartłomiej Sienkiewicz, były minister kultury, a obecnie eurodeputowany, w emocjonalnym przemówieniu w Parlamencie



Europejskim zarzucił Niemcom, że ci, nie informując Warszawy o podejmowanych działaniach, postawili rząd Tuska w trudnej sytuacji.

Europarlamentarzyście KO nie można odmówić racji, bo w istocie jeśli migranci będą przekraczali naszą wschodnią granicę i zostaną zatrzymani na zachodniej, to Polska przekształci się w jedną wielką strefę buforową, miejsce, w którym będą musieli pozostać. Już obecnie możemy mówić o tysiącach nielegalnych przybyszów bezceremonialnie „cofniętych” do Polski przez policję z wschodnioniemieckich landów, a jeśli równolegle zaczęłyby się szturmy na wschodniej granicy, to nasza sytuacja mogłaby zacząć się szybko pogarszać co najmniej w tym samym tempie, jak będą maleć szanse kandydata KO na zwycięstwo w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. W tym sensie zapowiedzi rządu Tuska o zawieszeniu prawa do azylu wypadają bardziej za reakcję na działania Berlina niż odpowiedź na rosnące zagrożenie ze strony Białorusi. Ale w całej sprawie jest jeszcze drugie, znacznie ciekawsze dno.

PLANY SCHOLZA, REAKCJA ROSJI

W ub. tygodniu kanclerz Scholz ogłosił z parlamentarnej trybuny, że jego rząd opowiada się za rozmowami z Putinem, których celem miałyby być zakończenie wojny na Ukrainie. Co intrygujące, nie mówił o sędowaniu tego obowiązku na Kają Kallas, szefową dyplomacji Wspólnoty, a deklarował gotowość rozpoczęcia negocjacji w imieniu niemieckiego rządu. Była premier Estonii jest zbyt jastrzębio nastawiona jak na gusty niemieckiego socjaldemokraty, więc w tym momencie kończy się unijny patriotyzm Scholza, a na scenę wchodzi niemiecki rząd zabiegający o niemieckie interesy.

Rosjanie co do zasady nie są przeciwni, ale stawiają twarde warunki. Kilkanaście dni temu w wywiadzie dla „Newsweeka” Ławrow mówił o konieczności zniesienia sankcji i rezygnacji Ukrainy z członkostwa w NATO, „denazyfikacji” i uznaniu „terytorialnego status quo”, co oznacza utratę terenów okupowanych dziś przez Rosjan, a nawet konieczność wycofa-

nia się sił ukraińskich z obszaru tych anektowanych przez Rosję obwodów, które Kijów jeszcze kontroluje. Znacznie dalej poszedł Aleksandr Gruszko, wiceminister w resorcie kierowanym przez Ławrowa. W rozmowie z agencją Interfax powiedział, że ryzyko starcia militarnego Rosji i NATO rośnie, a winą za taką sytuację obarczył Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię, czyli „mocarstwa anglosaskie”. Jak zauważył: „Sytuacja w zakresie bezpieczeństwa wyglądałaby inaczej gdyby nie dążenie Sojuszu Północnoatlantyckiego do wciągnięcia za wszelką cenę jak największej liczby państw w swoje szeregi. Zdaniem rosyjskiego dyplomaty gdyby „NATO zatrzymało się na granicy Odry i Nysy”, te relacje wyglądałyby zupełnie inaczej. Moskale nie rezygnują zatem ze swych dalekosiężnych planów uczynienia z obszaru państw Europy Środkowej, w tym Polski, „szarej strefy buforowej”, a wysyłane przez nich sygnały mają przekonać Europejczyków z Zachodu, że nie są oni zagrożeni, bo apetyty Kremla kończą się na naszej zachodniej granicy.

Można zapytać, jak te dyplomatyczne podchody wiążą się z kryzysem migracyjnym? Nie ulega już wątpliwości, że obecnie jest on sterowany bezpośrednio z Moskwy, choćby dlatego, że nielegalni „przybysze” mają rosyjskie wizy. Kreml nie chciał ryzykować, że w samolotach lecących do Mińska znajdą się dżihadysty, sprawiający w ostatnich miesiącach w Rosji coraz więcej kłopotów, i przejął bezpośrednią kontrolę nad ich strumieniami. A to oznacza, że jeśli będą miały miejsce kolejne szturmy polskiej granicy, zostaną skorelowane z sytuacją na Ukrainie, perspektywami zakończenia wojny i rosyjskim „planem” ostatecznej rozgrywki. Jeśli udałoby się zdestabilizować sytuację wewnętrzną w Polsce, a jednocześnie przystąpić do rozmów wyłącznie z lepiej do Moskwy nastrojonymi partnerami z Zachodu, byłaby większa szansa na rozwiązanie korzystniejsze dla Kremla. Gdyby Tusk nie podjął decyzji o zawieszeniu prawa do azylu w Polsce, to w związku z faktycznym, „bezterminowym”, jak oficjalnie oświadczył Scholz, zamknięciem granic Niemiec dla migrantów stalibyśmy się *de facto* państwem szturmowanym

i zdestabilizowanym przez nasyłanych na nas przybyszów.

ZAKULISOWE ROZMOWY

Można jednak przypuszczać, że jeszcze istotniejszym, argumentem na rzecz podjęcia twardych działań Warszawy jest to, iż zakulisowe rozmowy z Mińskiem, a niewykluczone, że i z Moskwą, prowadzone przez Berlin ponad naszymi głowami, już trwają. Mamy co najmniej kilka sygnałów świadczących o tym, że urząd kanclerski, MSZ i niemieckie fundacje partyjne są w ostatnim czasie coraz bardziej aktywne na tym kierunku.

Andriej Dmitrijew, były dopuszczony przez władze rywal Łukaszenki w wyborach prezydenckich 2020 r., opublikował w ostatnich dniach w periodyku wydawanym przez Fundację Eberta, która jest oficjalnym think tankiem niemieckiej socjaldemokracji, artykuł programowy, w którym wezwał Berlin i Zachód do rewizji dotychczasowej polityki wobec Mińska. Stawia on w nim kilka tez. Twierdzi m.in., że zachodnie sankcje przeciw Białorusi w istocie uderzają w zwykłych ludzi i nie osłabiają reżimu, a także, iż obywatele jego ojczyzny oczekują na normalizację sytuacji wewnętrznej, w tym wypuszczenie więźniów politycznych i opowiadają się za stopniowymi zmianami. Dmitrijew przekonuje, że sankcje w gruncie rzeczy sprzyjają reorientacji Białorusi na Wschód i prowadzą do pogłębienia więzi Mińska z Rosją, a ich zniesienie umożliwi powrót do polityki, którą Łukaszenka próbował uprawiać przed 2020 r., kiedy lawirował i mówił o „równym dystansie” oraz pozablokowym statusie Białorusi.

Wystąpienie Dmitrijewa, bylego lidera ruchu Mówić Prawdę, który był sądzony i uwięziony po 2020 r., ale nadal mieszka na Białorusi, mimo iż zdaniem obserwatorów miał możliwość emigracji, jest o tyle ważne, że najprawdopodobniej nie miałoby ono miejsca bez cichej zgody reżimu, a także parasola ochronnego roztoczonego nad nim przez jedną z frakcji obozu władzy w Mińsku. W szeregach białoruskiej emigracji i przeciwników Łukaszenki teza, głoszona również przez Dmitrijewa, o konieczności przeformu-



lowania strategii i przyjęciu nowej polityki „dogadywania się” opozycji z reżimem zyskuje na popularności. Podobne tezy głoszą politycy i aktywiści społeczni w rodzaju Tatiany Chomicz czy Swiatłany Mackiewicz, a także Ryhor Astapenia, znany z regularnych, niezależnych badań białoruskiej opinii publicznej, pracujący w brytyjskim Chatham House.

Jurij Drakachrust, politolog i dziennikarz Radia Svoboda, napisał, że „nie ma wątpliwości”, iż manifest Dmitrijewa został napisany i opublikowany za granicą przy milczącej zgodzie reżimu. „Inni trafiają do więzienia za biało-czerwonobiałą flagę i »wywrotowe« zdjęcie w serwisie społecznościowym – zauważył – podczas gdy on publicznie pisze w zagranicznym periodyku o »rewolucji 2020«”. W świetle tej interpretacji mamy do czynienia z ewidentnym dowodem na to, że reżim szuka możliwości normalizacji stosunków z Zachodem, która mogłaby nastąpić zapewne w przyszłym roku, w którym zaplanowane są kolejne „wybory” prezydenckie.

Tego rodzaju sygnały są uważnie słuchane w stolicach państw zachodnich, w tym przede wszystkim w niemieckiej socjaldemokracji, w której silna jest frakcja nadal myśląca o powrocie do polityki dialogu z Rosją i Białorusią. Wydaje się, że nie tylko w otoczeniu Łukaszenki są ludzie szukający możliwości rozpoczęcia poufnych rozmów na temat normalizacji tych relacji.

We wrześniu do Mińska przybyła nowa chargé d'affaires Niemiec (ranga kontaktów została obniżona przez wszystkie państwa Wspólnoty po sfałszowanych przez władze wyborach prezydenckich). Ku pewnemu zaskoczeniu kierownictwo placówki objęła Andrea Wiktorin, która w latach 2015–2019 była ambasadorem Unii Europejskiej w Mińsku. Wysłanie na Białoruś doświadczanego dyplomaty na placówkę o relatywnie niskiej randze zostało odczytane przez reżim w kategoriach sygnału o gotowości do inicjacji poufnych rozmów. Tym bardziej że na

uroczystym raucie zorganizowanym przez niemiecką misję dyplomatyczną, który odbył się niedługo potem, byli obecni tacy politycy, jak właśnie Dmitrijew, których otoczenie Łukaszenki „używa” w charakterze pośredników i emisariuszy.

Franciszek Wiaczkorka, doradca ds. polityki zagranicznej Swiatłany Cichanouskiej, przyznał w mediach, iż „mitem jest” teza mówiąca o braku kontaktów przedstawicieli państw Zachodu, w tym Stanów Zjednoczonych, z reżimem Łukaszenki. W jego opinii „każdego dnia” Zachód wysyła sygnały

Zapowiedzi rządu Tuska o zawieszeniu prawa do azylu wypada uznać bardziej za reakcję na działania Berlina niż odpowiedź na rosnące zagrożenie ze strony Białorusi

mające przekonać reżim, iż normalizacja relacji, w tym powrót ambasadorów do Mińska, jest realny, ale to białoruskie władze nie są jeszcze gotowe do dialogu. A może czekają na rozpoczęcie rozmów pokojowych przez Rosję i chcą „pakietowego” załatwienia spraw?

Aleksander Łukaszenka, występując na początku października w Pińsku, wrócił do swoich starych i często powtarzanych tez na temat „polskiego zagrożenia”, „Chcę zdobyć zachodnią Ukrainę i zachodnią Białoruś” – powiedział dyktator, mając na myśli Rzeczpospolitą. „I chcę tam rządzić. Jest to dla nas nie do przyjęcia. Powinniście znać moje stanowisko w tej sprawie. Jeśli tylko Polacy wkroczą na Ukrainę i spróbują odbić jej Zachód, będziemy wspierać Ukraińców. Bo wiemy, że będziemy następni”. Ta z pozoru absurda wypowiedź

oddaje to, w jaki sposób na Wschodzie postrzega się sytuację strategiczną.

STRASZENIE POLSKĄ

W Mińsku nie wątpią, że Ukraina przegra wojnę i tylko kwestią czasu jest to, kiedy front zacznie się łamać. Rosjanie mogą wówczas dojść do linii Dniepru, a nawet zacząć ją przekraczać, o czym po ataku na obwód kurski otwarcie pisał Dmitrij Miedwediew, były prezydent, a dziś zastępca sekretarza Rady Bezpieczeństwa. Wówczas w świetle tej narracji siły państw NATO, przede wszystkim Polacy, mogą się zdecydować na wprowadzenie wojska na zachodnią Ukrainę po to, aby „ratować, co się da” i nie dopuścić do załamania się władzy Zełenskiego. To o takiej sytuacji mówił Łukaszenka, deklarując, że wówczas Białoruś przystąpi do wojny, bo nie może dopuścić do sytuacji, kiedy będzie „oskrzydłona” przez NATO.

Dlatego w interesie zarówno Mińska, jak i Moskwy jest izolowanie Polski, rozpoczęcie ewentualnych rozmów w kwestii warunków zakończenia wojny bez naszego udziału, a najlepiej doprowadzenie do sytuacji, kiedy będziemy zajęci innymi problemami. Nasilenie kryzysu migracyjnego, o czym mówił minister Duszczuk, może być właśnie tego rodzaju intrygą. Polska borykająca się z problemami zarówno na swej wschodniej, jak i zamkniętej zachodniej granicy może okazać się bardziej spolegliwa i nie będzie próbowała torpedować negocjacji drugiego porozumienia mińskiego. W Berlinie coraz częściej mówi się ostatnio o konieczności jego zawarcia, a spotkanie Scholza z Bidenem z udziałem prezydenta Francji i premiera Wielkiej Brytanii pokazuje, jak niemieccy dyplomaci wyobrażają sobie przygotowanie do rozmów kończących wojnę. Bez Polski i bez udziału państw wschodniej flanki NATO, którzy mogą prezentować zbyt twarde warunki. Trzeba nas zatem trochę zmiękczyć.

Czy Tusk wystraszy się własnej odwagi?



JAN ROKITA

Pewnie nie każdy zwrócił uwagę na taką charakterystyczną scenkę, która rozegrała się podczas sobotniego kongresu PiS w Przysusze. Jarosław Kaczyński, który już wcześniej wygłosił swoją zasadniczą mowę, w której oskarżył rząd Tuska o atak na najbardziej podstawowe polskie interesy, wyszedł potem jeszcze raz na moment na trybunę, aby sprostować pewną pomyłkę w swojej mowie. Ale prezes PiS wykorzystał tę dodatkową chwilę przy mikrofonie, aby poinformować salę, iż premier Tusk właśnie ogłosił plan zawieszenia przez Polskę prawa do azylu politycznego dla cudzoziemców.

Kaczyński opatrzył tę informację popularnym dziś hasłem prawicowej opozycji: „Presja ma sens!”. W tamtej chwili dla każdego delegata na sali treść politycznego komunikatu, spontanicznie przekazanego przez przywódcę partii, musiała być najzupełniej jasna: „Widzicie, to nasza zasługa, że Tusk zapowiada rzecz tak rozsądną i pożyteczną dla Polski”.

REAKCJA PIS

Ten spontaniczny komunikat Kaczyńskiego nie stał się jednak polityczną linią PiS. Przeciwnie, już kilka godzin później opozycyjne media i politycy na wszelkie sposoby próbowali zdezwuować, ośmieszyć i odrzucić zapowiedź premiera. Najczęściej na jeden z dwóch sposobów: albo przypominając coś całkiem odwrotnego, co Tusk mó-

Wierność Sienkiewicza, czołobitna apologia redaktor Wielowiejskiej na łamach „Gazety Wyborczej” oraz zrozumienie ze strony niemieckiej CDU – to może być za mało, aby dodać Tusкови odwagi w realizacji planu zawieszenia przez Polskę prawa do azylu

wił przed ubiegłorocznymi wyborami, albo też (tropem sfanatyzowanych środowisk proimigranckich) zarzucając mu kolejny akt bezprawia. Niestety okazuje się, że skrajnie polaryzacyjna logika polskiej polityki uniemożliwiła opozycji zwyczajne powiedzenie tego, co podczas kongresu spontanicznie wyraził Kaczyński.

A należało powiedzieć tak: „Cieszymy się, że pod naszą presją Tusk zmienił zdanie w sprawie azylu oraz granic i jesteśmy gotowi wspólnie pracować nad tym, jak zapowiedź premiera przekuć w prawo, tak by nie stała się ona kolejnym aktem lekceważenia praworządności przez obecny rząd”. Przyznam, że czekałem na takie oświadczenie PiS, ale się nie doczekałem.

Taki punkt widzenia opozycji wydawał mi się naturalny przede wszystkim dlatego, że idea mocnej ochrony polskiej granicy państwowej stała się przecież w ciągu ostatnich lat (zwłaszcza po sporze o mur na wschodzie) jednym z najbardziej symbolicznych wyróżników ideowych prawicy. I to akceptowanym bodaj przez wszystkich ludzi głosujących na PiS i Konfederację, a także zresztą przez większość wyborców Platformy.

Toczona zatem w ciągu ostatnich dni kampania PiS mająca skompromitować

plan obwieszony przez premiera uderza w głęboką tożsamość samej prawicy i jej elektoratu. Sądzę, że poza znikomą grupą fanatyków bodaj każdy wyborca prawicy doskonale rozumiałby sytuację, w której tak wrogi PiS Tusk ulega naciskowi i w sprawie ochrony granicy idzie nie tylko tropem programu PiS, lecz także stara się go przebić swoją stanowczością. Natomiast wśród wyborców prawicy mało kto dysponuje aż tak obrotowym światopoglądem (poza owymi fanatykami), aby uznać, iż z powodu wrogości żywionej wobec premiera trzeba będzie teraz walczyć o to, by polska granica pozostała otwarta dla ubiegających się o azyl obcych kulturowo przybyszów z Afryki i Azji. Zresztą jeśli tylko projekt Tuska znajdzie jakieś realne zastosowanie, PiS i tak nie będzie mogło mu się na końcu uparcie przeciwstawiać. Czy więc nie byłoby przejawem politycznej roztropności otworzyć sobie drogi do poparcia tego projektu od pierwszego momentu? Tusk przecież liczył na to, że wprawi opozycję w sporą konfuzję. I tak się stało.

Ale istota sprawy tkwi w tym, że wbrew swoistej „moralnej panice” podniesionej przez lewicę i coraz bardziej popsutych w dzisiejszym świecie obrońców praw człowieka, w kwestii azylu Tusk po prostu ma rację. Rzecz

jasna, nie ten poprzedni, cyniczny Tusk, który podczas kampanii grał na popularności osławionego filmu Agnieszki Holland, mobilizując w ten sposób po swojej stronie najbardziej lewicowych i „postępowych” wyborców. Ale Tusk dzisiejszy, który z równym cynizmem, lecz tym razem w zgodzie z interesem państwa, chce udowodnić wyborcom prawicy, iż to on, a nie Kaczyński z Morawieckim, jest prawdziwym teksańskim szeryfem postawionym na meksykańskiej granicy. Ten dzisiejszy Tusk ma rację nawet tak dalece, że (jak śmiem przypuszczać) sam chyba nie zdaje sobie z tego do końca sprawy. Gdyby miał tego świadomość, lepiej i skuteczniej broniłby swojego planu przed falą ataków, które przypuścili nań polscy i zagraniczni „postępowcy”.

KARYKATURA PRAWA DO AZYLU

Rzecz bowiem w tym, że prawo do azylu politycznego, tak jak jest ono dziś traktowane w Europie, to karykatura stanowiąca ledwie cień niegdyśiejszych szlachetnych intencji, w jakich zostało ono ustanowione. Jego nowoczesna geneza tkwi w powojennej ONZ-etowskiej Deklaracji Praw Człowieka, z której później trafiło do kilku konwencji międzynarodowych, których Polska jest jedną ze stron. I jak można przeczytać w każdym nieco starszym wykładzie treści prawa do azylu politycznego (wystarczy sięgnąć po któryś z numerów wydawanego od 1988 r. przez Uniwersytet Oxfordzki pisma „Journal of Refugee Studies”), azyl, aby być istotnie legalny, musi spełniać dwie podstawowe cechy. Po pierwsze, mieć charakter czasowy, a nie prowadzić do czyjegokolwiek trwałego osiedlenia się poza własną ojczyzną. Po drugie, dotyczyć prześladowanych w ich ojczyźnie pojedynczych, konkretnych ludzi, w żadnym razie nie może być prawem zbiorowym.

To, co dziś w epoce masowych migracji dzieje się z prawem azylu, jest w istocie – powtórzmy tę oczywistość – karykaturą. Do Europy starają się na stałe przesiedlić miliony ludzi z innych kontynentów, którzy (zresztą trudno im się dziwić) wykorzystują do tego celu procedurę wniosków azylowych. Za-



dowoleni są ci, którzy udowodnią jakieś prześladowania i dostaną azyl polityczny od któregoś z europejskich rządów. Ale cieszą się także ci, którzy niczego nie udowodnią i nie dostaną azylu, ale – tak przynajmniej było do tej pory – jako „starający się o azyl” mogą skutecznie dostać się do Europy. I nim rzecz zostanie rozpatrzona w Polsce czy gdziekolwiek indziej, już dawno mogą dostać się do Niemiec albo na drugi koniec Europy. Dopiero ostatnio w sławetnej i tak kontrowersyjnej u nas (choć z innego powodu) nowej dyrektywie azylowej, mającej wejść w życie dopiero w przyszłym roku, próbuje się trochę utrudnić cały ten proceder, zezwalając choćby na przetrzymywanie potencjalnych azylantów w przymusowych obozach, nawet poza granicami Unii (np. w Albanii).

Ale mało kto zauważył, że na przekór temu zdroworozsądkowemu trendowi cały dotychczasowy sens azylu poli-

tycznego właśnie dopiero co wysadził w powietrze unijny Trybunał Sprawiedliwości. 4 października w procesie wytoczonym przez dwie Afganki rządowi Austrii TSUE orzekł, iż aby uzyskać w Unii prawo azylu obywatelki Afganistanu nie muszą dowodzić żadnych prześladowań w swoim kraju. „Wystarczy afgańskie obywatelstwo i płeć” – napisano w wyroku. Tym wyrokiem luksemburscy sędziowie, owładnięci postępową ideologią tzw. reprodukcyjnych praw kobiet, przyznali azyl *in spe* 20 mln Afganek, które mogą od lat mieszkać poza swoim krajem (a jest takich parę milionów), a teraz ni stąd, ni zowąd nabyły prawa do osiedlenia się w Europie. Potem w ramach „łączenia rodzin” mogą tu sprowadzić swoich muzułmańskich mężów, ojców i synów. Więc tylko czekać, jak w całym Hindukuszu sprytni „pośrednicy” rozpoczną masową rekrutację „azylantek”.



A niewykluczone, że zajmie się tym nawet sam Putin z Łukaszenką, nie przepuszczając takiej gratki do ustawienia nad polską granicą licznych kobiet z dziećmi, wymachujących zza muru powielonym wyrokiem TSUE, nadającym im unijne prawa. Ten wyrok unaocznia, zresztą nie po raz pierwszy, jak nieodpowiedzialną i szkodliwą dla przyszłości Europy instytucją jest ów luksemburski sąd, który rości sobie prawo do nadrzędnej i przez nikogo niekontrolowanej władzy politycznej.

Zdegenerowane prawo do azylu politycznego jest dziś utrapieniem europejskich rządów, z którym nie potrafią sobie poradzić, gdyż krytyka azylu, o czym właśnie przekonuje się Tusk, wywołuje prawdziwą ideologiczną furię wszystkich „postępowców”. Różne gabinety próbują więc sztuczek i uni-ków. Niedawno polskie media obiegrała informacja, wedle której w nowych

formularzach granicznych dla imigrantów Niemcy ponoć usunęli rubryczkę z pytaniem: „Czy zamierzasz wystąpić o azyl?”. Tusk powołuje się z kolei na przykład fiński, gdzie w zeszłym roku na mocy specustawy zamknięto czasowo wszystkie przejścia graniczne z Rosją, co musiało pośrednio oznaczać zaniechanie przyjmowania wniosków o azyl. Jednak wprost, w samą zepsutą instytucję azylu, rząd w Helsinkach nie odważył się uderzyć. Friedrich Merz był dotąd najbliższy obecnemu planowi Tuska, gdy zapowiadał, że po zwycięstwie CDU/CSU wprowadzi „imigracyjny stan wyjątkowy”, umożliwiający zawieszenie prawa do starania się o azyl na niemieckiej granicy. Mur ustawiony na granicy polsko-białoruskiej za rządu

Tusk z równym cynizmem, ale tym razem w zgodzie z interesem państwa, chce udowodnić wyborcom prawicy, iż to on, a nie Kaczyński z Morawieckim, jest prawdziwym teksańskim szeryfem postawionym na meksykańskiej granicy

Morawieckiego też był taką pośrednią formą uderzenia w prawo do starania się o azyl. A bez jakiegoś radykalnego rozwiązania azylowej kwadratury koła Europa nie tylko nie powstrzyma, lecz także nie przyhamuje ani tempa, ani skali nowej wędrowności ludów.

POTRZEBNA DETERMINACJA

Dość nieoczekiwanie w sobotę 15 października Tusk zachował się tak, jakby chciał z premedytacją wziąć byka za rogi. Co prawda w kwestiach migracyjnych premier już raz w przeszłości zrobił rzecz ważną i nieoczekiwaną. W marcu 2016 r., gdy ewidentnie

sprzeczne z europejskimi traktatami porozumienie państw bałkańskich z dnia na dzień przecięło tzw. szlak bałkański, którym przeszedł już 1 mln ludzi w stronę Niemiec, Tusk (wtedy w roli szefa Rady Europejskiej) błyskawicznie zatwittował, iż Unia dziękuje Węgrom, Chorwacji, Serbii i Macedonii za podjęcie tej prawdziwie europejskiej decyzji. W ten sposób opóźnił, a w konsekwencji sparaliżował brukselskie sprzeciw, narażając się na ostrą krytykę, zwłaszcza w Grecji i we Włoszech.

Ale dobrze wiadomo, że Tusk nie należy do polityków odważnych, zwłaszcza wtedy, gdy bunt podnosi się na jego własnym, polskim i europejskim, zapleczu. Wierność Sienkiewicza, czolobitna apologia redaktor Wielowieyskiej na łamach „Gazety Wyborczej” oraz zrozumienie ze strony niemieckiej CDU – to może być za mało, aby dodać mu odwagi.

Teraz na jego szkodę zagrał, po raz pierwszy tak wyraźnie, fatalny nawyk lekceważenia wymogów prawa i konstytucji, do czego przyzwyczaił się ostatnio w toku swojej kampanii przeciw PiS. Jak nie bez racji napisano w Pradze na łamach czeskiego „Respektu”, Tusk zaczął sobie wyobrażać, iż jego rząd „po prostu nie ma już obowiązku uznawać, że prawo jest prawem”, bo dla politycznej ochrony wystarcza mu „liberalna reputacja”

na europejskich salonach. W dobrze zorganizowanym gabinecie tak ryzykowna rzecz została odpowiednio wcześniej dopracowana od strony konstytucyjnej i prawnej. Zresztą bardzo prawdopodobne, że to któryś ze spin doktorów podsunął Tusкови słowa o „zawieszeniu prawa azylu” jako świetny pomysł na posianie zamętu w szeregach i elektoracie PiS. Jeśli jednak tak było, to tym razem premier nie wyobraził sobie dostatecznie jasno siły postępowych potęg, które obrócił przeciwko sobie tym zdaniem.

I Tusкови, i Polsce można teraz tylko życzyć, aby premier zbyt łatwo nie wystraszył się własnej odwagi. 



To jest spór nie tylko o katechezę w szkołach

*O miejscu Kościoła w przestrzeni publicznej z **dr. Zbigniewem Barcińskim**,
prezesem Stowarzyszenia Pedagogów NATAN, rozmawia Piotr Ślabeł*

Katecheza to ostatnio jeden z ważnych tematów debaty publicznej. O co chodzi w tym sporze?

Zbigniew Barciński: Na pierwszy plan wysuwa się sprawa organizacji katechezy w szkole: liczba godzin, zasada uczestnictwa (dobrowolność albo obowiązkowy wybór religii lub etyki), możliwość łączenia grup z różnych klas, wliczanie ocen do średniej, zapewnienie pracy katechetom. Władze MEN chcą ograniczyć miejsce i znaczenie katechezy w szkole, doprowadzić do tego, aby jak najmniej uczniów brało udział w tych zajęciach. Kościół podejmuje próby obrony dotychczasowego stanu rzeczy.

W tle jest druga kwestia sporna – miejsce i rola Kościoła w przestrzeni publicznej. Jest to temat szerszy, ważniejszy i bardziej fundamentalny. Czy decyzje w sprawie katechezy w szkole mają być podejmowane tylko przez jedną stronę, czyli MEN, czy też w porozumieniu ministerstwa i Kościoła? Czy działania Kościoła mają dotyczyć tylko sfery prywatnej wiernych, czy też Kościół ma prawo zabierać głos w sferze publicznej i czynić świat bardziej chrześcijańskim?

Tu dochodzimy do najistotniejszej kwestii – jakie ma być polskie społeczeństwo za 10, 20, 30 lat: katolickie czy oderwane od katolicyzmu? Czy ma być zbudowane na takich wartościach, na które wskazuje katolicyzm (m.in. małżeństwo, rodzina, dzieci), czy też w przyszłym społeczeństwie te wartości nie będą miały już znaczenia? Spór o katechezę w szkole, o miejsce Kościoła w przestrzeni publicznej to ostatecznie wielki spór o przyszłość – kto i jak będzie ją kształtować.

Co się obecnie dzieje z katechezą w szkole?

MEN już usunęło z podstawy programowej przedmiotów humanistycznych wiele treści związanych z kształtowaniem patriotyzmu. Zapowiada także likwidację przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie od roku szkolnego 2025/2026, a jednocześnie wprowadzenie nowego – edukacji zdrowotnej, do którego ma być włączona edukacja seksualna. Już sama konstrukcja tego nowego przedmiotu – zdrowie jako rama dla tematyki seksualności – ma nieść przesłanie, że w sferze seksualności takie wartości, jak małżeństwo,

rodzina, dzieci nie mają istotnego znaczenia. Te działania i zapowiedzi MEN potwierdzają tezę, że spór o katechezę w szkole jest tylko fragmentem dużo większej walki o kształt społeczeństwa w najbliższych dziesięcioleciach.

Sytuacja jest kryzysowa, trudna i niestabilna. Dotychczasowe miejsce i kształt szkolnej katechezy zostały zachwiane. Wokół tych zajęć mamy zamieszanie, jest wiele zagrożeń, dużo niepewności. Jednocześnie są podejmowane różne inicjatywy i działania mające na celu obronę katechezy w szkole. Może być tak, że ten kryzys będzie momentem zwrotnym, impulsem do podjęcia w Kościele dalekosiężnych decyzji w sprawie nowego kształtu tych zajęć. Być może to szansa ustalenia linii rozwoju katechezy na wiele lat – z uwzględnieniem aktualnego, zewnętrznego kontekstu, w wielu aspektach zupełnie innego niż przez ostatnich 30 lat.

Jaki cel należałoby postawić przed katechezą?

Chodziłoby o to, aby w perspektywie najbliższych dziesięcioleci katecheza stała się potężną siłą kształtującą młode pokolenia, a także dorosłych. Aby poma-

gała w rozwoju silnej wiary i zaufania do Boga. Aby pobudzała do pracy nad sobą, do kształtowania silnych charakterów w oparciu o ewangeliczne wartości. Aby przyciągała jak najwięcej osób do uczestnictwa w sakramentach. Aby wykształciła jak najwięcej osób, które będą chciały i potrafiły zmieniać świat na bardziej chrześcijański.

Jak się to ma do tego, co jest teraz?

Często katecheza jest prowadzona bardzo dobrze i przynosi owoce. Tak jest w wielu parafiach, w wielu wspólnotach, w wielu szkołach. Ale jeśli spojrzymy na katechezę przez pryzmat tendencji statystycznych w skali ogólnopolskiej, wyłania się przed nami bardzo niepokojący obraz. Coraz mniej dzieci i młodzieży bierze udział w szkolnej katechezie – szczególnie w wielkich miastach i w szkołach ponadpodstawowych. Spada liczba osób uczestniczących w niedzielnej mszy. Trzeba tu podkreślić, że te znikające z Kościoła osoby przez wiele lat uczestniczyły w szkolnej katechezie. Badania socjologiczne wskazują, że co prawda w Polsce mamy jeszcze stosunkowo dużo młodzieży deklarującej wiarę katolicką, ale tempo odchodzenia od wiary i Kościoła jest najszybsze, jeśli chodzi o kraje europejskie. W tym kontekście można powiedzieć, że w całościowej perspektywie katecheza nie przynosi takich owoców, jakich należałoby oczekiwać. Statystycznie rzecz biorąc, w jakiejś mierze jest obecnie nieskuteczna.

Dlaczego tak wielka praca tak wielu osób nie przynosi oczekiwanych owoców?

Przyczyny tych niepokojących zjawisk można podzielić na wewnętrzne i zewnętrzne. Wewnętrzne dotyczą braków i słabości samego Kościoła, zewnętrzne są związane ze współczesną kulturą medialną, ze światem, który nas otacza. Moim zdaniem w wyjaśnianiu kryzysu katechezy kluczowe są przy-

czyny zewnętrzne. Choć oczywiście wewnętrzne też mają pewien wpływ na problemy z jej skutecznością. Współczesna kultura przedstawia w dużej mierze wizję życia alternatywną wobec chrześcijaństwa. W niej człowiek ma szukać samorealizacji w oderwaniu od Boga i od trwałych więzi z innymi. Liczy się przyjemność seksualna i tolerancja wobec wszystkiego, co nie jest tradycyjne. Z tej perspektywy Kościół katolicki i katecheza są traktowane jako coś wrogiego. To podważa efekty wieloletnich wysiłków katechetycznych Kościoła.

Co wewnątrz Kościoła osłabia efektywność katechezy?

Wskazałbym przede wszystkim na kwestię całościowej strategii działania Kościoła w Polsce. Świat, który nas otacza, zmienia się bardzo szybko, i to na niekorzyść. Moim zdaniem Kościół zbyt wolno reaguje na te zmiany. Przez wiele lat jego sytuacja w Polsce, a więc i szkolnej katechezy, była w dużej mierze stabilna. Teraz jednak zmienia się bardzo szybko i trzeba na to reagować. To, co przez wiele lat przynosiło efekty, teraz przestaje działać. W obecnej sytuacji trzeba szukać takich sposobów działania, które byłyby adekwatne do współczesnych wyzwań.

Co należałoby zrobić?

Moim zdaniem podstawowym warunkiem skuteczności katechezy dzieci i młodzieży jest odwrócenie dominujących tendencji w otaczającej nas kulturze medialnej. Wiem, że to trudne, jednak Kościół katolicki niejednokrotnie w swej historii pokazywał, że z pomocą Boga jest to możliwe. Przykładem mogą być pierwsze wieki chrześcijaństwa – kultura starożytnej Grecji i starożytnego Rzymu została schryścianizowana. Św. Franciszek z Asyżu z wiarą, pokorą i odwagą podjął działania – na pozór małe i bez znaczenia – które doprowadziły do odwrócenia sytuacji Kościoła,

będącego wtedy pod olbrzymią presją i krytyką. Św. Ignacy Loyola zaczynał od małych kroków, a ostatecznie przyczynił się do zasadniczej zmiany sytuacji katolicyzmu w Europie. Bł. kard. Stefan Wyszyński w czasach komunistycznych ataków na Kościół poprowadził Wielką Nowennę jako przygotowanie do 1000-lecia Chrztu Polski. Ta 10-letnia kampania społeczna promująca wiarę i wartości katolickie przyniosła wielkie efekty.

A co można zrobić, jeśli chodzi o samą katechezę?

Trzeba ją rozwijać programowo i organizacyjnie we wszystkich miejscach, gdzie jest prowadzona: w parafiach, we wspólnotach, w szkołach. Jeśli chodzi o katechezę w szkole, to konieczna jest obrona jej miejsca i znaczenia w całym procesie nauczania i wychowania.

Np. w pierwszej klasie szkoły ponadpodstawowej katechezę warto oprzeć na jednej z Ewangelii – według św. Marka lub św. Łukasza. Chodzi o to, aby stała się ona zasadą organizacji treści nauczania podczas całego roku albo przynajmniej jednego semestru. Ewangelie to przecież podręczniki katechetyczne pierwotnego Kościoła. Znamy ksiądz opowiadał mi, że miał wielkie problemy z klasą w liceum. Zostawił obowiązujący wtedy program i pracował przez cały rok z uczniami nad Ewangelią według św. Łukasza. Po tym roku to była już inna klasa.

Na katechezie warto też znaleźć miejsce na apologetykę, czyli obronę wiary i rozumu. Chodziłoby o naukę samodzielnego myślenia, rozwój umiejętności analizowania przekazów współczesnej kultury, odkrywania, że wiara i rozum się uzupełniają, dostrzegania wartości chrześcijaństwa i jego wielkiego wkładu w kulturę europejską. Katecheza ma w sobie wielki potencjał wspierania rozwoju wiary, uczenia budowania trwałych więzi i dystansu do konsumpcyjnego stylu życia. 



Dr Zbigniew Barciński, pedagog i teolog, stały współpracownik miesięcznika „Katecheta”. Zajmuje się metodyką nauczania. Współautor i redaktor poradnika „Vademecum katechety. Metody aktywizujące” oraz programu parafialnego przygotowania dzieci do I Komunii Świętej „Skarby mszy świętej”. Autor programów szkoleniowych „Trudne tematy na katechezie. Jak o nich rozmawiać?” oraz „Trudne zachowania uczniów. Jak na nie reagować?”

Nauczyciele na cen

Tzw. ustawa Kamilka miała uchronić dzieci przed przemocą i uwrażliwić na nią otoczenie. Tymczasem nauczyciele i rodzice alarmują, że w zdrowe relacje wkroczył represyjny aparat państwowy



DOROTA ŁOSIEWICZ

Zgodnie „ustawą Kamilka” każda instytucja, z której usług korzystają dzieci, musiała wdrożyć tzw. standardy ochrony małoletnich. Mają one m.in. pomóc wcześniej dostrzegać sygnały, że dziecku może dziać się krzywda lub mają chronić przed tą krzywdą. Wytyczne do standardów opublikował resort sprawiedliwości. Ustawa o ochronie małoletnich została zmieniona na mocy nowelizacji z 28 lipca 2024 r. nazwanej ustawą Kamilką.

Projekt ustawy powstał po tragicznej śmierci 8-letniego Kamila z Częstochowy zakatowanego przez ojczyma. Głównym celem noweli było wzmocnienie systemowej ochrony dzieci przed skrzywdzeniem. Zmienione przepisy weszły w życie 15 lutego br.

Od tego czasu osoby podejmujące pracę w placówkach związanych z wymienioną w ustawie działalnością z dziećmi muszą przedstawiać zaświadczenie o niekaralności z Krajowego Rejestru Karnego. Natomiast 15 sierpnia zaczęły obowiązywać wymagania dotyczące tzw. standardów ochrony małoletnich. Teoretycznie mają one pomóc wcześniej dostrzegać niepokojące sygnały świadczące o tym, że dziecku może dziać się krzywda i pomóc na nie reagować. Muszą je wprowadzić wszystkie instytucje, z których



usług korzystają dzieci, m.in. placówki oświatowe (szkoły, przedszkola), opiekuńcze, wychowawcze, religijne, artystyczne, medyczne, rekreacyjne, sportowe, związane z rozwijaniem zainteresowań.

MNOŻENIE WYTYCZNYCH

– Ta ustawa to popis opresyjnego państwa, które próbuje przejąć funkcje tam, gdzie powinno się budować relacje między ludźmi. Nasuwa się skojarzenie z ustawą oświatową, która liczy 600 stron. Ta, która funkcjonowała w II RP i zamykała się w sześciu stronach, działała znakomicie, a szkoły reprezentowały wówczas wysoki poziom kształcenia, nauczyciele byli praw-

dziwymi autorytetami i dobrze wykształconymi ludźmi. Mnożenie przepisów wcale nie pomaga. Jeśli chodzi o „ustawę Kamilka”, mamy przypisy do przypisów i kolejne wytyczne rozbite na bardzo szczegółowe poziomy – osobne dla przedszkoli, szkół, dzieci, które pobierają naukę zawodu itd., itp. Dziesiątki stron, które uświadamiają nam, jak dalece państwo próbuje wkraczać na teren, który powinno zostawić prawdziwym autorytetom, czyli nauczycielom, sensownym dyrektorom szkół, a także rodzicom – słyszę od Hanny Dobrowolskiej, polonistki, autorki podręczników szkolnych do języka polskiego dla klas 4–6 oraz do nauczania początkowego, współzałożycielki Ruchu Ochrony Szkół.

zurowanym

I rzeczywiście, gdy wejdziemy na stronę Ministerstwa Sprawiedliwości w poszukiwaniu standardów ochrony małoletnich, znajdujemy cały katalog wielostronicowych wytycznych: „Wytyczne do standardów ochrony dzieci – ochrona dziecka w żłobkach”, „Wytyczne do standardów ochrony dzieci – ochrona dziecka w przedszkolach”, „Wytyczne do standardów ochrony dzieci – ochrona dziecka w szkole”, „Wytyczne do standardów ochrony dzieci – ochrona dziecka w podmiotach leczniczych”, „Wytyczne do standardów ochrony dzieci – sport”, „Wytyczne do standardów ochrony dzieci dla organizatorów wypoczynku”, „Wytyczne do standardów ochrony dzieci – dzieci cudzoziemcy”, „Wytyczne do standardów ochrony dzieci – instytucjonalna forma pieczy zastępczej”, „Wytyczne do standardów ochrony dzieci – nauka zawodu i staże uczniowskie”.

Jeśli zaś chodzi o konieczność przedstawiania zaświadczenia o niekaralności nawet przez rodziców towarzyszących dzieciom w wycieczkach, zdaniem praktyków jest to tworzenie wzajemnej podejrzliwości, budowanie w dzieciach poczucia zagrożenia ze strony wszystkich dorosłych. – Na starcie podważa się zaufanie do placówek edukacyjnych, które z założenia powinny być bezpiecznymi miejscami. Podważa się zaufanie do nauczycieli i rodziców. To jest toksyczne i rodzi fatalne konsekwencje na poziomie emocji oraz kształtowania poczucia bezpieczeństwa dziecka – uważa Hanna Dobrowolska. Jednocześnie nauczycielka zwraca uwagę na lukę polegającą na tym, że goście zaproszeni do szkoły na pogadanki czy zajęcia, przy których jest obecny wychowawca, już nie muszą mieć takiego zaświadczenia.

NIE DOTYKAJ!

Najwięcej kontrowersji budzą relacje pedagogów z podopiecznymi. W „ustawie Kamilka” nie ma jasno określonych

form kontaktu nauczyciel–uczeń. To zadanie należy do szkół. Część z nich nie pozwala na kontakt poprzez media społecznościowe. Część zakazuje jakiegokolwiek kontaktu fizycznego. Na stronie szkoły podstawowej w Doruchowie czytamy np.: „Pracownikowi szkoły nie wolno dotykać dziecka w sposób, który może być uznany za nieprzystoity lub niestosowny. Pracownikowi szkoły nie wolno angażować się w takie aktywności, jak laskotanie, udawane walki z dziećmi czy brutalne zabawy fizyczne”.

– Tu mamy błąd w założeniu. Nie chodzi mi o to, by nie ścigać przestępców krzywdzących dzieci. Czym innym jest jednak przestępstwo, a czym innym sugerowanie, że każde spojrzenie czy dotyk mogą być krzywdzące. Docho- dzimy do takiego absurdu, że ktoś może uznać, że muśnięcie dziecka przy mijaniu go już zrobiło mu krzywdę. Trudno się więc dziwić, że nauczyciele czują się zagrożeni – mówi Hanna Dobrowolska.

„Z jednej strony nauczyciel nie powinien mieć cielesnego kontaktu z uczniem, z drugiej idę korytarzem i maluchy z pierwszych klas podbiegają do mnie, żeby się przytulić. Mam im powiedzieć: »Stop, nie wolno?«. Przecież one tego nie rozumieją i poczuć się odrzucone. Nauczyciele już są w szkole sparaliżowani. Pilnują się na każdym kroku. Zastanawiają się nad każdym ruchem, nad tym co mówią, jak mówią. Boję się, że nowe przepisy utrudnią życie poczciwym ludziom, a tych ze złymi skłonnościami nie zatrzymają. Standardy kontaktu z uczniem powinny być wspólne dla wszystkich szkół, opracowane z przyjaźnią i wrażliwością, a zająć tym powinno się ministerstwo edukacji” – mówiła krakowskiej „GW” Jolanta Gałęcka, dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 2 w Krakowie.

– Zastanawiające jest to, że tak samo traktuje się dzieci w różnym wieku. Trudno mi sobie wyobrazić, że pani, która uczy dzieci 7-, 8-lletnie i przy-

dzie do niej smutny, zapłakany maluch nie przytuli go, nie weźmie na kolana, nie wytrze nosa, bo zakazują tego zapisy prawa. Takie dzieci potrzebują bliskości i kontaktu. To jest po prostu nieludzkie i odczłowieczające – komentuje Agnieszka Pawlik-Regulska, nauczycielka języka polskiego, prezes Stowarzyszenia „Nauczyciele dla wolności”. – Wszyscy nauczyciele, rodzice, osoby pracujące z dziećmi zostali uznani za potencjalnych krzywdzicieli dzieci. Doszły kolejne procedury, które wcale nie ułatwiają wychowania młodzieży i dzieci, wręcz utrudniają kontakt zyczliwy, normalny. Większość nauczycieli wykonuje zawód z powołania, lubią to co robią. I pewne rzeczy są dla nich oczywiste, jak np. to, że ucznia nie można uderzyć czy popchnąć, krzyk jest niewskazany – dodaje Pawlik-Regulska.

„Tworzy się przepisy, które nas obrażają i paraliżują, by zapobiec promilowi nieszczęść, które się zdarzają. To zawsze jest tragedia, ale zła nie powstrzymasz żadnymi paragrafami. A to, co ma pomóc, może zaszkodzić. Bo widząc posiniaczonego ucznia, będę się bał dociekać, co mu się stało, by nie przekraczać jego granic komfortu. Nie mówiąc już o prośbie, by podciągnął rękaw i podniósł rękę, bym sprawdził, czy nie ma więcej siniaków” – mówił „GW” nauczyciel z krakowskiego LO.

– Nauczyciel cieszy się autorytetem, bo jest szanowany, a nie dlatego, że ktoś się go boi. To ważna osoba w życiu młodego człowieka, a przez te wszystkie procedury, których przeczytanie jest już problematyczne, tę relację się utrudnia. Pojawia się po stronie nauczycieli lęk, niepewność, brak poczucia bezpieczeństwa i frustracja wynikająca z tego, że znów nam nie zaufali. Najpierw nie zaufali w sprawie prac domowych, zabrali możliwość zadawania ich, podważając nasze kompetencje. A teraz, wprowadzając te wszystkie procedury, mówią: „jesteście dla dzieci niebezpieczni”. Wszystko postawiono na głowie – twierdzi Pawlik-Regulska

– Przepisy ograniczają nas aż tak, że dochodzimy do ścian w wykonywaniu prostych czynności, które nigdy nie były problematyczne. Wkroczenie państwa z całą procedurą, która ma

zastąpić ludzkie relacje, jest przerażające. Zakwestionowano normalność, wzajemną empatię, okazywanie uczuć, ludzkie gesty i postanowiono je zastąpić zapisami prawa – nie kryje oburzenia Dobrowolska.

TYLKO PRZY OTWARTYCH DRZWIACH

Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę zaproponowała, by wśród standardów ochrony małoletnich znalazło się m.in. zalecenie prowadzenia rozmów z dzieckiem wyłącznie przy otwartych drzwiach. Część szkół wprowadziło takie wytyczne, a to znów rodzi wątpliwości wśród praktyków.

– W tym kontekście już rozważana jest kwestia tego, jak przygotować dziecko do olimpiady przedmiotowej w szkole średniej. Do tej pory polegało ono na wielogodzinnych sesjach i rozmowach w wyciszonych pomieszczeniach, pozwalających się skupić. Teraz drzwi muszą być otwarte, a jeśli ktoś zobaczy zamknięte drzwi, ma prawo zajrzeć i sprawdzić, co się dzieje w środku. Podobnie jest z zajęciami wyrównawczymi, z logopedą. Muszą się odbywać przy świadkach lub drzwiach otwartych, co może skutkować tym, że dzieci zablokują się podwójnie. Trudno mi nawet sobie wyobrazić zajęcia dzieci z dysfunkcjami z pedagogami specjalnymi. Wszystko będzie odarte z intymności, która często była jedynym sposobem na odblokowanie dziecka. W poczuciu zaufania i bez świadków – tłumaczy Hanna Dobrowolska.

– Bardzo trudne jest to, że teraz nie będzie można porozmawiać z dzieckiem na osobności, bo drzwi muszą być otwarte. W pandemii podczas zdalnego nauczania dzieci często pisały, że brakuje im rozmowy z życzliwą osobą. To pokazywało, jak ważną funkcję dla emocji spełnia szkoła i nauczyciel. A dzieci często przychodzą porozmawiać, podzielić się tym, co dla nich ważne, pokazując swoje rysunki czy utwory. To jest naturalna relacja uczeń–nauczyciel – mówi Pawlik-Regulska. Jej zdaniem nowe procedury nie pomagają w budo-

waniu autorytetu nauczycieli ani atmosfery przyjaznej uczniom i nauczycielom. – W preambule ustawy oświatowej zapisano, że „kształcenie i wychowanie służy rozwijaniu u młodzieży poczucia odpowiedzialności, miłości ojczyzny oraz poszanowania dla polskiego dziedzictwa kulturowego przy jednoczesnym otwarciu się na wartości kultur Europy i świata. Szkoła winna zapewnić każdemu uczniowi warunki niezbędne do jego rozwoju, przygotować go do wypełniania obowiązków rodzinnych i obywatelskich w oparciu o zasady solidarności, demokracji, tolerancji, sprawiedliwości i wolności”. Szkoła

Dochodzimy do takiego absurdu, że ktoś może uznać, że muśnięcie dziecka przy mijaniu go już zrobiło mu krzywdę. Trudno się więc dziwić, że nauczyciele czują się zagrożeni – mówi polonistka Hanna Dobrowolska

ma po prostu wspierać w dojrzewaniu, mamy im pomagać stawać się lepszymi ludźmi? Czy te procedury w tym pomogą? – pyta nauczycielka.

KWIATY I CZEKOLADKI

Przy okazji Dnia Nauczyciela pojawiły się w mediach wątpliwości, czy nauczyciele będą mogli przyjmować kwiaty i czekoladki. Wszystko dlatego, że Zespół ds. Ochrony Małoletnich w Ministerstwie Sprawiedliwości zaproponował zasadę: „Nie wolno przyjmować pieniędzy ani prezentów od dziecka ani opiekunów dziecka, nie wolno wchodzić w relacje jakiegokolwiek zależności wobec dziecka lub opiekunów dziecka, które mogłyby prowadzić do oskarżeń o nierówne traktowanie bądź czerpanie korzyści majątkowych i innych”.

Z kolei w wytycznych dla przedszkoli resort wskazał, że „pracownikowi placówki nie wolno: przyjmować pieniędzy, prezentów od dziecka, rodzica, rodzica zastępczego, opiekuna prawnego dziecka”. Jednak ministerstwo tłumaczyło, że zakaz ten nie ma zastosowania w przypadku kwiatów wręczanych z okazji świąt bądź innych uroczystości obchodzonych w placówce, a rzecznik prasowa resortu Karolina Wasilewska tłumaczyła, że Zespół ds. Ochrony Małoletnich przedstawił „pewne wskazówki, kierując się przede wszystkim etyką, ale to wyłącznie propozycja, którą można uwzględnić albo nie”. Do-

dała, że wytyczne należy traktować jak sugestie, którymi można się kierować przy wprowadzaniu standardów, a każda instytucja, np. szkoła, musi dostosować je do swoich zadań i środowiska, w którym funkcjonuje.

Według Wasilewskiej standardy dotyczące kupowania prezentów powinny być w szkole ustalone, bo trudno wyobrazić sobie sytuację, w której dziecko daje nauczycielowi pieniądze i uznaje się, że jest to w porządku. „Myślę, że dla wszystkich jest oczywiste, że przyjmowanie pieniędzy czy indywidualnych prezentów, szczególnie drogich, od dzieci lub ich opiekunów jest i zawsze było nadużyciem zasad” – tłumaczyła pani rzecznik. Jej zdaniem inną sprawą jest wręczanie prezentów nauczycielom od całej klasy, np. z okazji Dnia Nauczyciela czy zakończenia roku szkolnego.

Czy morze wytycznych i standardów pomoże uchronić dzieci przed przeemocą? – Czy tam, gdzie panuje znieczulica, zobojętnienie, brak empatii ma zadziałać prawo? Czy pracownik opieki społecznej, który do tej pory nie chciał skutecznie ratować dziecka mimo alarmujących zgłoszeń od sąsiadów, teraz zmieni zdanie? Jeśli dla niego praca będzie tylko pracą, a nie misją, to czego można się spodziewać? – pyta Elżbieta Lachman, redaktor naczelna portalu PolskieForumRodzicow.pl

Na razie wygląda na to, że ustawa, która miała pomóc krzywdzonym dzieciom może skrzywdzić wszystkich: dzieci, rodziców i nauczycieli. 



MACIEJ WALASZCZYK

Lewicowy dom kultury

W centrum Warszawy otwiera się Muzeum Sztuki Nowoczesnej. W założeniach wielka świątynia sztuki, która niestety nie tylko swym wyglądem przypomina sowiecki dom postępowej kultury, wpadł w ręce lewicy i ma wyrażać jej jedynie słuszne poglądy

Sztuka nowoczesna wraz jej nieodłącznymi interpretatorami, kuratorami oraz teoretykami nie istnieje bez muzeów zasilanych z państwowej kasy. Dziwacznie wyglądające przedmioty, obliczone na szok występy i instalacje, wobec których większość ludzi przechodzi obojętnie, funkcjonują dzięki takim instytucjom jak ta, która powstała w centrum stolicy.

– Bryła tego budynku to taka gigantyczna, modernistyczna kostka – zauważa Piotr Bernatowicz, krytyk sztuki i do niedawna dyrektor Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie. – Na Kresach dawnej Rzeczypospolitej, np. w białoruskich miasteczkach, można jeszcze spotkać wśród resztek dawnej architektury takie proste, modernistyczne kostki – dawne sowieckie domy kultury, ośrodki postępu. Myślę, że tu mamy do czynienia z rodzajem takiego postępowego domu kultury 2.0 – komentuje.

Budowla rzeczywiście jest monstrualna, w całości betonowa, a do tego po sąsiedzku i symbolicznie wręcz dzieląca przestrzeń ze stalinowskim Pałacem Kultury i Nauki i przeszklonymi biurami. W środku i na zewnątrz pokryta elewacjami z barwionego na biało betonu architektonicznego, który dodatkowo zabezpieczono specjalnym impregnatem przed szarzeniem i zabrudzeniami miejskim powietrzem. Wchodzących do środka zwiędających wita przestronna klatka schodowa prowadząca na przestrzeń liczącą blisko 20 tys. m², z czego na pierwszym i drugim piętrze ponad 4 tys. m² przeznaczone

czono docelowo na wystawy. W muzeum znajdują się również pracownie konserwacji dzieł, sale edukacyjne, podziemna sala kinowa dla 150 osób, audytorium, kawiarnie i księgarnia.

FEMINIZMEM PO OCZACH

Otwarcie Muzeum Sztuki Nowoczesnej zaplanowano na piątek 25 października, ale towarzyszące mu imprezy będą się odbywały jeszcze przez dwa tygodnie. Wszystko rozpocznie parada „Delegacji Śliskich Spraw” zorganizowana m.in. przez holenderskiego performerę ukrywającego się pod pseudonimem Bambi van Balen. Zanim stał się artystą, był „aktywistą” klimatycznym. Teraz najczęściej ustawia różnego rodzaju dmuchańce, którym nadaje symboliczne znaczenie. Są na to nawet fachowe określenia: „występy partycypacyjne”, „interwencje przestrzenne w kontek-

ście środowiskowym, antyfaszystowskim, queerowym”, powiązane z magią i „szamanizmem technicznym”. Już na starcie muzeum zostaje wprzęgnięte do lewicowego rydwanu.

Już przed otwarciem placówki dyrektorka Joanna Mytkowska wyjaśniała, że zależy jej, by „symbolicznie nawiązać do kwestii parytetu, czyli dostępu kobiet do widzialności w sztuce”. Nie wiadomo, czy chodzi o „parytet”, czy absolutną dominację feministek artystek, bo na początek będą pokazane wyłącznie prace kobiet. Chodzi o dziesięć rzeźb, m.in. Magdaleny Abakanowicz, Aliny Szapocznikow, Sandry Mujingi, Moniki Sosnowskiej, Cecili Vicuña, Zhanny Kadyrowej czy Marieli Scafati. O ile znana jest Abakanowicz, to warto przybliżyć inne panie. Szapocznikow to nieżyjąca już rzeźbiarka żydowskiego pochodzenia, uznawana za prekursorkę „sztuki feministycznej”, tworząca groteskowe odlewy ust, piersi czy pośladków. Sosnowska to

tw. rzeźbiarka przestrzeni, nawiązująca do estetyki blokowisk z czasów PRL, a więc utrwalająca to, o czym wielu chciałoby już dawno zapomnieć. Obok niej zaprezentowana będzie rzeźba urodzonej w Kongo feministki Sandry Mujingi reprezentującej nurt „afrofuturizmu”. Mariela Scafati to znów reprezentantka „interseksyjnego feminizmu”. Natomiast Cecilia Vicuña dała się poznać z opiewania śmieci komunistycznego przywódcy Chile Salvadora Allende. Całość została więc zdominowana przez jedną narrację. Tymczasem świat sztuki współczesnej jest bardzo różnorodny.

– Mamy bardzo szeroki nurt tendencji odwołujących się do tradycji – podkreśla Piotr Bernatowicz, który przypomniał, że w Zamku Ujazdowskim prezentował np. obrazy Odda Nerduma, norweskiego malarza odbudowującego łączność ze starymi mistrzami.



– Także w sztuce awangardowej istnieje wielu artystów wręcz kontestujących ten lewicowy format ideologiczny, ale główne, publiczne centra sztuki współczesnej przejęte przez radykalną lewicę wykluczają te zjawiska – wyjaśnia. Dzieje się tak, bo funkcji dyrektorów dużych państwowych instytucji często nie sprawują historycy sztuki czy krytycy, ale socjologowie czy absolwenci gender studies, bardziej zainteresowani zmianą społeczną niż sztuką. – Ta ideologizacja idzie od góry, a dysponując dużymi środkami, lewica buduje w ten sposób duży prestiż. Więc ci, którzy nie mieszczą się w tym nurcie, są brutalnie spychani na margines – dodaje Bernatowicz.

AWANGARDA I CZARNY RASIZM

W ramach inauguracji działalności muzeum w Warszawie zagra koncert Kim Gordon, basistka Sonic Youth, legendy nowojorskiego undergroundu artystycznego, produkującej jazgotliwy gitarowy zgiełk. Jędrzej Kodymowski, lider trójmiejskiej Apteki, z całą

pewnością będącej najwybitniejszym przedstawicielem polskiej awangardy rockowej, przyznaje, że Kim Gordon reprezentuje autentycznie ciekawe zjawisko, jakie w latach 80. XX w. zaistniało na amerykańskiej scenie niezależnej.

– Sonic Youth to była rzecz absolutnie awangardowa. Tej sztuki jednak nie krępowała bardzo zakaźna ideologia, która dziś się do niej wkradła – wyjaśnia muzyk, przyznając, że także w Polsce duża część tej sceny jest nastawiona bardzo oportunistycznie. – Kim Gordon na pewno nie rozumie polskiej specyfiki, gdzie kontrkultura była sprzeciwem wobec komunizmu. W USA perspektywa tego buntu była inna, ale też raczej pluralistyczna. Wyrażał się on w ramach nieformalnego ruchu artystycznego, który został opisany jeszcze przez Witkacego jako sztuka totalna, rozkładająca się na wszystko: zarówno na malarstwo, rzeźbę, teatr, słowo pisane, muzykę, jak i sposób bycia, ubierania się i tworzenie nowych kierunków – przekonuje.

Gordon to dziś 70-latką pozującą na lewicową intelektualistkę i jedną z ikon feminizmu. Jej propagatorem przez lata

był krytyk Greil Marcus, który już jako student zrewoltowanego uniwersytetu Berkeley w latach 60. uległ fascynacji rodzącym się tam lewicowym radykalizmem. Jak mówił, polegał on na przekonaniu, że przyszłość jest do zdobycia tylko wtedy, gdy przeszłość zostanie porzucona i zdruzgotana, a zgodnie z teorią Marksa rzeczy nie muszą być takimi, jakie są.

Na otwarcie nowej placówki przewidziano również występ duetu 700 Bliss łączącego elektronicznie generowany hałas z rapowymi bitami i wieszczącego rychłe zwycięstwo matriarchatu nad patriachatem czy wsparcie dla Palestyńczyków. Tworzy go m.in. Camae Ayewa, lewacka aktywistka reprezentująca „afrofuturyzm” – kierunek rojący o podróżujących w czasie czarnych mieszkańców Ziemi, którzy gdzieś w kosmosie stworzyli cywilizację, do której uciekną przed uciskiem białych. – Pewnie to ideologia tak samo kłamliwa jak wszystkie inne obietnice wyzwolenia spod ucisku, które już zdążyliśmy poznać. Jednak dziw bierze, że w stolicy, mieście bohaterze, ośrodku z artystycznymi tradycjami i mając w pa-



lecie tak ponadczasowych artystów, jak Witkacy, Szukalski czy Norwid, sięga się po „afrofuturyzm”, będący rodzajem jakiegoś czarnego rasizmu – zauważa lider Apteki.

REEDUKACJA SPOŁECZENSTWA

O konieczności budowy Muzeum Sztuki Nowoczesnej mówiło się w Polsce już po wojnie. To, że w ogóle wzięto się za jego organizację, faktycznie zawdzięczamy rządowi prawicy. Już w 2007 r. ówczesny minister kultury Kazimierz Ujazdowski mianował Joannę Mytkowską dyrektorką projektu. Podkreślano, że jest skuteczna w promowaniu polskiej sztuki za granicą, miała doświadczenie, pracując jako kurator w paryskim Centre Pompidou. Chwalili ją zarówno Anda Rottenberg, „Gazeta Wyborcza”, jak i ówczesny wiceminister kultury Tomasz Merta. Ona sama komplementowała Lecha Kaczyńskiego jako państwowca przekonanego o tym, że również sztuka współczesna jest czynnikiem państwowotwórczym. To było jednak kilkanaście lat temu,

bo teraz ubolewa nad tym, że „narracja patriotyczno-narodowa” wyparła kulturę współczesną, oczekując od rządu Donalda Tuska określenia nowej polityki kulturalnej. Być może takiej, jaką zaproponowała w MSN.

– Nie możemy odcinać się od swoich korzeni, zapominać, kim jesteśmy, bo wtedy tracimy stabilizację, przewraca nas każdy wiatr i wywiewa na peryferie – oponuje Kodymowski.

Ale Mytkowska akurat dobrze wie, do czego służą tego rodzaju instytucje. Jeśli bowiem, jak twierdziła, „wydarzyło się coś takiego, jak państwo PiS”, to zaangażowana społecznie twórczość ma

Pod rządami Joanny Mytkowskiej Muzeum Sztuki Nowoczesnej pełni funkcję instytucji bardzo konsekwentnie używającej sztuki do reedukacji społeczeństwa przez pryzmat lewicowych idei rodem z postępowych salonów europejskich – mówi Piotr Bernatowicz

wyrażać poczucie zagrożenia i obaw. Cztery lata temu w czasie proaborcyjnych protestów przeciw wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego ktoś rzucił hasło, by w powstającym muzeum zgromadzić zapełnione błyskawicami i wulgarnymi hasłami transparenty. Mytkowska przyznawała, że to będzie odpowiedni sposób do zarchiwizowania historii protestów. Wystawy, które organizowała w dotychczasowej siedzibie MSN przy ul. Pańskiej, zdominował faktycznie jednostronny przekaz. Piotr Bernatowicz zwraca uwagę, że właśnie pod jej rządami Muzeum Sztuki Nowoczesnej pełni funkcję instytucji bardzo konsekwentnie używającej

sztuki do reedukacji społeczeństwa przez pryzmat lewicowych idei rodem z postępowych salonów europejskich.

– W ostatnich latach te tendencje jeszcze przyspieszyły, nabierając szczególnie na Zachodzie bardzo wyrazistego charakteru, przeobrażając się w ruch woke. Muzeum jest więc ekspozyturą tych tendencji, a dla środowisk radykalnie lewicowych narzędziem budowania prestiżu i wpływania na społeczeństwo – podkreśla.

Gdy rząd PiS podjął decyzję o oddaniu muzeum rządzonemu przez Trzaskowskiego miastu, środowisko to odebrało ją jako swój sukces, zdobywając pewno-

ność, że będzie sprawowało nad nim wyłączną kontrolę. Obecnie, po przejęciu Zamku Ujazdowskiego i Zachęty, władza ono niemal wszystkimi tego rodzaju instytucjami w kraju. Jak zauważa Piotr Bernatowicz, w ten sposób powstaje monopol budowany na utwierdzeniu społeczeństwa w przekonaniu, że sztuka idzie wyłącznie w jedną stronę i wrażenia, że jest ona jedynym wyrazem naszych czasów. – Ten monopol opiera się na tego rodzaju jednolitości. Moją ideą było otwieranie się na wiele nurtów i pluralizm – podkreśla.

Jak wiemy, po tym, gdy awangarda zdecydowała się na zerwanie z tradycją, wywołana tym rewolucja w sztuce poprzedziła

wszystkie krwawe rewolucje. Aleksander Solżenicyn powiedział na początku lat 90. XX w., że gdyby kosmici przypadkiem odebrali audycję jakiejś ziemskiej stacji radiowej, to nigdy by nie uwierzyli, że na Ziemi żyli niegdyś Bach, Beethoven czy Schubert. Zdaniem Jędrzeja Kodymowskiego sztuka współczesna została zamieniona wyłącznie w prowokację i nie niesie już z sobą żadnego twórczego przesłania. – Żeby w ogóle coś przelamywać, muszą istnieć jeszcze jakieś trwałe zasady. Teraz sztuka ma tylko szokować, ale po przekroczeniu granicy dobrego smaku wchodzi do świata kiczu, który ze sztuką nie ma nic wspólnego – zauważa.

Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski hurtowo odwołał ambasadorów powołanych za poprzednich rządów PiS. Bez zgody prezydenta Andrzeja Dudy. Dla wielu obywateli to zapewne kolejny przejaw walki politycznej. Niejeden pewnie myśli, że gdy rząd się zmienia, mianuje się nowych ambasadorów. Po co cały ten krzyk?

Jarosław Guzy: W przestrzeni publicznej jest sporo zamieszania, jeśli chodzi o podstawę prawną funkcjonowania ambasadorów, procedurę ich odwołania, a także powierzania kierownictwa zagranicznych placówek osobom, które nie są ambasadorami. Minister spraw zagranicznych z inspiracji premiera łamie zapisy konstytucji oraz ustaw, które go obowiązują. Nie ma on prawa odwołać ambasadorów. Choć formalnie tego nie zrobił, to faktycznie jednak tak, co także stanowi łamanie prawa. Mamy do czynienia z czymś, co w szerszej skali dotyczy dziś wielu dziedzin życia: prawo w gruncie rzeczy nie istnieje, jest podporządkowane politycznej woli. Woli władzy realizowanej zresztą w bardzo arogancki sposób. Wojna z prezydentem i chęć zdyskredytowania go odgrywa tu oczywiście istotną rolę.

Prezydent ma nie przeszkadzać w realizacji woli politycznej premiera i koalicji 13 grudnia?

Dokładnie. Zapisy prawne są jasne. Zarówno powołanie, jak i odwołanie ambasadorów to konstytucyjna prerogatywa prezydenta. Przy czym samo powołanie ambasadorów jest opatrzone specjalną procedurą, na którą powoływał się niedawno minister Sikorski, całkowicie wypaczając jej sens. Chodzi o to, że zanim kandydatura ambasadora zostanie upubliczniona i poddana pod głosowanie komisji spraw zagranicznych Sejmu, odbywa się niejawną część – uzgadnianie kandydatury pomiędzy wszystkimi stronami zainteresowanymi funkcjonowaniem polskiego przedstawiciela za granicą na tzw. konwencie służby zagranicznej. W jego skład wchodzi dwóch przedstawicieli ministra, jeden premiera i jeden prezydenta. Niedawno minister Sikorski stwier-

Mętna woda

Wojna, którą toczę z MSZ, jest starciem o zasady. Nie o stołek, nie o apanaże. Demokracja składa się z procedur. Jeśli ktoś ich nie przestrzega, to niszczy demokrację – mówi ambasador RP w Kijowie **Jarosław Guzy**, wezwany przez szefa dyplomacji Radosława Sikorskiego do Warszawy, w rozmowie z Aleksandrą Rybińską

dził, że na konwencie uzgodniono już wiele nowych kandydatur ambasadorów, a prezydent, któremu się one nie podobały, po prostu został przegłosowany i tyle. To kompletna bzdura. Na konwencie niczego się nie głosuje. Konwent służy właśnie do dyskretnego uzgadniania kandydatury, tak by po ujawnieniu, nie wywoływała ona kontrowersji. Funkcja ambasadora różni się od funkcji innych członków służby zagranicznej tym, że na ambasadora musi wydać zgodę nie tylko

prezydent, który podejmuje ostateczną decyzję, lecz także minister, który wnioskuje o daną nominację, oraz premier, który akceptuje, czyli kontrasygnuje decyzję prezydenta. Tak było również w przypadku mojej nominacji. Był to poprzedni premier i poprzedni minister, ale ta nominacja przeszła właśnie taką drogę. I żeby prezydent mnie odwołał, potrzebna jest jego decyzja, no i także procedura. Demokracja w ogóle składa się z procedur. Jeśli ktoś ich nie przestrzega,



niszczy demokrację. Łamie zapisy prawne. I właśnie z tym mamy do czynienia w przypadku ambasadorów.

Jestem pewna, że pan minister Sikorski zna przepisy.

Oczywiście. Po prostu robi, co chce, nie bacząc na obowiązujące prawo. Obywatele często nie zdają sobie sprawy, że mają więcej wolności niż premier, minister czy prezydent, bo mogą robić wszystko, co nie jest prawnie zakazane. Natomiast funk-

cjonariusz państwowy może działać wyłącznie w ramach kompetencji przyznanych mu ustawowo. Nie wolno mu wychodzić poza to. Jeżeli więc minister robi coś, co nie jest zapisane w ustawie, łamie prawo. Cała ta akcja to przede wszystkim mącenie w głowach obywateli, by nie zdawali sobie sprawy z tego, co się dzieje. W mętnej wodzie można łowić rozmaite ryby, a sprawa ambasadorów jest tylko wyćinkiem większej całości, jeśli chodzi o problemy z przestrzeganiem prawa,

czyli *de facto* przestrzeganiem zasad demokracji, do których jestem osobiście przywiązany. Wojna, którą toczę z MSZ, jest więc starciem o zasady. Nie o stólek, nie o apanaże. O tym powinno się pamiętać, bo tak próbuje to przedstawić druga strona. Jak wiadomo, obecna władza nie pobiera żadnych apanaży w przeciwieństwie do poprzedniej. Minister Sikorski chwali się swoimi paskami wypłaty, skromnymi jak na funkcję, chociaż w rzeczywistości jest jednym z najbogatszych polityków w Polsce.

Czyżby zarzucał pan ministrowi populizm?

Jest to populizm bazujący na ludzkiej niewiedzy. Tak jak cała ta akcja z odwołaniem ambasadorów. Jej szkodliwość z punktu widzenia naszych relacji międzynarodowych jest oczywista.

W jaki sposób został pan odwołany? Były wcześniej jakieś sygnały?

Pierwsze pismo otrzymałem w marcu, zaraz po wizycie premiera Donalda Tuska i prezydenta Andrzeja Dudy w Białym Domu. Prezydent Biden zaprosił obu polityków i można się tylko domyślać, co tam zostało powiedziane. Jak sądzę z punktu widzenia amerykańskiego na tle sytuacji w regionie, szczególnie wojny na Ukrainie, Biden zapewne przekazał panom, że polityczna wojna domowa w Polsce nie jest potrzebna USA ani zachodniemu sojusznikowi. A zaraz po tym na stopniach Białego Domu Donald Tusk wypowiedział prezydentowi wojnę w sprawie ambasadorów. To jest tylko wycinek, bardziej symboliczny. Ambasador nie ma własnej podmiotowości, nie prowadzi własnej polityki zagranicznej, tylko realizuje politykę państwa polskiego. Minister i premier powołują się na to, że to Rada Ministrów prowadzi politykę zagraniczną, tyle że współdziałając z prezydentem, co zakłada współpracę, a nie konflikt ani dominację jednej strony. Ambasador realizuje jakąś część tej polityki zagranicznej. Oczywiście w chwili nominacji i przygotowań do wyjazdu do Kijowa [październik 2023 r. – przyp. red.] zdawałem sobie sprawę, że zmiana

ządu jest wysoce prawdopodobna. Przyjąłem założenie, że jeśli w którymś momencie okaże się, iż polityka zagraniczna nowego gabinetu będzie dla mnie nie do zaakceptowania, sam podam się do dymisji. Nie mógłbym realizować polityki, którą oceniałbym negatywnie. Latem ub.r. na komisji zagranicznej Sejmu, gdy głosowano nad moją kandydaturą, wydawało się jeszcze, że istnieje ponadpartyjny konsensus w sprawie polityki wobec Ukrainy.

To co się z nim stało, skoro premier Donald Tusk zdecydował się odwołać wszystkich najważniejszych ambasadorów, w tym naszego przedstawiciela przy NATO, zaledwie chwilę przed kluczowym szczytem?

Wyparował. Głosowanie w mojej sprawie na komisji było jednoznaczne. Oddano tylko jeden głos sprzeciwu, posła Konfederacji. W posiedzeniu komisji wzięli udział m.in. Paweł Kowal czy obecny wiceminister w MSZ Władysław Bartoszewski. Były tam też inne osoby, które odgrywają kluczową rolę w kształtowaniu polityki rządu Donalda Tuska. Wszyscy głosowali za moją kandydaturą. Mało tego, podczas całego mojego urzędowania w Kijowie nie usłyszałem ani jednej krytycznej opinii na mój temat. Miałem okazję nie tylko przyjąć tam ministra Sikorskiego, lecz także marszałka Sejmu Szymona Hołownię, panią marszałek Senatu Małgorzatę Kidawę-Błońską, delegacje parlamentarzystów z grupy ukraińskiej, wielu ministrów. Robiłem to, co należało. Oczywiście nie będę się wypowiadał o samej polityce zagranicznej, bo rolą ambasadora nie jest ani chwalenie, ani krytykowanie, tylko realizacja polityki zagranicznej państwa. W tej szczególnej ambasadzie, nieco odizolowanej, w kraju zagrożonym w wojnie, realizowaliśmy razem z personelem nasze zadania najlepiej, jak potrafiliśmy. Podkreślałem jeszcze raz – nie wiem, co zostanie wymyślone *ex post*, ale wówczas nie było żadnych zastrzeżeń do naszej pracy.

A jednak nagle okazało się, że nie spełnia pan już wymagań.

Tak. Najpierw zostałem poinformowany, że minister planuje zakończenie mojej misji w tym roku. Misji, którą powierzył mi prezydent. Objąłem placówkę w Kijowie, jakże symbolicznie, 13 grudnia. Od tego momentu zaczął się mój stosunek pracy jako ambasadora. Więc najpierw była ogólna zapowiedź – w marcu. Potem otrzymałem informację, że minister wystąpił z wnioskiem o moje odwołanie do prezydenta. Gdy dowiedziałem się, że szykowany

Minister ma prawo ściągnąć mnie do Warszawy, ale nie może pozbawić prawa wykonywania funkcji, bo to nie leży w jego kompetencjach. Pozostaję ambasadorem i mam swoje obowiązki

jest mój następca, udałem się na konsultację do Kancelarii Prezydenta, żeby dowiedzieć się u źródła, czy prezydent ma jakieś plany względem mnie. To było na przełomie maja i czerwca. Okazało się, że nie ma. W tym momencie zaczęło się fizyczne usuwanie mnie z Kijowa. Formalnie nie dało się mnie odwołać, można było mnie tylko wezwać do Warszawy. Kazać mi przebywać tu przez jakiś czas. To już raz miało miejsce, bo w momencie, gdy premier Donald Tusk gościł w Kijowie, ja akurat na prośbę ministerstwa byłem w delegacji w Warszawie. Ale tym razem zaczął się ten cały cyrk, czyli podwójna rzeczywistość. Ja pozostałem w przeświadczeniu, że jestem ambasadorem, a ministerstwo zaczęło żyć w przeświadczeniu, że to, iż jestem ambasadorem, nie ma żadnego znaczenia, bo jestem po prostu pracownikiem MSZ, któremu minister wydaje polecenia. Przez cały czerwiec robiono wszystko, by usunąć mnie z Kijowa. Odmówi-

łem przekazania placówki, bo zgodnie z ustawą zarządza nią ambasador, a ja nie planowałem rezygnacji. 1 lipca zacząłem urlop. Wtedy przestano płacić za apartament w hotelu, w którym mieszkalem w Kijowie, zresztą bardzo skromny. Byłem sąsiadem ambasadorów Słowacji i Czech. Polecono mi natychmiast zwolnić apartament, miałem się spakować w ciągu kilku godzin. Musiałem więc zapłacić za pobyt z własnej kieszeni. Zaraz potem zrobiono wszystko, by uniemożliwić mi dalsze funkcjonowanie w Kijowie. Karta do ukraińskiego banku została nagle unieważniona. Przestała działać także karta dostępu do ambasady, mogłem tam wejść tylko jako *pe-tent*. Przestałem dostawać e-maile skierowane do ambasady, skonfiskowano moją korespondencję, także adresowaną bezpośrednio do mnie. Pracownikom zakazano rozmów ze mną na tematy służbowe, dotyczące realizacji zadań polskiej polityki zagranicznej. W trakcie urlopu przyjechałem po swoje rzeczy, także z gabinetu, który zaplombowałem na czas nieobecności. Wywołało to wielkie oburzenie. Poinformowano mnie, że będą go otwierać komisyjnie. Było to żalosne i groteskowe. Ostatecznie się na to nie zdecydowali.

Brzmi to trochę jak scenariusz po puczu w jakiejś republice bananowej.

Tym bardziej że to się odbywało na oczach strony ukraińskiej. Staralem się zresztą przekonać centralę, że nie powinniśmy włączać Ukraińców do naszych wewnętrznych procedur, które nie bez powodu są poufne. Występowanie o *agrément* dla płk. Piotra Łukasiewicza, kandydata na ambasadora, który prawdopodobnie nie zostanie nim do końca kadencji prezydenta Andrzeja Dudy, w momencie gdy nie ma decyzji o odwołaniu dotychczasowego ambasadora – zwykle takie dokumenty przekazuje się łącznie – stworzyło ogromne zamieszanie. To było czytelne i widoczne nawet dla członków Ukraińskiej Gwardii Narodowej, którzy pilnują ambasady i którzy znają mnie jako ambasadora. Zresztą jeszcze przed powrotem z urlopu zdjęto mi ochronę,

która mi przysługiwała. Z dnia na dzień okazało się, że dla takiego ambasadora jak ja na Ukrainie jest już bezpiecznie. Próby poniżania mnie przed pracownikami ambasady były dla mnie przykre, ale najbardziej mnie zmartwiło w tym wszystkim skonfundowanie strony ukraińskiej. Oni mają wobec Polski, w tym nowego rządu, duże oczekiwania, ambasada bierze czynny udział w załatwianiu różnych spraw. Prezydent Andrzej Duda ma dodatkowo bardzo dobrą opinię w Kijowie, jest szanowany. Wiedzą, że mogą na nim polegać na arenie międzynarodowej. No i państwo polskie jest dla nich punktem odniesienia oraz w pewnym sensie wzorem. Ukraina chce wejść do struktur zachodu, liczy na członkostwo w UE i NATO. Jesteśmy częścią tego Zachodu. Bliskim i wiarygodnym punktem odniesienia.

Na Zachodzie nie wymienia się ambasadorów w taki sposób.

Ambasador Niemiec w Kijowie bardzo się zdziwił, bo on, jak sam powiedział, został jeszcze w spadku po wielkiej koalicji CDU/CSU i SPD. Nie został wymieniony po wyborach w 2021 r., tylko dalej pełni swoją funkcję. Po prostu realizuje niemiecką politykę zagraniczną. Ambasador reprezentuje państwo polskie, to jest coś więcej niż rząd, a już na pewno partie polityczne. Jestem mało przywiązany do zewnętrznych oznak prestiżu, ale jest różnica między ambasadorem a chargé d'affaires *ad interim* [tymczasowym – przyp. red.], którym jest płk Łukasiewicz. Jest to równoznaczne z obniżeniem rangi stosunków dyplomatycznych. Co więcej, w przypadku Ukrainy to działa na zasadzie symetrii, bo ambasador Ukrainy wyjechał z Polski. Wasyl Zwartycz jest już w Czechach, a nowego ambasadora nie ma. Gęstość naszych relacji z Ukrainą na wszelkich możliwych poziomach – od kwestii bezpieczeństwa po politykę, kwestie historyczne i gospodarkę – wymaga maksymalnie sprawnych relacji dyplomatycznych po jednej i drugiej stronie. Należy w nie wręcz inwestować, jeśli chce się utrzymać nie tylko na obecnym poziomie, lecz także rozwinąć.

A może rząd nie chce ich rozwijać? Ostatnio różni członkowie gabinetu z ministrem Sikorskim na czele uderzają w dość agresywny ton wobec Kijowa.

To jest pytanie, na które nie odpowiem, bo jestem ambasadorem. To nie jest moja rola. W swoim czasie, gdy nie było jeszcze pomysłu, by mnie odwołać, trochę żartowałem, że dla ministra Sikorskiego byłoby lepiej trzymać mnie w Kijowie, bo wtedy na pewno nie będę odpowiadał na takie pytania.

Co dalej? Będzie pan walczył w sądzie o swoje racje?

Doszło do absurdu sytuacji. Żyjemy w dwóch rzeczywistościach prawnych. Zgadza się co do jednej rzeczy, bo takie pytanie zadałem w kadrach w MSZ: jestem ambasadorem. Natomiast *de facto* ministerstwo traktuje mnie tak, jakbym przestał nim być. Nie przyjąłem do wiadomości odwołania,

Najwyraźniej ma miejsce próba wzięcia mnie głodem. Ponieważ nie wyraziłem zgody na podanie się do dymisji, przestano mi płacić

uważam, że jestem czasowo w Warszawie. Minister ma prawo ściągnąć mnie tu, ale nie może pozbawić mnie prawa wykonywania funkcji, bo to nie leży w jego kompetencjach. Pozostaję ambasadorem i mam swoje obowiązki. Deklaruję gotowość do wykonywania pracy jako ambasador, bo w żadnej innej roli nie mogę występować. Ambasador ma bardzo jasno określone zadania, czyli kierowanie polską placówką dyplomatyczną w Kijowie. To jest rzeczywistość, której minister nie może zmienić, chociaż bardzo by chciał. Oczywiście może mi to fizycznie uniemożliwić i to robi. Uważając, że jest moim przełożonym, może mnie potraktować jak mebel i przesunąć w do-

wolne miejsce albo nadużywając pojęcia „ służba zagraniczna”, uznać mnie za swojego służącego, który ma robić to, czego jaśniej pan od niego wymaga. Najpierw dowiedziałem się, że mam wrócić do Warszawy i pozostać w rezerwie kadrowej. Nie ma takiej możliwości. To oznacza bowiem odwołanie mnie, zmianę stosunku pracy. Po pierwsze, łamie to uprawnienia konstytucyjne prezydenta, po drugie, ustawę o służbie zagranicznej. Nie można mnie więc skierować do innej pracy. No i trzecia rzecz, która zresztą dotyczy każdego obywatela: jestem zatrudniony jako ambasador na podstawie powołania. Mój stosunek pracy, jak jest zapisane w ustawie o służbie zagranicznej, kończy się w chwili odwołania przez prezydenta. Pomysł, jaki MSZ ma w stosunku do mnie i którego realizacji stanowczo odmówiłem, to skierowanie mnie „z uznaniem moich kompetencji” do departamentu wschodniego MSZ. Miałbym tam pracować za minimalną płacę krajową. Moje kompetencje wyceniono na minimalną płacę. Łącznie z wszystkimi szukaniami, które mnie spotkały, jest to próba skłonienia mnie do podania się do dymisji. Ponieważ nie zgodziłem się na to wszystko, w ogóle przestano mi płacić. Najwyraźniej ma miejsce próba wzięcia mnie głodem. Od początku zapowiadałem, że wstąpię na drogę prawną. Złożyłem pozew do sądu. Przetestuję nasz system sprawiedliwości. Jest to jawne bezprawie realizowane w wyjątkowo aroganckim sposób. Póki co to jedyna droga, którą mogę podjąć. Żle to wszystko świadczy o rządzie, a szczególnie o ministrze Sikorskim. Tym bardziej że szukany spotkały także moją żonę [Agnieszkę Romaszewską-Guzy, była szefową Bielsatu – przyp. red.].

Liczy pan na wygraną?

Mimo wszystkich zawirowań w wymiarze sprawiedliwości, mam taką nadzieję. Nie oznaczałoby to zapewne triumfalnego powrotu do Kijowa. Na pewno nie w najbliższym czasie. Ale może oznaczać zwykłą sprawiedliwość. Postanowiłem stanąć po stronie zasad.

Kto chce zniszczyć pamięć o „Lalusiu”?

Józef Franczak, ostatni żołnierz wykłęty, poległ z bronią w ręku. Po latach niepamięci zasłużenie znalazł miejsce w panteonie polskich bohaterów. Od paru lat trwa jednak kampania mająca na celu zohydzić jego wspaniały życiorys. Zobaczmy, komu i dlaczego na tym zależy



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Sierz. Józef Franczak „Laluś” urodził się w 1918 r. w małej podlubejskiej wiosce Majdan Kozic Górnych. Nie mając środków na dalsze kształcenie, zgłosił się do Szkoły Podoficerskiej Żandarmerii w Grudziądzu, a następnie służył w Równem na Wołyniu. We wrześniu 1939 r. walczył na Kresach z Sowietami, udało mu się zbiec z niewoli i powrócić na rodzinną Lubelszczyznę.

WYBITNY KONSPIRATOR

W czasie okupacji niemieckiej był żołnierzem ZWZ i AK, dowodził drużyną, a następnie plutonem. Prowadził też zajęcia w konspiracyjnej szkole podoficerskiej. Po wkroczeniu Armii Czerwonej został wcielony do organizowanego przez komunistów „ludowego” WP. Na początku 1945 r. zdezerterował i zaczął się ukrywać. Przebywał najpierw w okolicach Łodzi, a następnie na Pomorzu. Miał zamiar przedostać się statkiem przez Bornholm na Zachód, jednak ostatecznie z tego zrezygnował.

Rozpoznany powrócił w rodzinne strony, ale tutaj już w czerwcu 1946 r. wpadł w obławę grupy operacyjnej wojewódzkiego UB w Lublinie. Podczas transportu uciekł wraz z dziewięcioma innymi aresztantami, zabijając m.in. trzech funkcjonariuszy bezpieki. Na krótko dołączył do jednego z pododdziałów zgrupowania mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory” podlegającego Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. Na początku 1947 r. zgłosił się do oddziału kpt. Zdzisława Brońskiego „Uskoka”. Po akcji ujawnieniowej z wiosny 1947 r. został dowódcą jednego z kilkusobowych pododdziałów. Józef Franczak działał głównie na pograniczu powiatów lubelskiego i krasnostawskiego.

ŚCIGANIE „REAKCYJNEGO BANDYTĘ”

W maju 1948 r. jego jednostka wpadła w zasadzkę UB. Cały wyszedł z niej jedynie „Laluś”, który od tego momentu zaczął się ukrywać w pojedynkę. Sporadycznie dołączał jeszcze do oddziału dowodzonego przez ppor. Stanisława Kuchciewicza „Wiktora”, uczestnicząc w kilku akcjach bojowych – m.in. w likwidacjach milicjantów, współpracowników bezpieki oraz w napadzie

na gminną spółdzielnię w Piaskach na Lubelszczyźnie.

„Laluś” ukrywał się w lasach i korzystając z uprzejmości okolicznych gospodarzy, często zmieniał miejsce pobytu. Cały czas bezpieka deptała mu jednak po piętach. Skutecznie wymykał się obławom komunistycznych służb przez 18 lat od zakończenia wojny. Jak szacowali funkcjonariusze UB/SB, jego siatka współpracowników liczyła ok. 200 osób, którzy wspierali go mimo ryzyka represji za pomaganie „reakcyjnemu bandycie”. Ostatecznie zdradził go zwerbowany przez SB do współpracy brat stryjeczny narzeczonej „Lalusia”.

Ostatni żołnierz wykłęty zginął w obławie milicyjnej 21 października 1963 r. we wsi Majdan Kozic Górnych. W prosektorium Zakładu Medycyny Sądowej w Lublinie przeprowadzono sekcję zwłok i pozbawiono je głowy, a następnie złożono w bezimiennym grobie na cmentarzu komunalnym przy ul. Unickiej w Lublinie.

GODNY POCHÓWEK PO LATACH

Dzięki pomocy pracownika cmentarza rodzinie udało się ustalić miejsce pochówku. Dopiero w 1983 r. siostry „Lalusia” przeniosły jego prochy do rodzinnego grobowca na cmentarzu parafialnym w Piaskach.

Po 1989 r. coraz więcej ludzi dowiadywało się o heroicznej walce Józefa Franczaka. W 1996 r. powstał film dokumentalny pt. „Ostatni partyzant Rzeczypospolitej” autorstwa Tadeusza Arciucha. Z inicjatywy Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość Obszaru Wschodniego w Lublinie oraz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w 2007 r. odsłonięto w Piaskach pomnik upamiętniający ostatniego partyzanta RP. W 2014 r. udało się odnaleźć czaszkę „Lalusia” w jednej z pracowni lubelskiego Uniwersytetu Medycznego. Do tego czasu najprawdopodobniej służyła studentom do celów naukowych. Uroczystie pochowano ją obok pozostałych szczątków Józefa Franczaka w 2015 r.

17 marca 2008 r. prezydent Lech Kaczyński nadał „Lalusiowi” w 90. rocznicę urodzin Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Pamięci Franczaka został poświęcony



utwór „Noc” z płyty „Panny wyklęte” wydanej w 2013 r. Rok później legendarny żołnierz wyklęty został patronem jednej z ulic w Lublinie. W 2016 r. w krakowskim parku Jordana wśród panteonu zasłużonych Polaków odsłonięto jego popiersie. Na motywach historii Józefa Franczaka nakręcono film pt. „Wyklęty”, który miał premierę w 2017 r. Wizerunek „Lalusia” znalazł się także na wydanym w 2022 r. z okazji Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” znaczku pocztowym. W tym samym roku na jego cześć odsłonięto pomnik w Świdniku, a rok później tablicę pamiątkową w Sopocie.

PONOWNE OSKARŻENIA

W 2020 r. w periodyku „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” ukazał się artykuł Sławomira Poleszaka pt. „Czy okupacyjna przeszłość sierż. Józefa Franczaka „Lalusia” miała wpływ na powojenne losy »ostatniego zbrojnego«?” Opisane w nim rzekome zbrodnie „Lalusia” miały mieć miejsce

w czasie okupacji niemieckiej. Zdaniem pracującego wówczas w IPN historyka w 1943 r. we wsi Kolonia Skrzynice Franczak wraz z dwoma współtowarzyszami wdał się w strzelaninę z żydowskimi partyzantami. Od strzałów „Lalka” i jego kompanów miało zginąć dwóch bojowników. Ponadto „Laluś” miał brać udział w porwaniu i wydaniu Niemcom ukrywającego się żydowskiego krawca Szmula Helfmana. Ostatnim zarzutem sformułowanym przez Poleszaka było uczestniczenie na przełomie 1943 r. i 1944 r. w obrabowaniu i pobiciu do nieprzytomności Heleny i Adama Brodów za to, że ukrywali Żydów. „Laluś” wraz z kompanami mieli żądać wydania ukrywanych ludzi, czego Brodowie nie uczynili. Według autora to właśnie zbrodnie z czasu wojny miały być prawdziwą przyczyną tego, że „Laluś” pozostał w podziemiu i nie skorzystał z żadnej z amnestii. Miał się obawiać konsekwencji popełnienia zbrodni na Żydach, a jego walka *de facto* była pozbawiona patriotycznych pobudek.

Warto jednak zaznaczyć, że oskarżenia sformułowane wobec Józefa Franczaka nie są niczym nowym. Ich podstawą są te formułowane przez komunistycznych śledczych, którzy przez lata na wszelkie możliwe sposoby starali się zdyskredytować ukrywającego się partyzanta w oczach pomagającej mu ludności. Przeciwno ściganemu „Lalusowi” toczyły się dwa śledztwa, nikt jednak nie miał wątpliwości, że były one traktowane instrumentalnie. Jednak za sprawą Sławomira Poleszaka zarzuty komunistycznej propagandy wobec Franczaka zostały uwiarygodnione. Tezy dotyczące rzekomych zbrodni „Lalusia” Poleszak wraz z Rafałem Wnukiem (aktualnie p.o. dyrektora Muzeum II Wojny Światowej) powtórzył w wydanym w tym roku wspólnym dziele pt. „Niezlomni czy realiści? Polskie podziemie antykomunistyczne bez patosu”.

Publikacja stanowi swego rodzaju wykładnię nowej oficjalnej polityki historycznej państwa, krytycznej wobec tejże polityki realizowanej w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy, a zarazem polskiego powojennego podziemia antykomunistycznego. Oszczerza wobec Józefa Franczaka wersja historii jest jednym z wątków kończącym książkę.

MIAŻDŻĄCA ODPOWIEDŹ

Tezy stawiane przez Sławomira Poleszaka wywołały prawdziwą burzę. Merytorycznej weryfikacji zarzutów podjęli się Piotr Niwiński i Tomasz Łabuszewski na łamach czasopisma „Pamięć i Sprawiedliwość”. Wykazali oni m.in., że zdarzenie u Brodów nie było bandyckim rajdem Franczaka skierowanym przeciwko Żydom. Działanie „Lalusia” zyskało akceptację dowództwa AK i było akcją wymierzoną w ludzi szkodzących podziemiu. Okazało się, że cały tekst nie tylko zawiera wiele błędów, lecz także został napisany skrajnie tendencyjnie.

W tym miejscu najlepiej będzie przytoczyć fragment odpowiedzi historyków: „Tytuł stanowi tak naprawdę tylko przykrywkę dla zupełnie innych rozważań. Trudno bowiem zrozumieć, w jaki sposób odpowiedź na to pytanie miałyby przynieść historia rzekomego rabunku dokonanego przez żołnierzy

AK w domu Brodów. Czy Józef Franczak, mając na koncie likwidację co najmniej kilku przedstawicieli władzy komunistycznej, miał się obawiać tak banalnego w jego sytuacji zarzutu? Zwłaszcza po 1956 r., kiedy nie groziła mu już za to żadna kara. Oczywiście, że nie. Po co dołączono do tego zestawu historię śmierci Szmula Helfmana, skoro po przesłedzeniu dwóch śledztw widać wyraźnie, że mamy do czynienia z oszczerstwem rzuconym z pobudek osobistych przez Franciszka Becia, a penalizacja Franczaka z tego tytułu po 1956 r. również była już niemożliwa? Po co z tragicznej, ale też dosyć oczywistej historii »starcia spotkaniowego« – nie zaś »zabójstwa intencjonalnego« – w Skrzynicach uczyniono koronny argument o rzekomym antysemityzmie »Lalusia«? [...]

W jaki wreszcie sposób omawiany autor, nie dysponując żadnymi osobistymi zapiskami »Lalusia« ukazującymi ówczesny stan jego ducha, chciał na wspomnianych przykładach udowodnić ich wpływ na prawdziwą motywację głównego bohatera, dotyczącą kontynuowania konspiracji? Czy był w stanie wykazać w swoim tekście, jaka była percepcja wspomnianych zdarzeń i ich konsekwencji przez samego Franczaka, na ile stanowiły one dla niego istotny element życiorysu, czy w ogóle o nich pamiętał? Odpowiedzi na te pytania brak. Mimo to autor zdecydował się na sformułowanie tezy, której nie udowodnił, bo jej udowodnić nie mógł. Wpisał się za to w narrację stworzoną przez komunistyczny resort bezpieczeństwa i powielił ją jako wiarygodną. Co więcej, ten sam zestaw dokumentów śledczych i operacyjnych wytworzonych przez MBP-MSW, którym się posłużył, z powodzeniem może stanowić podstawę do sformułowania tezy całkiem odmiennych. Nie o to jednak w tym wywodzie chodzi. [...] Gdyby podejść do sprawy naukowo i po prostu uczciwie, to pytanie postawione przez historyka po lekturze materiałów archiwalnych dotyczących »Lalusia« powinno brzmieć: W jaki sposób komunistyczny resort bezpieczeństwa oraz komunistyczny wymiar

sprawiedliwości starały się uniemożliwić ujawnienie się Józefowi Franczakowi? Ale to przecież całkiem inna, mniej fascynująca historia, która tak autora omawianego artykułu, jak i jego obrońców widocznie nie interesowała. Zamiast tego mamy powielony schemat, w którym to, co złe o podziemiu niepodległościowym, jest godne uwypuklenia i nagłośnienia, to zaś, co dobre, jest tylko plonem »nienaukowej polityki historycznej państwa polskiego«.

Na wieść o odsłonięciu w Sopocie pamiątkowej tablicy poświęconej „Lalusiowi” „Gazeta Wyborcza” poinformowała, że upamiętniony został żołnierz podziemia, który „w czasie wojny uczestniczył w zbrodniach przeciwko Żydom i Polakom”

WALKA O PAMIĘĆ TRWA

Dlaczego więc mimo tak druzgocącej odpowiedzi historyków i weryfikacji kłamliwych tez „Laluś” cały czas jest oskarżany o te same domniemane zbrodnie? Gdzie tkwi przyczyna ataku na pamięć o nim?

Zdaniem Sławomira Poleszaka: „Długi okres pozostawania nieuchwytnym dla komunistycznego aparatu represji, okoliczności jego zabicia, a także to, co działo się z jego szczątkami już po śmierci [...] legły u podstaw tego, że w ramach państwowej polityki historycznej uczyniono z niego jedną z głównych postaci panteonu »żołnierzy wyklętych«”. Według historyka Józef Franczak został celowo, czy może nawet sztucznie wykreowany na bohatera, ponieważ spełniał określone wymagania. Atak na niego ma zburzyć ten pomnik.

Jak czytamy w tekście Piotra Niwińskiego i Tomasza Łabuszewskiego: „Dobranie akurat tych kilku tragicznych – kontrowersyjnych z punktu widzenia Sławomira Poleszaka – zdarzeń w kontekście służby niepodległościowej »Lalusia« przy wszystkich »zasłonach« zastosowanych przez autora [...] trudno ocenić inaczej niż jako działanie intencjonalne, obliczone na demontaż wizerunku Józefa Franczaka – postaci symbolicznej dla całej zbiorowości żołnierzy polskiego podziemia antykomunistycznego. Na podkopanie jego wiarygodności jako żołnierza konspiracji niepodległościowej, zakwestionowanie podstaw ideowych jego życiowych decyzji”.

Niestety przynajmniej częściowo tekst opisujący rzekome zbrodnie „Lalusia” z czasu II wojny światowej spełnił swoje zadanie. W przestrzeni publicznej pojawiły się zarzuty, że Józef Franczak był mordercą Żydów. Oskarżenia te są przywoływane (często nawet bez sprawdzenia ich wiarygodności) przy okazji wszelkiego rodzaju upamiętnień. Wystarczy wspomnieć sytuację związaną z przywołanym wcześniej odsłonięciem w Sopocie w 2023 r. pamiątkowej tablicy poświęconej „Lalusiowi”. Na wieść o tym wydarzeniu „Gazeta Wyborcza” informowała, że upamiętniony został żołnierz podziemia, który „w czasie wojny uczestniczył w zbrodniach przeciwko Żydom i Polakom”.

Kalkulacje ludzi oczerniających Józefa Franczaka są skazane na niepowodzenie z jednego, acz zasadniczego powodu. „Laluś” nie jest uważany za bohatera, ponieważ jakaś wyższa instancja kazała go tak postrzegać. To efekt oddolnych inicjatyw, społeczników, którzy dzięki żmudnej pracy wydobyli jego, tak jak pozostałych żołnierzy wyklętych z trwającej wiele lat niepamięci. Dopiero później państwo polskie uhonorowało jego osobę. Sierz. Józef Franczak „Laluś” jest bohaterem ze względu na swoją długą i nieugiętą walkę o niepodległość Polski i dlatego tak wielu ludzi o nim pamięta. Żadne kalumnie rodem z komunistycznej propagandy tego nie zmienią.

A photograph of a man with a long, full white beard and a wide-brimmed straw hat. He is sitting in a large, light-brown wicker armchair. He is wearing a dark, long-sleeved button-down shirt. The background is a lush green garden with yellow flowers. The lighting is bright, suggesting a sunny day.

Taki jestem na co dzień

Ten nasz wschód przez lata był trochę wyśmiewany. Byliśmy Polską B, zacofaną, a tu nagle trafiliśmy do kina – wspomina Krzysztof Dzierma, który jako ks. Antoni wraca w filmie „U Pana Boga w Królowym Moście”



Z Krzysztofem Dziermą, filmowym ks. Antonim, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kiedy trafił pan do Królowego Mostu?

Krzysztof Dzierma: Tego filmowego – w 1997 r. Wtedy kręcili zdjęcia do „U pana Boga za piecem”. A ten prawdziwy [na skraju Puszczy Knyszyńskiej, 20 km od Białegostoku – przyp. red.] jest w zupełnie innym kierunku. To mała wioska z cerkwią, dosłownie kilka domów na krzyż. W filmie jest dużo więcej i szerzej, dlatego zdjęcia były kręcone w Sokółce, Supraślu i Tykocinie [w najnowszej części producent dodaje jeszcze Starą Kamionkę, Białystok, Usnarz Górny i Lipowy Most – przyp. red.]. A potem przyjeżdżają do Królowego Mostu, tego z mapy, turyści i pytają: „A gdzie jest rynecek? Gdzie kościół? Gdzie plebania?”. Isą zdziwieni, że na ekranie to magia kina.

Czy też za sprawą filmowej iluzji od ponad ćwierćwiecza – i w czterech filmach „U Pana Boga za piecem” (1998), „U Pana Boga w ogródku” (2007), „U Pana Boga za miedzą” (2009) i kinowej premiery tego tygodnia „U pana Boga w Królowym Moście” – dla wielu osób jest pan ks. Antonim?

Co zrobić. Ale powiem pani, że dzięki Bogu Bromski wymyślił tego księdza jako pocziwego, uczciwego człowieka. Dlatego nie boję się dziś wyjść na ulicę, bo w innym przypadku nie wiem, jak by to było. Ludzie nie oddzielają prawdy od fikcji.

A na ile ta fikcja w przypadku ks. Antoniego jest bliska prawdy, czyli pana? Stał się pan inspiracją dla Jacka Bromskiego?

Poznaliśmy się trochę wcześniej. Kiedy zaproponował mi zagranie ks. Anto-



niego, zgodziłem się niechętnie, bo to była duża rola, a ja przecież jestem muzykantem, a nie aktorem. Powiedziałem mu: „Weź ty lepiej prawdziwego aktora, to ci porządnie zagra”, a on do mnie: „Tak, on zagra, a ty będziesz sobą”. Boten charakter ks. Antoniego rzeczywiście jest trochę ze mnie. Szczerze mówiąc, jestem taki na co dzień. I co ja będę na ekranie kogoś innego udawał. Reżyser bardzo mi w tym zaufał. I nadal ufa, chociaż po pierwszej części odgrażał się, że już więcej nie weźmie mnie do filmu. Ja mu wtedy: „Jaka szkoda, chwała Bogu”. Ale okazało się, że do mnie wrócił. Mimo że wolno mówię – taką mam narrację – i miałem kłopoty z cudzym tekstem, bo zamiast zapamiętywać, „szyłem”, jak mogłem, po swojemu.

I dzięki temu „uszyl” pan bohatera na miarę. Nie byłoby tego cyklu bez pana i grającego komendanta Andrzeja Beji-Zaborskiego. Co pańskim zdaniem poza bohaterami przyciąga widzów do tego cyklu?

Bromski jako pierwszy poruszył temat sielskości. Po nim inni zaczęli robić te

„Plebanie” i „Rancza”, a on zamiast iść za ciosem na dziesięć lat zajął się innymi tematami. Podobno to widzowie wymogli na nim powrót do Królowego Mostu.

I znów rozkwitła na ekranie Polska północno-wschodnia?

Ten nasz wschód przez lata był trochę wyśmiewany. Byliśmy Polską B, zafaną, a tu nagle trafiliśmy do kina. I wie pani, że to, co pokazaliśmy, bardziej podobalo się widzom z innych części kraju niż ludziom z Podlasia. Kiedyś zaczął mnie w sklepie, w GS, miejscowy gospodarz i mówi: „Co wy tam pokazujecie? Jakies rozwalające się płoty. A u mnie na podwórku polbruk leży”.

Od realizacji pierwszej części minęło sporo czasu. Dużo się zmieniło?

Pewnie – nowe drogi i ludzie już nie tak związani z ziemią, często pracujący w okolicznych miastach. Wieś też była inna. Tuż za płotem miałem krowy, które po dojeniu były wyganiane na pole, i było pełnomuch, stąd siatki w oknach. Teraz nawet nie słyszę, żeby rano kogut zapiał. Tak się zmieniło.

A jaki był i jaki jest dziś pana bohater?

Przed wszystkim był młodszy. Kiedy zagrałem w pierwszej części, zbliżałem się do czterdziestki, dziś mam 65 lat. Broda posiwała, ale ks. Antoni cały czas czuwa nad moralnością w swojej parafii. W tym się nie zmienił. Tylko w ostatniej części jest o wiele mniej księdza gospodarza, za to więcej politykiera i jestem tym trochę zawiedziony, bo to miejsca, w których gospodaruje, określają go najlepiej i są mu bliższe niż partyjna mównica. „U Pana Boga



w Królowym Moście” to zupełnie inny film niż poprzednie. Czy się spodoba, widzowie ocenią, ale gdyby w czwartej części znów pokazać pasące się krowy i biegające konie, byłoby tego za dużo.

Premiera czwartej części wiąże się nie tylko z pożegnaniem części sielskich widoków, lecz także ludzi.

W 2011 r. odszedł nasz pierwszy burmistrz – w tej roli Miecio Fiodorow, kolega z Białostockiego Teatru Lalek, w którym przepracowałem wiele lat. W czwartej części ostatnią rolę zagrał Emilian Kamiński (zm. 26 grudnia 2022), filmowy Jerzy Bocian. Nie ma już z nami autora zdjęć Arkadiusza Tomiaka [zginął w tym roku tragicznie w drodze na koszaliński festiwal – przyp. red.]. Brakuje Olka Skowrońskiego (zm. w 2020), kolejnego naszego kolegi z BTL (grał ojca komendanta), i Agnieszki Kotlarskiej (policjantki Mariny, zm. w 2015). Trochę ludzi poodchodziło.

A co trwa w filmowym Królowym Moście?

Przy pierwszej części trochę naciągnąłem Bromskiego na Sokółkę, w okolicach



której mieszkam. Nie brałem miejscowości pod uwagę, a ja mu mówię: „Tam będziesz miał dosłownie Watykan: kościół jest ogrodzony, a przy nim tyle budynków”. I faktycznie, powstało tam bardzo dużo scen z pierwszej i z kolejnych części. I wnętrze kościoła, i plebania, i pasieka, i sad, i letnia kuchnia, i wędzarnia. Wszystko to było kręcone w Sokółce, chociaż z upływem lat i tam się trochę pozmieniało. W miejscu filmowego chlewika stoi teraz... dom pogrzebowy.

Miejscowi proboszczowie nie mieli panu za złe, że ściągnięto im na głowę filmowe ekipy?

Nie. Zarówno kolejni księża, jak i urzędnicy oraz mieszkańcy traktowali to jak



promocję. A jak się jeszcze zdarzył cud w Sokółce (w 2008 r.), to do kościoła pod wezwaniem św. Antoniego przybywały całe pielgrzymki.

Już zatem wiem, skąd imię filmowego księdza. Czy pański bohater jest gotowy na ciąg dalszy serii o Królowym Moście?

Myślę, że ta część będzie ostatnia, bo i Jacek jest zmęczony, i ja też już bym nie chciał. Ten cały filmowy świat to nie moja bajka.

Co by pan powiedział ks. Antoniemu na pożegnanie?

Szczęść Boże księdzu. I ludziom też. **✓**
Czytaj też *Moje smaki* na str. 70

FOT. WYDZIAŁ

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA
saltus.pl



**ubezpiecz to,
co się liczy!**



SALTUS - Mój DOM
UBEZPIECZENIE MIESZKAŃ
I DOMÓW JEDNORODZINNYCH

Typowe wydatki domowe w ciągu roku:
Rachunek za telefon – 1300 zł
Abonament za serwisy filmowe – 780 zł
Siłownia, joga – 1400 zł
Internet i kablówka – 1320 zł
Ubezpieczenie mieszkania – **557 zł**

Od wszystkich ryzyk dla mieszkania wartego 410 000 zł i ruchomości domowych wartych 30 000 zł, także od kradzieży.

Dostępne m.in. w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych.

eprasa.pl 7be7e40bca

TOWARZYSTWO
UBEZPIECZONYCH

Marihuanowe kłamstwo

Podczas wyborów prezydenckich w USA 5 listopada na kartach do głosowania w Dakocie Północnej znajdzie się propozycja zalegalizowania rekreacyjnego używania marihuany. Jeśli zostanie zatwierdzona, legalne staną się jej uprawa, sprzedaż, posiadanie i używanie. Podobne przepisy obowiązują już w 24 stanach USA oraz w Waszyngtonie.

Legalizacja narkotyków jest hasłem ruchów rewolucyjnych i lewicowych od początku lat 70. Ponieważ te działania wzbudziły wtedy duży opór społeczny, skupiono się na przekonaniu ludzi Zachodu do tzw. narkotyków miękkich, szczególnie marihuany. Operacja się udała. Marihuana jest legalna w Kanadzie, Urugwaju, Luksemburgu, RPA, Meksyku i na Malcie. Podobnie jest w Gruzji, niektórych stanach Australii, w Chile, Kolumbii, Brazylii, Argentynie, Ekwadorze, Peru, Holandii, Słowenii, Portugalii, Hiszpanii, Belgii i Austrii. W Niemczech od 1 kwietnia 2024 r. dorośli mogą posiadać legalnie do 25 g marihuany i uprawiać do trzech roślin konopi.

W Europie w celach medycznych marihuana jest dozwolona w Danii, Czechach, Finlandii, Francji, Grecji, Irlandii, Norwegii, Szwecji, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii i Chorwacji. Również w Polsce od 2017 r. marihuana medyczna jest legalna, gdy zostanie przepisana przez lekarza i ma być wykorzystywana w celach leczniczych.

Według opublikowanych wiosną 2024 r. badań 73,4 proc. Polaków popiera dekryminalizację marihuany na własny użytek. Zapewne zostały one zmanipulowane – lobby legalizacyjne dysponuje potężnymi środkami – jednak bez wątpienia duża część naszej młodzieży została zinkryminowana marihuanowym kłamstwem. Na czym ono polega?

Zacznijmy od tego, że marihuana działa w nieprzewidywalny sposób. Niektórzy odczuwają rozluźnienie, a inni nasilony

lęk lub przerażenie. Nie znamy dokładnie jej działania. Konopie indyjskie zawierają ponad 421 aktywnych składników, wśród których zidentyfikowano 60 kannabinoidów. Dotychczas gruntownie przebadano dwa – THC i CBD.

99 proc. palaczy styka się z THC brudnym i podkreślonym chemicznie. Najpopularniejszym na początku lat 90. w Warszawie i Krakowie sposobem dilerów na zwiększenie zysku było dodawanie do haszyszu zmielonego szkła, które rozrywało pęcherzyki płucne palacza, dając mu tym samym dużo mocniejsze doznania. Codziś robią dilerzy? Czym nasączają liście konopi, co dodają do haszyszu? Nie chce mi się nawet o tym myśleć. A przecież nawet czysta marihuana jest szkodliwa.

Anna Klimkiewicz i Agata Jasińska z Katedry i Kliniki Psychiatrycznej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego opublikowały w 2018 r. artykuł „Zdrowotne następstwa rekreacyjnego używania kannabinoidów” w zakresie zdrowia somatycznego oraz psychicznego. Jego konkluzja brzmi następująco:

„Zdrowotne następstwa używania konopi można różnicować ze względu na czas pojawiania się i okres ich trwania. Do natychmiastowych efektów przyjmowania THC należą: upośledzenie pamięci krótkoterminowej, upośledzenie uwagi i oceny sytuacji, upośledzenie koordynacji ruchowej i równowagi, przyspieszenie pracy serca, niepokój, podejrziwość, rzadko – psychoza.

Do efektów utrzymujących się dłużej niż stan intoksykacji należy zaliczyć: upośledzenie zdolności uczenia się, upośledzenie koordynacji ruchowej, zaburzenia snu.

Wśród długoterminowych skutków przewlekłego używania wyróżnia się: uzależnienie, upośledzenie pamięci i zdolności uczenia się, obniżenie IQ, zespół amotywacyjny, wzrost ryzyka wystąpienia przewlekłego kaszlu i zapalenia oskrzeli,



ROBERT TEKIELI

większe ryzyko sięgania po alkohol i inne substancje psychoaktywne, większe ryzyko rozwoju schizofrenii u osób podatnych genetycznie, spadek samodzielności i opóźnione dojrzewanie społeczne”.

Na podstawie imponującej literatury autorki stwierdzają, że korzyści terapeutyczne związane ze stosowaniem marihuany są „niejednoznaczne i często ostatecznie niepotwierdzone”, natomiast „jej działanie toksyczne udowodniono w wielu badaniach epidemiologicznych, klinicznych i laboratoryjnych”. Przyjrzyjmy się bliżej niektórym wymienionym wyżej zagrożeniom.

Zespół amotywacyjny to stan apatii i braku motywacji. Cechuje go obojętność, bierność i utrata zainteresowania sprawami ważnymi kiedyś dla danej osoby. Zespół ten różni się od depresji. Ktoś, u kogo objawia się ten stan, nie jest smutny ani niespokojny, tylko znudzony i niezainteresowany. Każdy, kto zna uzależnionego od THC i jest uczciwy wobec siebie oraz tej osoby nie zaprzeczy, że obserwuje się wtedy dokładnie takie objawy.

THC jest szczególnie groźne dla młodych ludzi. Używanie marihuany w wieku poniżej 18. roku życia ponaddwukrotnie zwiększa prawdopodobieństwo zdiagnozowania schizofrenii u osób predysponowanych w porównaniu z tymi, które nie miały doświadczeń z konopiami.

Używanie marihuany przez osoby jeszcze się rozwijające wiąże się ze stratą średnio 6–8 pkt. w testach IQ rozwiązywanych w okresie dorosłości. THC wpływa na układ nagrody u małoletnich, co zwiększa prawdopodobieństwo sięgania po inne substancje psychoaktywne, jak alkohol czy opiaty.

Pogorszenie procesów uczenia się i myślenia utrzymuje się w dorosłym wieku, nawet po zaprzestaniu używania marihuany.

W przypadku palących nastolatków w kilku badaniach kontrolowanych stwierdzono wzrost ilości prób samobójczych.

Stosowanie marihuany we wczesnym okresie ciąży zwiększa ryzyko poronienia, ma szkodliwy wpływ na rozwój mózgu dziecka, a prawdopodobieństwo martwego urodzenia jest ponaddwukrotnie większe.

Jak wykazują Anna Klimkiewicz i Agata Jasińska, marihuana upośledza zdolność układu odpornościowego do zwalczania infekcji bakteryjnych i wirusowych. Ryzyko wystąpienia zawału serca w ciągu pierwszej godziny po wypaleniu marihuany wzrasta pięciokrotnie.

U części palaczy kontakt z marihuaną prowadzi do upośledzenia rozwoju płciowego, szczególnie w przypadku mężczyzn, ponieważ zmniejsza ona wytwarzanie testosteronu.

Skutkiem regularnego palenia marihuany jest POChP, czyli przewlekła obturacyjna choroba płuc, która nieleczona może skończyć się niewydolnością oddechową i śmiercią.

W polskim Sejmie działa parlamentarny zespół ds. legalizacji marihuany. Jego wiceprzewodniczącą jest ulubienica prawej strony sceny politycznej Paulina Matysiak.

W Polsce marihuana już jest legalnie używana w celach leczniczych. To był zawsze pierwszy krok do pełnej legalizacji tego narkotyku. Należało tylko przeprowadzić następującą manipulację świadomością społeczną: skoro marihuana ma zastosowanie medyczne, to jest lekiem. Skoro jest lekiem, to jest nieszkodliwa. Bardziej szkodliwy jest legalny przeciwnik alkoholu, więc marihuana powinna być legalna i ogólnie dostępna. Logiczne?

Narkotyki od zawsze były bronią, za ich pomocą rozkładano społeczeństwo wroga. Dziś Zachód jest atakowany przez wroga zewnętrznego, Chińską Republikę Ludową, za pomocą fentanylu, a od 1968 r. miękkich narkotyków używa również marksistowski wróg wewnętrzny – rewolucyjniści obyczajowi.

Narkotyki zabijają. Każdy na swój sposób. Ich posiadanie musi być nielegalne. Wtedy społeczeństwo za pomocą państwa nadaje swym członkom prosty i prawdziwy komunikat.

WOJNA CYWILIZACJI

POP KULTURA

Warte Każdy, kto choć odrobinę interesuje się USA, słyszał lub czytał, że w kilku południowych stanach hasło „secesja” nie jest już tylko na ustach skrajnych fanatyków. Film „Civil war” dotyczy właśnie tych emocji, pokazując nam Amerykę nieodległej przyszłości, pogrążoną w drugiej wojnie secesyjnej. Rzeczywistość poznajemy z perspektywy grupy dziennikarzy podróżujących przez kraj ogarnięty chaosem, by przeprowadzić wywiad z urzędującym prezydentem.

Gdyby ten film miał być antywojennym manifestem, widziałem 100 razy lepsze. Gdyby miał być refleksją nad naturą zawodu żurnalisty nieodmiennie prowadzącą od entuzjazmu do cynizmu, nie byłby w żaden sposób odkrywczy. Gdyby miał prowokować widzów do głębokiej refleksji nad ludzką egzystencją i moralnością, musiałby używać subtelniejszych narzędzi i bardziej angażować widzów. W dodatku nie przekonuje ani Kirsten Dunst, choć brawa za odkrycie zmęczonej twarzy 42-latk, ani znana z „Priscilli” i „Pacific Rim” Cailee Spaeny, ani Wagner Moura, niezapomniany Pablo Escobar z „Narcos”. Nie żeby ci aktorzy odwalili jakąś fuszerkę, ale przeciętność ich kreacji można wyraziście zobaczyć w konfrontacji z epizodem Jessego Plemons’a.

Wojna jest absurdalna i bezsensowna, tragiczna i brutalna. Wszyscy to wiedzą. Wielu również wie, że czasami trzeba bronić kobiet i dzieci. Co oznacza zabijanie złych ludzi. Pacyfizm nie jest wyborem. Jest ucieczką.

Wojna jest absurdalna i bezsensowna, tragiczna i brutalna. Wszyscy to wiedzą. Wielu również wie, że czasami trzeba bronić kobiet i dzieci. Co oznacza zabijanie złych ludzi. Pacyfizm nie jest wyborem. Jest ucieczką.



Warte Nigdy dosyć opowieści o amerykańskim rasizmie. Po prawej stronie jest zbyt łatwo rozgrzeszany, bo na sztandary wzięli go marksiści faszyci spod znaku BLM. Biali protestanci naprawdę mają dużo na sumieniu, choć oczywiście niewolników sprzedawali białym czarnoskórzy itp. Wszystko to jednak nie rozgrzesza chrześcijan, którzy przecież wiedzą, że nie ma już Żyda ani Greka, kobiety czy mężczyzny, wolnego czy niewolnika.

„Tylko sprawiedliwość” opowiada prawdziwą historię. Skazanego na śmierć niewinnego czarnoskórego wyrwa z celi śmierci czarnoskóry adwokat po Harvardzie.

Walter McMillian, pracownik tartaku, został skazany na śmierć w wyniku spreparowanych dowodów nie w latach 60., ale w 1988 r. Bryan Stevenson, jego nowy adwokat, kilka lat walczy z systemem, by uzyskać uniewinnienie. Jest blokowany również z powodów rasistowskich – w 1993 r.!

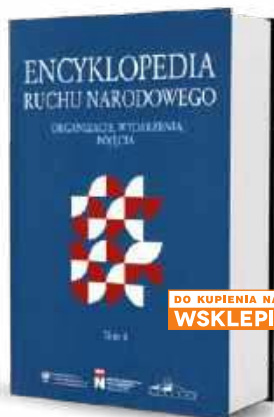
Film nie jest wybitny, kino już wcześniej i w bardziej porywający sposób podnosiło tę tematykę. Jednak budzi emocje i każe się przyjrzeć również sobie.

Robert Tekieli, Polskie Radio



POP KULTURA

Encyklopedia endecji



To ostatni tom serii redagowanej przez dr. Krzysztofa Kawęckiego. Likwidacja IDMN jest powodem zakończenia prac nad projektami realizowanymi w Instytucie. Dotyczy to też „Encyklopedii Ruchu Narodowego”, pomyślanej jako kompendium haseł ujętych w konkretnym kontekście kulturowym i społecznym. W tym tomie m.in. prof. Rafał Łętocha przybliża „Filozoficzne inspiracje myśli obozu narodowego”. Od XIX-wiecznego pozytywizmu, empiryzmu i scjentyzmu, któremu hoładowali Dmowski, Balicki i Popławski, po myśl katolicką, a konkretnie filozofię tomistyczną i platońskie inspiracje totalizmem czy faszyzmem. Klasyczni politycy narodowo-demokratyczni nigdy bowiem nie zdobyli się na wykładanie koncepcji teoretycznych, bezpośrednio odwołując się do Augusta Comte’a, darwinizmu społecznego Spencera, twórców teorii elit, takich jak Pareto, Mosca i Le Bon, i zachowując dystans wobec epigońskiego konserwatyzmu. Na tym budowali zasady nowoczesnego nacjonalizmu, wzywali do konieczności modernizacji, krytyki romantyzmu, budowy silnej warstwy mieszczańskiej i własności. Jednak w okresie międzywojennym nastąpił zwrot w stronę myśli katolickiej, a nawet konserwatyzmu, znaczony publikacjami m.in. Frycza, Doboszyńskiego i narodowych radykałów zafascynowanych koncepcją „Nowego średniowiecza” Bierdiajewa.

Bardzo ciekawym wątkiem jest temat sportowców i klubów sportowych związanych z ruchem narodowym autorstwa Tomasza Plaskoty. U narodzin masowego społeczeństwa i nacjonalizmu podzielano bowiem przekonanie, że sport jest środkiem kształtującym charakter, a ogólnie zorganizowany prowadzi do budowy organizacji paramilitarnych. Ich geneza sięga Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” (1867 r.). Do jednego z warszawskich gniazd organizacji należeli m.in. Dmowski i Balicki. Pierwsze kluby sportowe to Warszawskie Towarzystwo Cyklistów, którego prezesem był ks. Czetwertyński, Wisła Kraków z pierwszym prezesem Tadeuszem Łopuszańskim czy Pogon Lwów z założycielem, a potem wiceprezesem PKiO Eugeniuszem Piaseckim, prywatnie ojcem Stanisława, twórcy i redaktora pisma literackiego „Prosto z Mostu”. Świetnym bokserem był np. falangista Marian Reutt. Jednak najwybitniejszą postacią ze świata sportu związaną organizacyjnie z SN była Jadwiga Wajsówna, lekkoatletka i dwukrotna medalistka olimpijska. ▀

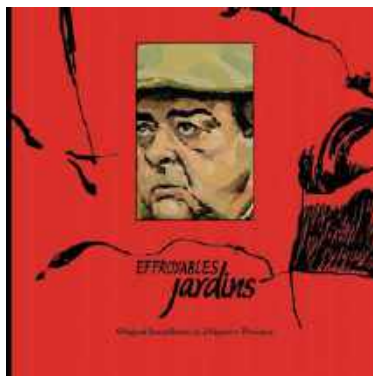
„Encyklopedia Ruchu Narodowego”, t. IV, Neriton, IMDN, Warszawa 2024



Maciej Walaszczyk

Reedycja raczej trudno jak dotąd dostępnej ścieżki dźwiękowej sprzed 20 lat i do tego także na winylu. Zbigniew Preisner jest uważany za jednego z najwybitniejszych kompozytorów muzyki filmowej. Posługuje się minimalistycznymi środkami, głównie fortepianem, kościelnym pogłosem i ciszą oraz potrafi wymyślić bardzo nośne motywy. Muzyka do „Podwójnego życia Weroniki” czy „Trzech kolorów” znakomicie oddają te zdolności. Ale przestrzegano także, iż za nadmierną eksploatacją owych pogłosów i powolnej narracji kryje się kicz dźwiękowych zjawisk i kiepskie umiejętności kompozytorskie. To jednak tylko muzyka filmowa, muzyczna ilustracja obrazów, kapitalnie przecież wypełniających muzyczne kino Kieślowskiego i innych. W 1999 r. Preisner skomponował i wydał „10 łatwych utworów na fortepian”, które ukazały się na płycie w wykonaniu Leszka Możdżera. Naszego najlepszego pianistę jazzowego słyszać także na ścieżce do filmu „Effroyables Jardins” Jeana Beckera z 2003 r. Słyszymy tu także skrzypka Michała Piórkora (Anawa, Piwnica pod Baranami). Już kilka lat wcześniej artysta skomponował muzykę do nagrodzonej Cezarem

Dziwne ogrody



Łeszką Możdżerą. Naszego najlepszego pianistę jazzowego słyszać także na ścieżce do filmu „Effroyables Jardins” Jeana Beckera z 2003 r. Słyszymy tu także skrzypka Michała Piórkora (Anawa, Piwnica pod Baranami). Już kilka lat wcześniej artysta skomponował muzykę do nagrodzonej Cezarem

„Elisy” tego samego reżysera. Ten zaś film jest czarną komedią z udziałem czterech wybitnych francuskich aktorów, m.in. Jacques’a Villereta i Benoîta Magimela, opowiadającej tragicomiczny epizod z końca niemieckiej okupacji we Francji. Jak informuje wydawca, soundtrack, którego dystrybucja była początkowo ograniczona, zyskał na popularności i jest obecnie uważany za zaginiony klejnot współczesnej kompozycji kameralnej. Wyznacza erę solowych kompozycji Preisnera po Kieślowskim, przechodząc od dewocyjnych harmonii do pięknie powściągliwego stylu neoromantyzmu. Motyw przewodni, zbudowany na delikatnej i oszczędnej melodii na fortepian, pojawia się tylko w sekwencji otwierającej i potem nabiera własnego życia. Krytyk napisał kiedyś, że u Preisnera zabieg tworzenia melodii opiera się zwykle na wydobywaniu trzech, czterech dźwięków z harmonicznego

tła i powtarzania ich w dwóch nieznacznie zmienionych wersjach, przez co mógłby z powodzeniem stać się podstawą discopolowych szlagierów. Cóż, pewnie dlatego słucha się ich po prostu rewelacyjnie! ▀

Zbigniew Preisner, „Effroyables Jardins”, A Colourful Storm 2024

Zstąpmy do głębi

Świat podziemny to miejsce, w którym wspólnota narodowa ma szansę na przetrwanie. J.M. Rymkiewicz nasłuchiwał głosów z podziemi i odpowiadał na nie – wyjaśniają twórcy Festiwalu Rymkiewiczowskiego

Podziemia są symbolem poszukiwań ukrytych pod ziemią ziaren i korzeni, pogrzebanych tam kości i zakopanych traum, tematów niewygodnych albo bolesnych, zapomnianych historii – wyjaśniają organizatorzy drugiej edycji Festiwalu Rymkiewiczowskiego, który 23–31 października odbędzie się w Warszawie właśnie pod hasłem „Światy podziemne”.

Izabela Michalska i Wawrzyniec Rymkiewicz zwracają uwagę, że twórczość Jarosława Marka Rymkiewicza to punkt wyjścia do refleksji nad wątkami fundamentalnymi dla zrozumienia współczesności, a tytułowe podziemia są bardzo wieloznaczne. Wiersze poety zostały ostatnio usunięte z programów szkolnych, TVP odmówiła emisji kilku ostatnich odcinków programu „Kronos”, w tym ostatniego podsumowującego cykl, który był poświęcony właśnie dziełu Rymkiewicza, a imprezie nie przyznano wsparcia ministerialnego. Specjalny pokaz programu odbędzie się w siedzibie związku plastyków (ZPAP) przy ul. Mazowieckiej (23 października, godz. 19.00). „Można więc śmiało powiedzieć, że jest on dla dzisiejszych władz postacią niesympatyczną. Ale i tematy, którymi on się zajmował, są – albo jeszcze niedawno były – marginalne, marginalizowane, spychane poza granice publicznego dyskursu” – wyjaśniają. W bardzo oryginalny sposób pisał przecież o powstaniu warszawskim, wywózkach z Umschlagplatzu i wieszaniu zdrajców sprawy narodowej. Namawiał nas do „rozmów z wielkimi nieżyjącymi i z przeszłością”, a najważniejszym jego tematem poetyckim była śmierć. „O śmierci nikt nie chce słyszeć, ale właśnie JMR, czyniąc ją tematem swoich wierszy, od razu stawiał się w pozycji pisarza niecenzuralnego” – dodają Michalska i Rymkiewicz. Nieprzypadkowy jest więc również termin festiwalu, który poprzedza Zaduszki, a więc Dziady. Dlatego nie zabraknie również bezpośredniego odniesienia do Mickiewicza – najważniejszego poety dla Rymkiewicza. Jego „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego”, będące także dziś uniwersalną metaforą sytuacji narodu polskiego, zaprezentują aktorzy Teatru Klasyki Polskiej podczas czytania performatywnego na wydziale filozofii UW (30 paź-

dziernika, godz. 18.00). Natomiast dzień później (31 października, godz. 19.00) w Instytucie Teatralnym wystawią „Porwanie Europy” JMR na podstawie tekstu mającego ambicję być metaforą współczesności. Autor przypatruje się w nim procesom społecznym i politycznym, w których uczestniczymy dzisiaj. Jego poezję wziął również na warsztat Adam Strug, który wraz z dwójką młodych muzyków, Filipem Wiką i Adamem Bemem, zaprezentuje ją podczas koncertu w Kolektywnej Instytucji Kultury „Prześwit” (29 października, godz. 19.00). To „kołysanki, powiedzmy, eschatologiczne” w konwencji muzyki minimalistycznej – zapowiada pieśniarz.

W planach są także ważne debaty literackie. W kawiarni Czytelnika (24 października, godz. 18.00) zaplanowano spotkanie pt. „Twórczość, cóż po twórczości w czasie marnym” z udziałem Przemysława Dakowicza i redaktora naczelnego pisma Mateusza Wernera. Natomiast o tym, „czy warto jest być pisarzem lokalnym”, spróbują opowiedzieć podczas spotkania w Muzeum Literatury (27 października, godz. 17.00) laureaci literackiej Nagrody Identitas 2024: Ireneusz Staroń, Paulina Subocz-Bialek i Paweł Radziszewski. „Żyjemy w czasach wielkiej bezdomności” – wyjaśniają organizatorzy, tymczasem Mickiewicz przedstawiał się jako Litwin, pisarz lokalny, a Rymkiewicz był poetą Milanówka. „W naszej epoce – czasach globalizacji – problem lokalności, przywiązania do stron rodzinnych, posiadania własnego miejsca, domu

albo ojczyzny, jest zasadniczą kwestią duchową i egzystencjalną każdego człowieka” – wyjaśniają. W trakcie festiwalu odbędą się też warsztaty filozoficzne przywołujące wędrówkę po mitologicznych zaświatach. Wykładowcy będą się również starali znaleźć odpowiedź na pytanie, czym jest dziś naród? Bo, jak wyjaśnia prof. Wawrzyniec Rymkiewicz, także pojęcie „naród” staje się powoli słowem niecenzuralnym, a my powinniśmy mu się dziś przyjrzeć przez pryzmat klasycznej filozofii polskiej: od Mochnackiego do Trentowskiego. Wszystkie informacje o programie na stronie: festiwalyrymkiewiczowski.pl.

Festiwal Rymkiewiczowski 2024: Światy Podziemne, Warszawa, 23–31 października 2024 r.



Gombrowicz goni Miłosza: „Deprawator” w TVP

Decyzja, aby oprzeć teatry telewizji niemal wyłącznie na przeniesieniach z teatrów scenicznych, zaowocowała „serialem” o Witoldzie Gombrowiczu. Mamy skądinąd rok tego autora. Obie sztuki o nim pokazane w TVP1 w ciągu dwóch tygodni napisał i wyreżyserował Maciej Wojtyszko, mistrz biograficznych smaczków.

W „Dowodzie na istnienie drugiego”, transferze z Narodowego, nieśmiertelnym „Gombrem” był Jan Englert. „Deprawator” to z kolei powtórzenie produkcji z Teatru Polskiego. Tym razem w autora „Ferdydurke” wcielił się Andrzej Seweryn. Wojtyszko miał szczęście skorzystać z talentu największych.

Do telewizyjnego studia przeniesiono dwa francuskie mieszkania: salon Gombrowicza i letnią rezydencję małżeństwa Miłoszów (scenografia Pawła Dobrzyckiego). Tak jak w pierwszej inscenizacji podkreśla tempo i tworzyła nastrój ironii muzyka Piotra Mossa.

Historie kolejnych spotkań i odwiedzin Gombrowicza, małżeństwa Miłoszów i Zbigniewa Herberta zawierają się w dialogach. Słowa są tu na przemian niewiele znaczące, to znów błyskotliwe, pełne wzajemnych sztychów i podchodów. Wojtyszko umie tworzyć atmosferę blahymi sytuacjami, po czym znenacka wciągać nas w najbardziej fundamentalne dysputy. Tematem przewodnim staje się stosunek do Polaków i polskiego patriotyzmu. Gombrowicz błaznuje, ale także wyklada swój pogląd, wedle którego patriotyczne emocje są szaleństwem, a Polska to absurdalny zaścianek. Basuje mu Czesław Miłosz, choć bardziej wyważonym językiem.

Chwilami można odnieść wrażenie, że sam autor traktuje te manifesty „polonosceptycyzmu” jako dogmaty obowiązujące dla intelektualisty. Wskazywałby na to choćby ironiczny tytuł tego dramatu. Jednak rzecz jest bardziej skomplikowana.

Najmłodszy w tym towarzystwie i zachowujący więzi z krajem Herbert zostaje wyposażony w poważne, a momentami także dowcipne kontrargumenty. Przekonuje, że nie warto, a nawet nie wypada śmiać się z Polski. Demonstrując scepty-

cyzm wobec Gombrowicza, mówi jakże trafnie: „Ma prawo szydzić ten, kto umie kochać”. W efekcie konkluzja pozostaje otwarta. Trudno nie być wdzięcznym za to Wojtyszcze, zwłaszcza gdy się zna jego podziw dla „Gombra”.

Zarazem dostajemy, podobnie jak w „Dowodzie...”, inny podział. Gombrowicz i tu jest zakochanym w sobie mistrzem autokreacji. Walczy o poklask nawet podczas skromnej kolacji na kilka osób. Miłosz jest inny, bardziej altruistyczny. Umie się cieszyć z cudzych sukcesów. Za to Herbert dojrzewa do tego, aby kochać własną twórczość ponad wszystko. Czy tak było naprawdę? Nie mam pojęcia, tak jak nie wiem, czy Gombrowicz biegał za Miłoszem z nożyczkami, chcąc mu ostrzyć krzaczaste brwi. Na wiarę przyjmuję charakterystyki bohaterów zbudowane na wielu detalach.

W tej wersji Gombrowicz jest odrobinę bardziej błazeński, rozdokazywany niż w „Dowodzie...”. Seweryn po mistrzowsku bawi się jego naturą starego dziecka, jednak uważnie wyposażając go w przebłyski geniuszu. A partnerów ma znakomitych. Wojciech Malajkat (Miłosz), Grażyna Barszczewska (Miłoszowa), Magda Zawadzka (dodana dla ozdoby aktorka Iza de Neyman), Anna Cieślak



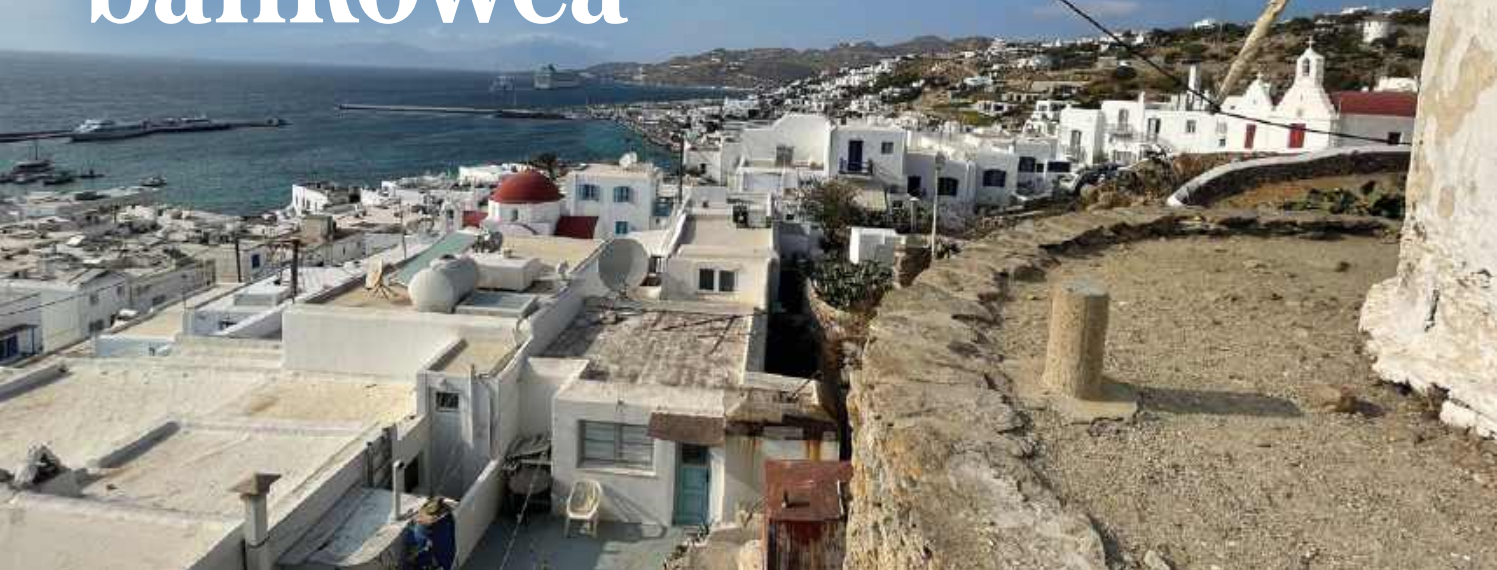
(Rita, w końcu żona Gombrowicza) i nawet Katarzyna Skarżanka w epizodzie służącej Charlotty są precyzyjni w każdym zdaniu czy geście, grają lekko, dowcipnie, a jednak pilnując znaczeń i wagi wypowiedzianych zdań.

Osobne wyrazy podziwu dla najmłodszego – Pawła Krucza. Jego Herbert jest zabawny, a także sympatyczny i mądry. Aktor wyraźnie go polubił. Trzy dni później na scenie Teatru

Polskiego widziałem Krucza jako Księcia Harry’ego w szekspirowskim „Henryku IV”. I mogłem mu gratulować wykazanego raz za razem poczucia humoru.

Piotr Zaremba

Spełnione marzenie bankowca



Pewnego dnia powiedziałem: mam dość korporacji, przełożonych, stolicy, korków i polityki. Wyjechałem w rodzinne strony odpocząć i nigdy nie żałowałem tego, co zrobiłem – mówi Nikos, bankowiec z Aten, który rzucił wszystko dla skrawka ziemi z winnicą na Mykonos



PIOTR OSTROWSKI

30 lat temu Nikos Asimomytis rzucił karierę w stołecznym świecie finansów, opuścił Ateny i wrócił w rodzinne strony. Na początku chciał po prostu dłużej odpocząć od stresu. Wkrótce jednak założył małe gospodarstwo agroturystyczne Vioma i odtworzył starą winnicę. Z biegiem lat sam stał się atrakcją niewielkiej wyspy.

– Posadziłem małą winnicę, robię to, co lubię i mam święty spokój! – Nikos śmieje się i klepie mnie przyjacielsko po ramieniu. – Jeśli możesz, zrób to samo, nigdy nie będziesz żałował.

– Właśnie dlatego przyjechałem do ciebie z drugiego końca Europy, by usłyszeć te słowa – odpowiedziałem.

– Gdy pracowałem w Atenach, ani przez chwilę nie myślałem, że na zawsze zostanę na Mykonos, broń Boże! Ale po urlopie u rodziny nigdy się już stąd nie wyniosłem, bo Mykonos to najlepsze miejsce na świecie – mówi Nikos, który spełnił swoje marzenie.

WINO SŁUCHA MOZARTA

Dziś we wsi Ano Mera rośnie jedyna na wyspie profesjonalna winnica. W jej środku na zacienionym tarasie tawerny trwają właśnie warsztaty kulinarne. Pachnie czosnkiem, oregano i zielonymi ogórkami. Grupka Amerykanów uczy się robić tzatziki. Przy okazji poznają greckie wina, którymi częstuje kucharz. Dymitra, córka Nicosy, podaje nam chłodne assyrtico, ciepłą i pachnącą pitę oraz sos tzatziki –

na początek. Za ścianą słychać rżenie osła i ptasią kłótnię. Mały zwierzyniec w winnicy tworzy sielski klimat. Obok grupka dziewczyn z Francji zamawia jedzenie, kolejne wino i zachwycą się widokiem, wydając co chwilę okrzyki radości. Gości ciągle przybywa i w porze obiadu tawerna wypełnia się ludźmi z całego świata. A nie jest łatwo tu dotrzeć: najpierw taksówką do dworca, potem autobusem do sąsiedniej wsi i wreszcie dobre dwa kilometry pieszo do małej osady Nikosa. Wszyscy jednak wiedzą, że warto się potrudzić, bo tutejsze wina i kuchnia są wyborne.

Cykladzkie winorośle w niczym nie przypominają tych malowniczych bujnych pnączy, znanych nam z innych części Europy. Nie zrobisz sobie wśród nich zabójczych zdjęć. Na jałowej, suchej ziemi rośliny rosną najwyżej do wysokości kolan. Winorośle prowadzi się tak nisko z powodu silnych na wyspie wiatrów i braku nawadniania. Wilgoć czerpią głównie z morskiej



bryzy i porannej rosy. Dlatego zbiory są niewielkie, zaledwie 3,5 tys. kg/ha.

Licząca 3,5 ha farma składa się z parceli należącej do rodziny Nikosa i ziemi wydzierzawionej od klasztoru Panagia Tourliani w Ano Mera. Zakonnicy uprawiali tu winogrona w XIX w., ale lata temu zarzucili to wymagające wiele trudu i potu zajęcie. Nikos wskrzesił dawną winnicę, uratował, co się dało i posadził nowe krzewy. Podlewał winorośl przez trzy lata i czekał przez kolejne dwa, aż będzie mógł wyprodukować swoje pierwsze wino. Uprawia ją zgodnie z zasadami ekologii: żadnych środków chemicznych, maszyn, spalin i nawozów. Za kosiarkę i dostawcę naturalnego nawozu robią zwierzęta gospodarskie – osioł, owca, kilka kóz, kury i indyki, które swobodnie wędrują po całej winnicy. Naturalny nawóz użyźnia także ogród warzywny, skąd pochodzą serwowane w tawernie warzywa.

Do tego przez głośniki zainstalowane w całej winnicy Nikos puszcza swoim winoroślom... Mozarta. Twierdzi, że utwory muzyki klasycznej bardzo pozytywnie nastrajają rośliny, a owoce stają się jędrne i szybciej rosną. Grek postawił na tradycyjne, endemiczne szczepy z regionu Morza Egejskiego: assyrtiko, athiri, malagouzie, aegianitis i mandilarie. Czerwone wino z tego ostatniego szczepu pochodzącego z Krety szczególnie przypadło nam do gustu. Szczep jest dość delikatny i nietłwy w uprawie, jednak aromaty czereśni, malin, śliwek wartę są wszelkiego trudu. Agdy Dymitra przynosi nam kolejną karafkę, tym razem czerwonego wina, własne sery i wędzone w rozmarynie i tymianku w opalanym drewnem piecu, kolejne wędliny – nie chcemy opuścić tego miejsca.

WYSPA TYSIĄCA CERKWI

Kościół Panagia Paraportiani w stolicy wyspy Mykonos to najsłynniejsza i najczęściej fotografowana grecka świątynia. Nic

dziwnego. Bielona cerkiew stojąca tuż nad brzegiem turkusowego morza to niezwykle malownicza kompozycja. Kościół jest też zaliczany do najważniejszych obiektów sakralnych w basenie Morza Egejskiego. Jego nazwa oznacza po grecku Matka Boża z Bramy Bocznej, ponieważ najstarsze wejście do niej zostało odnalezione podczas badań archeologicznych w bocznej ścianie. W rzeczywistości obiekt składa się z kilku cerkwi, które przez wieki zostały połączone i przykryte jedną kopułą. Najstarsza część pochodzi z XV w.

Na maleńkiej Mykonos, której powierzchnia liczy zaledwie 86 km², cerkwie znajdują się niemal na każdym kroku. Najczęściej to przydomowe, niewielkie obiekty. Prawie na wyłączność. Dla rodziny i sąsiadów. Czasem stoją w przysłowiowym szczerym polu, otoczone przez skaliste góry oraz pasące się owce i osły. Tylko w stolicy wyspy Chorse jest ich ok. 60. A na całej wyspie co najmniej kilkaset, do tego należy dodać niezliczone kaplice. To oznacza, że przy 10-tys. populacji Mykonos na każdą ze świątyń przypada najwyżej kilkunastu wiernych kościoła prawosławnego.

Nawet my „dostaliśmy” na czas pobytu na wyspie swoją małą cerkiew. Spimy w dawnym domu biskupa Mykonos z 1740 r., w którym urządzono butikowy

hotel z basenem. Do naszego apartamentu przylega mała świątynia, a klucze czekają w recepcji. Cerkwie są też ulubioną sceną fotografów. Właśnie trwa sesja do modowego magazynu z modelkami w roli głównej, które pozują na schodach białej świątyni. Wiatr rozwiewa ich długie kolorowe suknie i roznosi zapach perfum, a w tle widać bezkresny błękit morza. Zaiście, piękna sceneria.

ULUBIONA WYSPA SHOW-BIZNESU

Labirynt wąskich uliczek, białe domy z kolorowymi okiennicami i schodami. I kaskady kwiatów. Ta bajkowa sceneria to znak rozpoznawczy stolicy Mykonos. Jest niczym perelka na suchej, kamienistej, jałowej wyspie, której nazwa oznacza... stertę kamieni. I tak w istocie wygląda ta wyspa. Ale sama Chora to jedna z najpiękniejszych osad na Cykladach, która o tytuł miss piękności ściga się z Oia na Santorynie, choć i na innych wyspach archipelagu nie brakuje kandydatek. Zresztą biała cykladzka zabudowa jest unikatem na skalę światową. Piętrowe budynki o kubikowym kształcie usytuowane wzdłuż krętych uliczek w istocie są urzekające. Piętra domów, do których wchodzi się po zewnętrznych drewnianych schodach, do dzisiaj pełnią funkcję mieszkalną. Z kolei na parterach, które kiedyś były pomieszczeniami gospodarczymi, warsztatami, tawernami, dzisiaj rozgościły się liczne sklepy, butiki, także światowych marek, oraz bary i restauracje. Gęsta, ciasna zabudowa chroniąca przed słońcem i wiatrem tworzy istny labirynt, w którym łatwo można się zgubić. Taki też był jej pierwotny cel: miała chronić mieszkańców i dać im czas na ucieczkę przed piratami, którzy gubili się w płataninie uliczek.

Poza pięknymi, ukrytymi w zatoczkach plażami to właśnie uroda Chory przyciąga tłumy turystów na malutką wyspę na Morzu Egejskim. Mykonos





szczególnie upodobali sobie celebryci, gwiazdy show-biznesu i osoby LGBT+, którzy wypromowali to miejsce. Do tego stopnia, że w sezonie na wyspie liczącej niewiele ponad 10 tys. mieszkańców każdego dnia przebywa ok. 100 tys. turystów. Wieczorami jest tu naprawdę ciasno. Zdają sobie z tego sprawę restauratorzy, którzy windują ceny gastronomii. Jeśli chcecie obejrzeć zachód słońca w przy stoliku z winem czy drinkiem, musicie głębiej sięgnąć do kieszeni. W barze nad samym morzem 15–20 euro za kieliszek to norma.

Jedynie koty żyją tu luksusowo i za darmo. Grecy mają ogromną słabość do tych zwierząt. Kolorowe, smukłe koty są wszędzie. Leżą na murkach, schodach, łodziach w porcie i oczywiście bez pytania wchodzą do hotelowych pokoi. Wszędzie stoją pojemniki z wodą i kocią karmą; widać, że zwierzęta są zadbane i zdrowe. Taki koci raj.

MELTEMI, PELIKAN I PERDIKA

Na Mykonos fascynującym zjawiskiem jest meltemi. Nazwa tego legendarnego greckiego wiatru brzmi romantycznie i pięknie rozwiewa włosy. Alergiczność jest taka, że ten suchy wiatr wiejący na Morzu Egejskim z północy od maja do października potrafi zmiatać statki i zalewać wybrzeża. Na Mykonos bywa wyjątkowo wietrznie, a fale obmywają nadbrzeżne kamieniczki, a nawet balkony na piętrach. Jednak Grecy czekają na meltemi, które daje wytchnienie od męczących upałów, napędza niezliczone wiatraki i roznosi zapach ziół. Przed silnym wiatrem umyka za to pelikan Petros, który lubi się schronić na starówce lub w porcie. Oswojony ptak stał się atrakcją całej wyspy. Co ciekawe, to już drugi osobnik, który populił ludzi. Pierwszy Petros podbił serca Greków i turystów już pół wieku temu. Ogromny ptak chętnie odwiedza rybaków, którzy właśnie schronili swe łodzie przed sztormem. Na stojących w porcie ogrom-

nych stołach wykładają ryby, patroszą i przygotowują kolację.

– Dzisiaj był dobry połów. Zapraszamy do tawerny na grillowane labraksy i dorady – zaczyna nas Giannis Kounelas, rybak i zarazem właściciel pobliskiej restauracji. – Jem ryby od pięciu dni i chętnie zjadłbym coś innego – odpowiadam. – A, to zapraszamy na przepyszne danie z perdiki do naszych sąsiadów – ciągnie z uśmiechem. – Perdika? A cóż to za danie? – dopytuję. – To nasz lokalny ptak, taki bażant – odpowiada rozbawiony restaurator. Sprawdzam potem w internecie. To nie bażant, lecz tutejszy gatunek kuropatwy.

Wieczorem zamawiam w knajpcie gulasz z perdiki podawany z opiekanymi warzywami. Mało efektowne, ale pyszne danie.

W porcie codziennie rano oprócz rybaków spotykamy okolicznych rolników, którzy przywożą na minitarg arbuzy, cukinie, granaty, paprykę, pomidory oraz inne warzywa i owoce. Kupujemy worki tutejszych suszonych ziół – oregano i bazylię. Ich intensywny aromat długo będzie przypominał grecką wyprawę.

RAJSKIE PLAŻE I POGODA DLA BOGACZY

Mykonos słynie też ze swych pięknych i czasem rozpustnych plaż. Tych piaszczystych jest niewiele i wszędzie trzeba dojechać. Niestety jest też drogo: 30–40 euro za dwa leżaki to norma, ale w niektórych miejscach opłata wynosi nawet 100 euro za dzień. Zwiedzamy wszystkie, także te najbardziej luksusowe – wiadomo, dziennikarska ciekawość. Jednak gdy przyjeżdżamy na Playa Paradise, gdzie bywalcy zaczynają dzień od butelki szampana, cennik nas przeraża. Na szczęście obsługa widzi, że dziś z powodu silnego wiatru nie

będzie wielu chętnych do plażowania.

– Jeśli oprócz leżaków i parasola zamówicie potrawę z naszej kuchni, to płacicie dziś jedną czwartą ceny za miejscówki – zagaja kelner. – Czyli ile? – Tylko 25 euro. Za dwie osoby to jest naprawdę ok. A moja żona, onieśmielona cenami, już chciała zająć bezpłatne miejsce na skałach, między plotem płatnej plaży a kublami na śmieci. Jednak bierzemy leżaki z parasolem. Uff!

Paradise Club to prawdziwe targowisko próżności. W sezonie codziennie grają tu znani didżeje, a impreza właściwie nigdy się nie kończy. Niemrawo jest tylko między bladym świtem a południem. Już po godz. 12 goście tańczą w strojach kąpielowych. Kilka pań w bikini przysięga na stołach w barze. Jest dużo ochroniarzy i beach-boyów, więc jest kulturalnie. Nikt nikogo nie zaczepia, nikt nic natrętnie nie oferuje. Ciągłe strzelają korki od szampana, kolorowe drinki leją się strumieniami. Sporo tu par jedнопłciowych, większość gości jest w średnim wieku i zapewne z zasobnym portfelem. Jedynie dziewczyny dużo młodsze od panów. Jest też trochę banalnej młodzieży, która chce posłuchać głośniejszej i modnej muzyki. W porze obiadu pojawiają się znani aktorzy, modelki i inni celebryci. Kuchnia w plażowej tawernie także dla bogaczy – dania z owoców morza i wykwintne przekąski. Jest drogo, ale bardzo smacznie. Jem jagnięce kotleciki w ziołach z grilla, a żona swoje ulubione krewetki. Wokół nas kręcą się kolorowe pawie, które też chciałyby skubnąć odrobinę luksusu. Skąd, u licha, wzięły się pawie na plaży? – Żyją na wydmach i zakładają tu gniazda – wyjaśnia barman, nalewając nam kolejną karafkę białego schłodzonego wina. Widziałem kątem oka butelkę, z której nalewał „wino domu”. Tani, stołowy trunek podany w takich okolicznościach przyrody też smakuje luksusowo. ▀

Wielka woda i przyroda

Powódź, która ostatnio przetoczyła się przez nasz kraj, to tragedia ludzi. Trudno patrzeć na nią z innej strony. Czasem jednak trzeba zwrócić uwagę na inne aspekty. Np. jak powódź wpływa na przyrodę. Bo to, co wpływa na przyrodę, wpływa też na ludzi. I stawia przed nami nowe zadania



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Powodzie są zjawiskami od zawsze występującymi w przyrodzie. Również zalewające rozległe tereny. Istnieją obszary, które są przystosowane do takich zjawisk i którym zalanie nie tylko nie szkodzi, lecz które muszą być regularnie zalewane.

Jednym z klasycznych przykładów w odleglejszych rejonach świata jest południowoamerykańska równina Pantanal. Rzeka Paragwaj co roku zalewa na pograniczu paragwajsko-boliwijsko-brazylijskim teren wielkości dwóch trzecich powierzchni Polski. Zamienia się ona w kilkumetrowej głębokości jezioro, a warunki funkcjonowania różnych organizmów zmieniają się diametralnie. Za jakiś czas woda zaczyna opadać, a jezioro staje się dla odmiany coraz suchszą równiną. W końcu woda znika, zastępowana przez trawy.

Dla miejsc takich jak Pantanal groźny jest brak zalania. Takie anomalie miały miejsce niedawno. Skutkowało to pożarami. Wprawdzie regularnie zdarzają się one w okresie suchym, tym razem jednak przybrały zdecydowanie większą skalę.

Podobnie wygląda to w delcie afrykańskiej rzeki Okavango. Tam również pokrywanie przez wodę rozległych obszarów, czasem nieprzewidywalnie wielkich, jest warunkiem trwania różnorodności życia. Zagrożeniem dla

przyrody jest natomiast plan budowy tamy, który mógłby ograniczyć lub całkiem zakończyć coroczne, niekontrolowane wylewy.

Wylewy w cyklu corocznym lub kilkuletnim są stałym i w ogólnym rozrachunku korzystnym elementem przyrodniczym również w naszej strefie klimatycznej. Tak jest np. nad dolnym Dunajem, a na mniejszą skalę także w Polsce na terenach nadrzecznych, gdzie naturalnym zbiorowiskiem są lasy łęgowe, niektóre rodzaje torfowisk czy łąk, czerpiące korzyści z okresowego zalania się pod wodą.

MIGRACJE I INWAZJE

Czy pośród zniszczeń i tragedii również w Polsce można spróbować dostrzec zjawiska, które, zaistniałe na skutek ostatniej powodzi, mogą nieść ze sobą pozytywne skutki dla środowiska przyrodniczego?

Nie mają one skali porównywalnej do wspomnianych zjawisk zachodzących w Ameryce Południowej czy Afryce, są jednak obecne. I od zawsze były elementem naszego ekosystemu.

Rozlewając się szeroko, wody powodziowe docierają do bliższych i odległych zbiorników, starorzeczy i oczek wodnych. Wraz z wodą przemieszcza się wiele organizmów. Do takich miejsc organizmy niepotrafiące poruszać się po lądzie docierają na kilka sposobów, np. przenoszone przez ptaki. Tak do oddalonych, niemających połączenia zbiorników dociera ikra ryb, przyklejona do ptaków wodnych. W ten sposób przenoszą się też niektóre małże. Zaobserwowano, że zdarza się, iż mały małż

zamknie swoją muszlę, zatraskując ją na piórach ptaka żerującego w wodzie, opuszczając ten środek transportu w innym miejscu.

Wiele organizmów, już niekoniecznie małych, przedostaje się do nowych zbiorników bezpośrednio, płynąc wraz z wodami powodziowymi. To kolejny z mechanizmów rozprzestrzeniania się życia. Odbijająca się na różne sposoby migracja jest warunkiem jego trwania. W ten sposób podróżują organizmy z wszystkich grup systematycznych, nie tylko zwierzęta.

Takie migracje nie zawsze są zjawiskiem korzystnym przyrodniczo. Jeżeli w ten sposób do starorzeczka dostanie się np. nowa populacja ślimaków zatoczków rogowych, jest to zjawisko naturalne czy też nawet prawidłowe – w inny sposób te wodne ślimaki nie przebyłyby nawet niewielkiej odległości, która nie byłaby środowiskiem wodnym. Jeżeli jednak powódź wypłucze stawy wraz z hodowanymi w nich rybami, może to stanowić problem dla ekosystemu. Wówczas do miejscowego systemu wodnego dostają się bowiem hodowlane gatunki ryb, które nie zawsze są rodzime. Stanowiąc konkurencję dla gatunków miejscowych, wypierając je z ich siedlisk, konkurując o pokarm, zjadając ich ikrę zagrażają utrzymaniu różnorodności gatunkowej. Mogą również przenosić choroby i pasożyty, w tym nowe, niekiedy groźne rodzaje, do których gatunki rodzime nie są przystosowane. Tak m.in. do rzek i strumieni przedostają się amerykańskie pstrągi tęczowe, wypierające i tak zagrożoną naszą populację pstrągów potokowych.

Wraz z powodzią przenoszą się również obce, inwazyjne gatunki roślin. Nieprzypadkowo niecierpki himalajskie, nawłóć kanadyjska, winobluszcz zaroślowy czy rdestowce – wszystko to gatunki obce naszej florze, mające zdolności do eksplozywnego zajmowania terenów i zagłuszania innych roślin – występują najliczniej właśnie nad brzegami rzek.

Dla przeciwwagi – z korzystnych zjawisk powodowanych nie tylko przez powódzie, lecz także przez wezbrania czy też w ogóle wodę podnoszącą się ponad zwykły poziom, można wskazać na siedliskotwórczą rolę wylewów, podczas których powstają siedliska klasyfikowane jako „zalewane muliste brzegi rzek” – na tyle rzadkie i cenne, że chronione w skali całej UE. Istnieje wiele gatunków roślin, w tym taksonów rzadkich, które są związane tylko z takimi miejscami, często zalewanymi i pokrywanymi warstwą mułu.

Do takich siedlisk należą również tak często wspomniane przeze mnie lasy łęgowe. Jeżeli nie są zalewane przynajmniej raz na kilka lat, z łęgów stają się grądami. Stopniowo przesycają, wiąży i jesiony są zastępowane lipami i dębami, aż w końcu łęg znika wraz ze wszystkimi organizmami, które były z nim związane. Przyroda staje się uboższa.

NIESELEKTYWNOŚĆ

Jedną z cech wielkiej wody jest jednak jej nieselektywność. Nie zalewa ona tylko brzegów rzek i łęgów, lecz także inne siedliska, chociażby wspomniane lasy grądowe, dąbrowy, sośniny i inne, które nie tylko nie potrzebują zakrycia wodą – takie zjawisko jest dla nich katastrofą, ich korzenie nie wytrzymują bowiem dłuższego okresu przebywania pod wodą.

Nieselektywność jest groźna zwłaszcza wtedy, kiedy przetacza się przez tereny zagospodarowane albo w jakiś sposób naznaczone negatywnymi konsekwencjami gospodarki. Woda wymywa wszystko, co napotka. Niekiedy czyta się o odnajdywanych porzuconych beczkach z niebezpiecznymi chemika-

liami, z których wysąca się ich trująca zawartość. Niezależnie od ilości i zagrożenia, które wówczas powstaje, skala takich zjawisk jest nieporównywalnie mała w zestawieniu z powodzią, która przepłynie przez miasta, składowiska odpadów, magazyny środków do utrzy-

Jeżeli powódź wypłucze stawy wraz z hodowanymi w nich rybami, do miejscowego systemu wodnego dostają się gatunki ryb, które nie zawsze są rodzime, a przez to groźne dla ekosystemu

mywania dróg, parkingi pełne samochodów, centra handlowe itd. W każdym z takich miejsc ilość niebezpiecznych chemikaliów wielokrotnie przekracza to, co mogłoby być zneutralizowane przez środowisko. Zalanie jednej stacji benzynowej to w przypadku powodzi zagrożenie ekologiczne dla zadziwiająco dużego obszaru – chodzi nie tylko o paliwa i inne substancje zmagazynowane w planowy sposób, lecz także zanieczyszczenia latami gromadzące się w glebie. Jeżeli teren jest użytkowany jako stacja paliw przez długi czas, to to, co wsiąkło w grunt, nie mieści się w jakiegokolwiek skali, a podczas powodzi jest uwalniane i rozprzestrzeniane w nagły, całkowicie niekontrolowany sposób.

Zjawiskiem powodującym istotne szkody przyrodnicze jest zmywanie przez

deszcze nawozów, środków ochrony roślin itp. z terenów rolnych. Nie tylko zanieczyszcza to wody, lecz także je eutrofizuje, sprawiając, że zamieniają się w zawierającą coraz mniej tlenu breję. W normalnych warunkach, czyli bez powodzi, na terenach o intensywniejszej gospodarce rolnej to zjawisko jest wyraźnie zauważalne. Podczas powodzi ma charakter katastrofalny.

Oddziaływanie powodzi, zwłaszcza tak potężnych, odznacza się w każdym wymiarze przyrody. Lokalnym, kiedy zalewa miejsca występowania gatunków na to nieprzygotowanych. Znacznie szerszym, kiedy niszczy rozległe powierzchnie lasów. Może polegać na najprostszym oddziaływaniu fizycznym i odcięciu dostępu powietrza. Rozmiary takich zjawisk są jednak nieporównywalnie małe w zestawieniu ze skalą zniszczeń powodowanych przez wszystkie możliwe zanieczyszczenia, które wraz z wodą rozprzestrzeniły się po bardzo rozległych terenach. To tak, jakby porównać ciężarówkę ziemi wysypianej w przypadkowym miejscu i niszczącej to, co się pod nią znajduje, z cysternami niebezpiecznych związków chemicznych rozlanych bez kontroli po okolicy. Pamięając, że w przypadku powodzi tych rozmiarów trudno byłoby nawet w przybliżeniu określić liczbę tych cystern ani w żaden sposób ustalić ich zawartości poza stwierdzeniem, że żadna z tych substancji nie powinna być w żaden sposób rozprzestrzeniana w środowisku.

Ich usunięcie i zneutralizowanie, aby choć w części zmniejszyć zasięg katastrofalnych zdarzeń, będzie wyzwaniem na wiele kolejnych lat – i dla ludzi, i dla systemu przyrodniczego. ▀



Czy polskie środowisko rybackie jest rozgrywane przez zagraniczne lobby?

Czasem trudno jest się zorientować, co faktycznie leży w interesie narodowym, zwłaszcza gdy w grę wchodzi skomplikowane relacje gospodarcze. W ostatnich latach narasta spór między dwoma segmentami polskiego rybołówstwa: bałtyckim i dalekomorskim. Zastanówmy się jednak, czy polski interes leży tylko na Bałtyku, czy może także na dalekich wodach Atlantyku i Pacyfiku? I czy wbijanie klina między oba segmenty polskiej floty rybackiej nie jest przypadkiem działaniem na rzecz zagranicznej konkurencji?

Sedno problemu bierze się z żądań armatorów zrzeszonych w Organizacji Producentów Ryb „Bałtyk” z Kołobrzegu. Domagają się oni zwiększenia kwot połowowych na Bałtyku kosztem rybołówstwa dalekomorskiego. Podstawą ich argumentacji jest trudna sytuacja floty bałtyckiej oraz rzekoma wysoka rentowność sektora dalekomorskiego.

SEKTOR DALEKOMORSKI

Korzenie rybołówstwa dalekomorskiego w Polsce sięgają jeszcze II RP, kiedy polskie kutry operowały z Holandii. Po II wojnie światowej i w czasach PRL sektor ten był domeną państwowych firm, ale po 1989 r. państwowa flota przeszła trans-

formację z gospodarki planowanej na rynkową. Dziś rybołówstwo dalekomorskie prowadzą głównie dwie firmy: Arctic Navigations i Atlantex, które operują na wodach północnego Atlantyku, południowego Pacyfiku i u brzegów Afryki Zachodniej. W odróżnieniu od floty bałtyckiej ich działalność jest prowadzona bez wsparcia funduszy publicznych.

Należy również zaznaczyć, że obecność polskiej floty dalekomorskiej w międzynarodowym rybołówstwie sprzyja zaopatrzeniu krajowego przetwórstwa, które rocznie przetwarza ok. 650 tys. t ryb. Polska odgrywa także rolę istotnego hubu logistycznego w transporcie produktów rybołówstwa. Trudno sobie wyobrazić, by było to możliwe przy zamknięciu polskich granic na

współpracę międzynarodową. Połowy dalekomorskie mają także istotne znaczenie nie tylko dla gospodarki, lecz także dla naszej pozycji na arenie międzynarodowej. Dzięki uczestnictwu w międzynarodowych organizacjach zarządzających rybołówstwem Polska utrzymuje status odpowiedzialnego partnera w globalnym zarządzaniu rybołówstwem. Wielkość połowów na otwartych wodach oceanicznych wzmacnia również naszą obecność na rynkach międzynarodowych oraz wpływa na wysokość przyznawanych Polsce środków z funduszy UE. Co ciekawe, ich część trafia do bałtyckich rybaków, co tworzy subtelną współzależność między obiema flotami.

PROBLEMY RYBOŁÓWSTWA BAŁTYCKIEGO

Tymczasem flota bałtycka jest systematycznie redukowana. W latach 2004–2023 jej zdolność połowowa zmniejszyła się o 60 proc., a w 2023 r. odłowiono najmniej ryb od 1965 r. Spadek połowów jest związany nie tylko z naturalnymi problemami ekosystemu Bałtyku (niskie zasolenie, eutrofizacja), lecz także z decyzjami podejmowanymi na szczeblu unijnym, które ograniczają kwoty połowowe.

Jednym z głównych argumentów przedstawianych przez armatorów bałtyckich jest potrzeba zwiększenia kwot połowowych, by mogli łowić więcej szprota

i śledzia. Jednakże problemem na Bałtyku jest obecność dużych statków paszowych, które intensywnie poławiają szprota, co wpływa na wyczerpywanie zasobów, również tych w przyłowie (np. dorsz). Armatorzy bałtyccy twierdzą, że odebranie kwot połowowych sektorowi dalekomorskiemu i wymiana ich na kwoty bałtyckie przyniosłoby im korzyści. Jednak w kontekście szybkiej degradacji zasobów bałtyckich i stałego ograniczania liczby jednostek rybackich na tym akwenie, trudno dostrzec, jak miałoby to poprawić sytuację polskich armatorów na Bałtyku.

Dodatkowo zmniejszanie się unijnych kwot połowowych, np. szprota (które mają spaść z 201 tys. do 117 tys. ton w 2025 r.), sprawia, że nawet gdyby Polacy otrzymali więcej kwot, zyski byłyby ograniczone. Tymczasem koszty wynikające z naruszenia stabilności prawa, jakie poniosłaby Polska, oddając cenne kwoty połowowe w rybołówstwie dalekomorskim, byłyby niepowetowane i co gorsza – nieodwracalne, gdyż nasz kraj po prostu przestałby się liczyć jako poważny użytkownik łowisk oceanicznych.

KONKURENCJA MIĘDZYNARODOWA

W tle sporu o kwoty połowowe jest także konkurencja, szczególnie ze strony Danii, która dąży do wzmocnienia swojej obecności na Morzu Północnym kosztem kwot bałtyckich, których wartość ekonomiczna jest nieporównywalnie niższa. Dania podobnie jak Polska widzi przyszłość w połowach dalekomorskich, dlatego chętnie oddałaby kwoty bałtyckie w zamian za większe możliwości połowowe na otwartych wodach. Istnieje zatem niebezpieczeństwo, że przekazanie polskich kwot dalekomorskich Duńczykom osłabiłoby pozycję Polski na arenie międzynarodowej i wzmocniło zagraniczną konkurencję. Nasuwa się też pytanie, dlaczego Duńczykom tak bardzo zależy na zamiast łowisk bałtyckich na łowiska dalekomorskie. Czyżby nie potrafili rozpoznać tego, co się bardziej opłaca?

DOPLATY I WSPARCIE DLA RYBOŁÓWSTWA BAŁTYCKIEGO

Od 2004 r. rybołówstwo bałtyckie otrzymało ok. 2 mld zł dopłat z funduszy unij-

nych. Te pieniądze były przeznaczone na różne cele, w tym złomowanie kutrów, tymczasowe zaprzestanie połowów oraz dywersyfikację działalności. Mimo to sytuacja floty bałtyckiej się nie poprawiła. Dodatkowo mniejsze jednostki łowiące na Bałtyku nie są przystosowane do połowów na dalszych wodach, co sprawia, że przekazanie kwot połowowych z floty dalekomorskiej do bałtyckiej niewiele by zmieniło. Trzeba też zauważyć, że wciąż zachęca się rybaków bałtyckich i ich organizacje, by starali się przekwalifikować za sowe dopłaty (nawet 500 tys. zł na beneficjenta). Poza tym rybakom przysługuje również średnio ok. 200 tys. zł na osobę z tytułu utraty miejsca pracy na statku. Ostatni program złomowania zakończył się złożeniem wniosków o kolejną redukcję floty bałtyckiej, tym razem aż o 200 kutrów. Oznacza to, że i bez zwiększania kwot połowowych armatorzy, którzy pozostaną na Bałtyku, będą mogli odłowić więcej. Tort po prostu będzie dzielony przez mniejszą liczbę jednostek.

DORSZ A SZPROT

Jednym z kluczowych problemów dotyczących bałtyckich rybaków jest kwestia dramatycznego spadku zasobów dorsza. Jeszcze kilkanaście lat temu ta ryba stanowiła istotną część połowów, a jej wartość gospodarcza była kluczowa dla wielu lokalnych społeczności. Jednak ze względu na katastrofalny stan populacji na skutek zarówno nadmiernych połowów, w tym paszowych, jak i zmian środowiskowych, UE wprowadziła rygorystyczne ograniczenia połowów dorsza, co wywołało kryzys wśród tych rybaków, którzy na nim opierali dochody.

Odpowiedzią części środowiska rybackiego, poprzednio zależnego od połowów dorsza, było przekwalifikowanie jednostek do połowów szprota i śledzia, których zasoby na Bałtyku są stosunkowo stabilne. Kwota szprota stała się niejako „walutą zastępczą” dla rybaków, którzy próbują utrzymać swoje firmy. Niemniej jak zauważają analitycy przejście kwot szprota przez tych, którzy wcześniej łowili dorsza, nie rozwiązuje ich problemów. Po pierwsze, połowy szprota wymagają innych zasobów i sprzętu niż dorsza, a po drugie, rynek na konsumpcję tej ryby w Polsce jest ograniczony.

Większość szprota trafia do przemysłu paszowego w Polsce i w Danii, co sprawia, że gatunek ten nie ma takiego znaczenia ekonomicznego dla lokalnych społeczności jak dawniej dorsz.

W rezultacie choć postulaty związane z przejściem kwot połowowych szprota mogą wydawać się logiczne z perspektywy krótkoterminowej, nie stanowią one długofalowego rozwiązania kryzysu rybołówstwa na Bałtyku, który w głównej mierze dotyka właśnie tych rybaków, którzy specjalizowali się w połowach dorsza. Sytuacja wymaga bardziej złożonego podejścia, które uwzględniłoby realne potrzeby bałtyckich rybaków, stan ekosystemu Bałtyku oraz specyfikę międzynarodowej konkurencji. Obecna sytuacja, w której grupa bałtyckich armatorów domaga się odebrania kwot flocie dalekomorskiej, nie rozwiązuje problemów na Bałtyku.

A MOŻE KRABY?

Tymczasem funkcjonują armatorzy bałtyccy, którzy nie czekając na manę funduszy europejskich, są konstruktywni i szukają alternatywnych łowisk poza Bałtykiem. Pokazuje to, że polscy rybacy – niezależnie od segmentu floty – mogą sukcesywnie rozwijać swoje firmy bez tworzenia antagonizmów. Dobrym przykładem jest jeden z armatorów bałtyckich, który od ponad sześciu lat łowi kraby na Morzu Północnym w ilości ok. 200–400 t rocznie. To wysokiej jakości produkt eksportowany m.in. do Chin. Sukces polskiej firmy na tym niszowym, ale ekskluzywnym rynku pokazuje, że polscy rybacy nie są skazani tylko na Morze Bałtyckie.

* * *

Problemy sektora bałtyckiego nie rozwiąże odebranie kwot dalekomorskich, a raczej bardziej efektywne wykorzystanie dotychczasowych funduszy i rozwój zrównoważonego rybołówstwa (w tym nowego rybołówstwa poza Bałtykiem) wykorzystującego nowe technologie i strategię zarządzania. A właściciele małych łódek, które widują, spacerując brzegiem morza? Oni poławiają tak małe ilości ryb, że ten spór w ogóle ich nie dotyczy.

Bartosz Żyćński



KRZYSZOF DZIERMA AKTOR, MUZYK

Od sie do sie

Wokolicy chyba jestem ostatni, który uprawia swoje warzywa. Teraz przerabiałem dynie. Zrobiłem 8 litrowych słoików w słodko-kwaśnej zalewie. Bo co zrobić z dyni? Żona lubi gotować zupę, więc zostawiłem trochę do przechowania.

Po ostatnich deszczach zobaczę, co słychać w lesie. Mało było u nas grzybów, ale ja uprawiam też boczniki na białych [opakowanie zawierające sadzonki – przyp. red.]. Kupuję je w sklepie ogrodniczym, nakłuwam i momentalnie rosną. Boczniki można jeść pod każdą postacią, np. panierować jak kanie. Ostatnio zrobiłem sobie całą patelnię – z czosnkiem, cebulą i ostrą papryką. Na oleju, tylko nie za dużo, żeby nie wchłaniały za dużo tego tłuszczu, bo wtedy robią się gumowate. Kiedyś, jak gotowałem żurek, też naciąłem trochę boczników i dodałem do zupy zamiast innych grzybów. I cały czas staram się robić przetwory – z tego, co wyhoduję. Mam pewność, że tu nie ma żadnej chemii.

Jak chcę ugotować zupę, idę do ogrodu, wyciągnę tyle marchewki, ile potrzebuję, pietruszkę, jakiś seler i co się jeszcze przyda. Poza tym cały czas trzeba mieć zajęcie. I ruch. Przede wszystkim ruch. Nie mówię tu o uprawianiu sportu, bo od tego jestem daleki, ale koło domu mam prawie hektar i muszę go obrobić, skosić. I nie jeżdżę sobie na traktorku,

tylko chodzę za kosiarką. A od rzeki jest taki teren, że tylko brać kosę i – jak to mówią u nas – „od sie do sie”, bo tam niczym innym nie dam rady.

Mam też trochę swojego lasu, więc cały czas jest co robić. Nawet jak zima przyjdzie. Mam kawał drogi do odśnieżenia. To lepsze od siłowni, w której nie spędziłem ani godziny. Nie potrzebuję.

Jak ks. Antoni z cyklu o Królowym Moście lubię gospodarować. I własną uwędzić kielbasę, i zapłacić spiżarnię. W tym roku ogórków wystarczyło i na kiszzone, i marynowane, i pikłe, i sałatki z przecierem pomidorowym. Samych przecierów porobiłem dużo. Te pomidory jadło się też na bieżąco. Cebulę, czosnek i kapustę już zwiózłem. Kapustę sam kiszę.

Mam wędzarnię, letnią kuchnię i dwie piwnice: jedną pod domem, a drugą na zewnątrz. Kiedyś to u nas nazywali sklep – od sklepienia. To taka niby ziemianka i tam trzymam wszystko, co zniosę z ogrodu. Dobrze się to przechowuje. Jeszcze tylko resztę trzeba z ziemi wyjąć: marchew, pietruszkę, seler, porę.

Pomidory hoduję w szklarni. Lubię bawole serca i cornabele – takie czerwone, podłużne, wyglądają jak papryki – a także malinówkę. W przyszłym roku wysadzę do gruntu koktajlowe.

Jeśli chodzi o gotowanie, nie jestem wybredny. Lubię kuchnię polską, tradycyjną, aby była treściwa. U mnie jak

Przepis na sycącą grochówkę

- Cały groch moczymy przynajmniej parę godzin (połówek nie trzeba moczyć).
- Bierzymy garnek z dobrym dnem. Lejemy trochę oliwy i pokrojoną w kostkę kielbasę, ewentualnie wędzony boczek.
- Podsmażamy z pokrojoną cebulą. Dolewamy wodę i podgotowujemy.
- Dodajemy wędzonkę (np. z żeberka lub mostka), wrzucamy liść laurowy, ziele angielskie, owoc jałowca i trochę nasion kolendry (jak ktoś lubi).
- Gotujemy wywar. Dodajemy startą: marchew, pietruszkę i seler.
- Jak warzywa będą miękkie, dorzucamy groch i pokrojone w kostkę ziemniaki.
- Doprawiamy do smaku solą, pieprzem, ewentualnie vegetą, na koniec sypiemy suszony majeranek (groch i fasola potrzebują majeranku). I zjadamy.



zjedzą zupę, to jest taka sycąca, że już nie chcą drugiego dania.

Dużo potraw wekuję, bo codziennie przecież nie będę stać przy kuchni. Gotuję na płycie, na piecu. Same plusy, bo jest też ogrzewanie. Bigosu nie robię, ale kapustę z grzybami i mięsem już tak. Kiedy przyjdą chłody, będzie czas na kapuśniaki i grochówkę.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**



SŁODKO-SŁONY

Smak kakao

ANNA MONICKA

Dobrym jesiennym przyjacielem jest kakao. Ale nie pierwsze lepsze. Na pewno nie takie, jakie w supermarketach wciska się dzieciom – wystarczy spojrzeć na skład piekielnie słodkiej mieszaniny. Co mamy zazwyczaj na pierwszym miejscu? Cukier. Potem dopiero kakao o obniżonej zawartości tłuszczu, emulgatory, sól i inne cuda. Nawet mleko w proszku.

Tymczasem prawdziwe kakao jest wartością samą w sobie. Tak naprawdę nie potrzebuje dodatków, chociaż rdzenni mieszkańcy Ameryki Łacińskiej doprawiają je chili, cynamonem, kardamonem czy wanilią.

Jakiego płynu użyć najlepiej, żeby zrobić pyszny napój? Wcale nie krowiego mleka. Może być roślinne (kakao doskonale smakuje np. z kokosowym) lub gorącą wodą.

U nas najłatwiej kupić proszek kakaowy (warto szukać takiego z surowych ziaren, ze znaczkami bio), ale można też zdobyć kakao tzw. ceremonialne. Są to delikatnie sfermentowane, zmielone, naturalne (czyli pierwotne, niezmienione przez wieki upraw), pełnotłuste ziarna w formie bloku, który kruszy się na kawałki nożem i dopiero wtedy zalewa płynem. Takiego właśnie kakao używa się podczas spotkań miłośników tego napoju. A dlaczego ludzie się gromadzą, żeby pić kakao? Żeby poprawić sobie humor, nabrać chęci do życia, rozluźnić się, doładować witaminami, których esencjonalny, tłusty napój dostarcza znacznie więcej niż odtłuszczone.

Takie kakao jest otrzymywane z różnych rodzajów kakaowca, za najcenniejsze uchodzą jednak criollo i chuncho. Są doskonałym źródłem magnezu, który świetnie wpływa na układ nerwowy i serce. Tryptofan (jeden z aminokwasów) odpowiada z kolei za produkcję endorfin, czyli hormonów szczęścia. Dzięki niemu mniej się stresujemy i lepiej śpimy. Napój jest bogaty w żelazo, które łagodzi zmęczenie, ma sporo węglowodanów i białka, wapnia, fosforu, cynku, witamin oraz działających przeciwniażdżycowo polifenoli.

Warto przyrządzić go sobie na próbę – zamiast kawy, gdy dopada nas znużenie. Najlepiej w niewielkiej czarce i dobrze utrząść lub roztrzepać elektryczną różgą (taką jak do ubijania mlecznej pianki). Nie trzeba słodzić, tylko spróbować naturalnego smaku. Jest wspaniały, bardzo sycący, pobudza kreatywność. Proszek kakaowy dodany do porannej owsianki z bananem czy daktylami zamieni ją w bombę energetyczną i da nam siły na początek dnia.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Polski ichtiozaur

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Naukowe nazwy łacińskie są dziedziną samą w sobie. Dostarczają informację, krótszą i niekiedy więcej mówiącą od najlepszej definicji, bywają bowiem maksymalnie skróconym bardzo trafnym opisem. Np. czapla złotawa, na naszym kontynencie najliczniej występująca w Hiszpanii, nosi nazwę *Bubulcus ibis*. Istotnie, zgodnie z określeniem *bubulcus* oznaczającym dosłownie „pogańnicza wołów”, najczęściej widuje się ją, jak wędruje za krowami wolno przemieszczającymi się po pastwiskach.

Zasem z kolei samo brzmienie nazwy ma w sobie nieodpartą powabność czegoś zagadkowego, tajemniczy kryjącej się obok nas i czekającej na dostrzeżenie. Tak ma się rzecz z polskim ichtiozaurem. *Ichthyosaura alpestris* to traszka górską występująca m.in. w polskich górach. Jej nazwa rodzajowa jest niemal identyczna z nazwą wielkich, wymarłych gadów morskich i choć nie jest ona gadem, lecz płazem, z jurajskimi drapieżnikami łączy ją jaszczurowaty kształt, związek ze środowiskiem wodnym i polowanie, choć na zdobycz w zupełnie innej skali. Ichtiozaurze nie można odmówić nie tylko zagadkowości, lecz także wprost poetyckości.

Podobnie jest z systematyką przyrodniczą, przenikającą się zresztą z nazewnictwem. Prawda, systematyka nie jest doskonała. Zawiera błędy i uproszczenia – w rzeczywistości skorupiaki mogą nie mieć ze sobą zbyt wiele wspólnego, podobnie jak np. ryby, umownie łączące organizmy spokrewnione ze sobą odległe lub niemal wcale, jak chociażby poskoczki mułowe i rekiny. Jest jednak nie tylko próbą uporządkowania świata, kluczem do ułatwienia ogarnięcia wielkiej różnorodności przyrodniczej, lecz także rodzajem konstrukcji matematycznej lub filozoficznej. Systemem, który pokazuje, jak wygląda przyroda, a także jak my na nią patrzymy.

To dzięki analizie systematyki ornitologicznej możemy dowiedzieć się, że w Polsce żyje przedstawiciel rzędu dzioborozcowe (*Bucerotiformes*), obejmującej gatunki ptaków o wielkich dziobach i dziwacznych obyczajach żyjące na południe od Sahary, w tropikach Azji i Oceanii oraz naszego dudka – zwracającego uwagę nie tylko zresztą upierzeniem, lecz także oryginalną nazwą łacińską: *Upupa epops*.

OGNIEM NA WPROST

Dezerterzy od „Prosiaczka”



Andrzej Rafał Potocki

Rosjanie wstrzymali ukraińską ofensywę pod Kurskiem, jednocześnie nie zwalniając tempa na innych kierunkach frontu. Przeliczyli Ukraińców, ilu ich tam jest. Policzyli, ile sił mogą tam jeszcze rzucić i ile zasobów zużywają na tę operację. Następnie po prostu wypełnili ten kierunek wojskiem do takiego stopnia, że Ukraińcy nie mogli dalej się posuwać. Do tego założyli, że nie będą osłabiać kierunków donieckiego i zaporoskiego, a wręcz przeciwnie. Nacisną bardziej w tych miejscach Ukraińców po to, żeby ta operacja miała jak najmniejszy skutek militarny na tych terenach okupowanych przez Federację Rosyjską – twierdzi ppłk rez. Maciej Korowaj, ekspert portalu defence24.pl. I niestety wygląda na to, że ma rację. Wytracenie tempa natarcia na kierunku kurskim oddało inicjatywę Moskalom, którzy zaczęli odzyskiwać teren. Operacja kurska przejdzie do historii działań nieprzemyślanych, jak desantowa operacja „Market Garden” z września 1944 r. Mogło coś z tego być, bo znakomicie się zaczęło, ale żeby osiągnąć cel, trzeba go mieć. A tu chyba tego zabrakło. Być może w ukraińskim dowództwie nikt nie przypuszczał, że pierwszy atak wejdzie tak łatwo i że ograniczona operacja, mająca na celu zabezpieczenie Sum przed atakiem, stanie przed szansą na przekształcenie w coś większego. Ale potem zabrakło determinacji. Pozostaje tylko obrona zdobytych terenów. Na szczęście niebawem pojawi się na froncie „gen. Rasputica”, czyli po naszymu „gen. Przepastne Błoto”, i w nim cała nadzieja na uratowanie operacji kurskiej.

Z ciekawostek na kierunku kurskim. Kacapy utworzyli „specjalny batalion buriacki”, w którym walczą

obywatele Korei Północnej przysłani przez swojego „ukochanego wodza” o ksywie „Prosiak” (Kim Dzong Un). Miała się pojawić nowa jakość, ale już 18 żołnierzy zdążyło nawiązać z batalionu stacjonującego na granicy obwodów briańskiego i kurskiego. Ucieczka żołnierzy miała miejsce w odległości 7 km od granicy Rosji z Ukrainą. Orientacyjna liczba żołnierzy batalionu – ok. 3 tys. osób. Tyle było dobrego, a teraz najgorsze. Moskalami pod Kurskiem dowodzi gen. płk Siergiej Kuzowlew. Jest dość skromnym generałem jak na warunki moskiewskie, za to bardzo doświadczonym. Jego statystyki wskazują, że nie poniósł on żadnych znaczących porażek od jesieni 2022 r. Ma i brutalnie korzystną z wybitnej intuicji operacyjno-taktycznej. „Gen. Kuzowlew był jednym z pierwszych, którzy szybko przejrzał zamiar Sił Zbrojnych Ukrainy (SZU) i zawczasu sformował oraz wysłał w przelom w kierunku Kurska jednostki, które były w tym czasie reanimowane pod jego okiem w Moskiewskim Okręgu Wojskowym. To one kupiły czas pozostałym rosyjskim siłom pędzącym na złamanie karku do wylomu kurskiego” – uważa wspomniany ppłk rez. Maciej Korowaj. Jednym słowem, Kuzowlew na tle betoniarzy lśni jak gwiazda.

A jak dowództwo po drugiej stronie linii frontu? Otóż w Wuhledarze doszło do gigantycznego skandalu. Broniąca bohatersko tego miasta od dwóch lat 72. Brygada Zmechanizowana w wyniku ciągłych walk została zdzięsiatkowana i zredukowana faktycznie do stanu batalionu. Jej dowódca, który stawiał się przełożonym i krytykował głupie rozkazy, został awansowany na stanowisko, na którym „przesłał przeska-

dzać”. Wreszcie mieli dostać wsparcie ze 123. Brygady Terobrony (tamtejszy WOT) w postaci jednego z batalionów. Ten „nie dotarł na pozycję”, ponieważ żołnierze odmówili w ogóle wyjścia z koszar, a ich dowódca strzelił sobie w łeb. Resztki 72. Brygady mimo braku rozkazu do wycofania się z Wuhledaru na własną rękę ewakuowały się zaś pod ogniem. Tak obecnie dowodzi gen. Aleksander Syrski i jego nominaci. Niestety mimo że od lat mieszka na Ukrainie i służy w ukraińskiej armii, mentalnie jest kacapem i otacza się takimi ludźmi. Wuhledar jest stracony, a Moskałe z narożnika w rejonie Doniecka idą na północny zachód do drogi Kurachowe – Pokrowsk. W połączeniu z natarciem na Filię pozwala im to zająć do końca obszar obwodu donieckiego i w dalszej perspektywie uzyskać podstawę wyjściową do ataku na miasto Dniepr. I to są już ostatnie w tym sezonie operacje bojowe. Kiedy zacznie się rasputica i drogi zamienią się w bagna, fronty staną na kilka tygodni. Do pierwszych mrozów.

Władze Ukrainy przyjęły całkiem ciekawą strategię informacyjną. Prezydent Zelenski deklaruje gotowość do zawieszenia broni i negocjacji, nie rezygnując jednak z żadnego z celów strategicznych wojny, w tym powrotu do granic z 1991 r., co już wyklucza jakiekolwiek negocjacje ze strony rosyjskiej. Dodatkowo moskiewski szef MSZ Siergiej Ławrow już dawno powiedział, że dopóki Ukraińcy są w obwodzie kurskim, negocjacji nie będzie. Ale właśnie o to chodzi. Kijów deklaruje wolę porozumienia. To Moskwa je odrzuca. Społeczeństwo dostaje więc przekaz. Nie chcemy, ale nie mamy wyjścia.

Współpraca: „Skipper”

Michał Korsun prezentuje: *Józefaciuk w Sejmie, czyli poseł z klasą... z podstawówki*



Referencje Shutterstock

Wycinki z przeszłości

W listopadzie 1934 r. „Przegląd Katolicki” w tej komiksowej formie zachęcał mężczyzn, by „szanowali swoje pracowite żony”. Głównym argumentem było wyliczenie „pożytków”, jakie pracowna żona przynosi w ciągu 30 lat. A to m.in. 2400 l konserw i 5950 kg powideł, 29 850 kg ususzonych grzybów, 694 uszytych ubrań i sukien, 180 wytuczonych świń, 2880 wyhodowanych kur i wiele innego dobra.

Dzisiaj świat wygląda inaczej, codzienne życie zasadniczo jest lżejsze, a wyzwania gospodarskie mniejsze niż te, przed którymi stały nasze babcie, ale wysiłek żon nadal wielki i naszym zdaniem wezwania do ich doceniania jak najbardziej pozostaje w mocy.



Z WOLEJA

Heysel, czyli krwawa twarz futbolu

Kreślę te słowa w Brukseli. Tak, w tym samym mieście, w którym doszło do jednej z największych tragedii w dziejach piłki nożnej. Przed finałem Pucharu Europy 29 maja 1985 r. między Juventusem Turyn (z polskim pomocnikiem Zbigniewem Bońkiem w składzie) a FC Liverpool angielscy kibice przeskoczyli niewielkie ogrodzenie oddzielające ich od Włochów. Fani Juve zaczęli uciekać, wzajemnie się tratując.

Na dodatek zawaliła się trzymetrowa ściana, co powiększyło liczbę ofiar. Zginęło 39 osób, a ok. 600(!) zostało rannych.

W Brukseli na stadionie Heysel zaatakowali Anglicy – tyle że był to rewanż za to, co zdarzyło się rok wcześniej. Na rzymskim Stadio Olimpico w finale Pucharu Europy zagrał właśnie Liverpool z miejscową AS Roma. Włoscy tifosi przygotowali się do „meczu po meczu”, ukrywając metalowe pręty w samochodach obok stadionu. Na boisku po rzutach karnych wygrali synowie Albionu, ale w „dogrywce” poza stadionem nie mieli szans ze względu na przewagę liczebną oraz metalowy ekwipunek rzymian. Angole zapowiedzieli rewanż... I to było główną przyczyną tragedii, która przeszła do historii włoskiego futbolu (olbrzymia większość zabitych to obywatele Italii) jako strage dell' Heysel.

Juventus wygrał finał dzięki cudzoziemcom: Polakowi i Francuzowi. Ten pierwszy dał się sfaulować, a rzut karny wykorzystał ten drugi, czyli Michel Platini. Prawdę mówiąc, nie powinno być jedenastki, bo naszego rodaka sfaulowano przed polem karnym, ale w obliczu dramy du Heysel, jak pisały frankofońskie gazety, mało kto to rozstrząsał.

Następnego dnia włoska „La Repubblica” dała tytuł „Masakra na stadionie”, a angielski „Daily Mirror” jeszcze mocniejszy: „Dzień, w którym umarł futbol”. Ambasada brytyjska i konsulaty tego kraju były potem przez parę dni atakowane przez żądnych zemsty Włochów. Po dwóch tygodniach FC Liverpool ogłosił, że wycofuje klub z rozgrywek w europejskich pucharach w kolejnym sezonie. Iron Lady, czyli premier Margaret Thatcher, wymusiła na angielskiej federacji piłkarskiej wycofanie klubów z tego kraju na rok. To z kolei przebiła UEFA, wycofując je na czas nieokreślony.

Tamtego tragicznego stadionu już nie ma. Zburzono go dziesięć lat po Heysel Stadium disaster. Już na nowym Heysel w ramach eliminacji Mistrzostw Europy 18 lat temu Polska ograła Czerwone Diabły, czyli Belgię, 1:0 po bramce Radosława Matusiaka. Pamiętam, bo byłem na tym meczu. „Nowy” Heysel na szczęście nie ma krwawej sławy jak jego poprzednik.



Ryszard Czarnecki

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Techno-naiwność stale groźna

Wielu obywateli oraz dziennikarzy wykazuje zdrową podejrzliwość wobec tego, co komunikują nam politycy. Jednak gdy w grę wchodzi odkrycia naukowe i nowe technologie, często pozostajemy niczym przysłowiowe dzieci we mgle.

„NAUKA”

W dziale „Nauka” „Tygodnika Powszechnego” (2–8 października 2024 r.) ukazał się tekst „Sztuczna inteligencja: czas na decyzje”. To rozmowa, którą Wojciech Brzeziński przeprowadził z Joëlle Pineau, informatyczką i wiceprezeską Meta AI (firma Meta kontroluje m.in. Facebooka, Instagram i WhatsApp).

Już sam lead wprowadzający do rozmowy spowodował, że zaczęliśmy ostrzyżać sobie felietonowe zęby. Oto on: „Potrzebujemy globalnej klasyfikacji zagrożeń związanych ze sztuczną inteligencją i jednolitych sposobów ich mierzenia. Ale rozwiązania prawne musi wypracować całe społeczeństwo”.

W powyższych słowach od razu zwietrzyliśmy poważną manipulację. Czy nasi czytelnicy także to dostrzegają?

Oczywiście przeczytaliśmy cały tekst, by się upewnić, że nasze już od razu nasuwające się zarzuty nie płyną z jakiegoś nieporozumienia lub że wyrastają z naszego krytycznego podejścia do tego, co rewolucja cyfrowa zrobiła i nadal robi z naszą współczesną cywilizacją.

MANIPULACJA PIERWSZA

Faktycznie globalna klasyfikacja zagrożeń przynoszonych przez AI oraz sposobów ich mierzenia bardzo by się przydała, ale przecież cały czas żyjemy w podzielonym świecie. Nie tylko na skonfliktowane ze sobą państwa (tak było od tysiącleci), lecz także – i tutaj Facebook ma nader poważne „osiągnięcia” – w ramach tych państw społeczeństwa zostały mocno spolaryzowane, jak chyba nigdy w historii.



*Pani z Mety nie tylko robi
w trąbę czytelników
„Tygodnika Powszechnego”,
lecz także najprawdopodobniej
jest ofiarą swojej własnej
propagandy*

Tymczasem w wywiadzie nie ma ani śladu pomysłu, w jaki sposób przezwyciężyć ten podział i polaryzację. Dodajmy – dla nieorientowanych – że znaczna część fortuny Facebooka (jak i innych big techów, np. Google’a) bierze się właśnie z podkreślenia owej polaryzacji. A jak w tak podzielonym świecie wypracować globalne, czyli obowiązujące wszystkich reguły?

MANIPULACJA DRUGA

„Rozwiązania prawne musi wypracować całe społeczeństwo” – mówi wiceprezesa. Całe. Przyjrzyjmy się temu postulatowi w trzech punktach.

1. Ludzkość nie stanowi na razie żadnego jednego, „całego” społeczeństwa.
2. Nawet tam, gdzie możemy mówić o pewnych jako tako – mimo wspomnianej po-

laryzacji – spójnych społeczeństwach, nigdy nie jest tak, że to „całe” społeczeństwo wypracowuje rozwiązania prawne. Robią to politycy, a w procesie społecznych konsultacji zwykle uczestniczy drobna część aktywnych obywateli. Jeśli ktoś jeszcze nie dostrzegł tu facebookowej nieuczciwej utopii, to przechodzimy do punktu trzeciego.

3. W demokracjach społeczeństwa mają faktycznie co nieco do powiedzenia o treści tworzonych norm prawnych, ale wyborcy wywierają wpływ na polityków na bazie tego, co już wiedzą o świecie. A w wielu krajach swoją wiedzę o świecie w ogromnej mierze uzyskują właśnie z Facebooka. Tam zaś wyłaniający się obraz świata zarządzany jest przez algorytmy działające według reguł nieznanymi opinii publicznej. I tu jest może największa manipulacja tej rozmowy.

Bo w istocie jest tak: za pomocą algorytmów Facebook wpływa na myślenie (oraz bez-myślność) miliardów ludzi na całym świecie, tak by następnie ci ludzie powiedzieli im, twórcom potężnych systemów AI, w jaki sposób rozwój sztucznej inteligencji ma być prawnie uregulowany. Niezłe, co?

I czy naprawdę tak trudno jest to dostrzec?

W ZŁYM DZIALE „TP”

Ideologii techno-entuzjazmu, czyli bezkrytycznemu podejściu do technologicznego „postępu”, poświęciliśmy najobszerniejszy rozdział naszej niedawno wydanej książki „AI Eksploracja”. Pani z Mety nie tylko robi w trąbę czytelników „Tygodnika Powszechnego”, lecz także najprawdopodobniej jest ofiarą swojej własnej propagandy. Propagandy tego, co uznajemy za najbardziej niebezpieczną ideologią współczesności.

Nie należy więc popełniać błędu umieszczenia w dziale „Nauka” przekazu, który należałoby umieścić w dziale: „Uwaga – propaganda!”.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)



Złoto Polaków to już ponad 400 TON



Polska ma już większe zasoby złota niż Wielka Brytania.
Ogółem wartość rezerw dewizowych NBP to już ponad 200 mld USD.

Dzięki konsekwentnej strategii zwiększania rezerw złota NBP zbliża się do światowej czołówki, w której znajdują się m.in. Stany Zjednoczone, Niemcy, Francja i Szwajcaria.



Dbamy o wartość polskiego pieniądza

